ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XV. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LX.

TOM IV. — ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.

1890.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

☞ *Broszurę, zawierającą* **„Zestawienie przedmiotów, zawartych w 52 tomach „Ateneum" z lat 1876—1888"**, *odbitą w niewielkiej liczbie egzemplarzy, można nabywać w redakcyi „Ateneum" po kopiejek 70 za egzemplarz, a z przesyłką pocztową po kop. 80.*

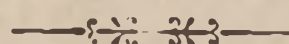
Druk ukończono dnia 4 listopada 1890 r.



MAREK REVERDIL,

LEKTOR I BIBLIOTEKARZ
KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA.
1765—1787.

TADEUSZOWI KORZONOWI poświęcam.



W bibliotece ordynackiéj hr. Krasińskich w Warszawie, znajduje się portret olejny pędzla Bacciarellego, przedstawiający króla Stanisława Augusta w ubraniu ranném, noszącém cudzoziemskie, prozaiczne, *schlafrocka* miano...

Zniewieściałe, wyświeżone, nie pozbawione wszakże powabu wyższéj inteligencyi oblicze króla, spogląda z ram owego portretu na widza, jakby chciało przedostać się ciekawie w jego duszę, wywołać w niéj uczucie sympatyi dla upadłéj wielkości i zatrzéć bolesne wspomnienia o człowieku, który, igrzyskiem losu wyniesiony na najwyższy szczebel posłannictwa dziejowego, nie chciał, nie mógł, a raczéj nie umiał utrzymać się na wyżynie, z godnością, majestatowi królewskiemu odpowiednią.

Nie można podejrzéwać Bacciarellego, aby portretowi, o jakim mowa, pragnął był nadać znaczenie symboliczne.

Nie stanowi również dzieło słynnego malarza ilustracyi tego działu literatury, która, przedstawiając ludzi historycznych *en robe de chambre*, obniża nieco ich majestat i sprowadza do poziomu codzienności tych, na których zwykli śmiertelnicy z otchłani swojéj nicości spoglądają.

Kaprys królewski podyktował Bacciarellemu szkic do portretu, przeznaczonego prawdopodobnie dla jednéj z licznych kochanic Stanisława Augusta, któréj ów strój negliżowy najbardziéj do gustu przypadał...

Jakkolwiek historya obyczajów dworu polskiego z końca XVIII wieku zaznaczyła już wiele rysów, posługujących do uwydatnienia charakterystyki Stanisława Augusta, w otoczeniu dworaków i ulubienic królewskich; jednakże rysy te, kopiowane przez niezbyt skrupulatnych w wyborze materyału dziejopisów i powtarzające znane już ogólnie fakta, pozostawiają wiele braków domagających się szczegółowszego wykończenia.

Traf szczęśliwy podsunął mi pod rękę innego rodzaju portret króla Stanisława, nie tyle moralny, w wyższém tego przymiotnika znaczeniu, ile literacki, w formie materyału arcy-ciekawego i charakterystycznego, i na jego to podstawie mogę wycieniować blade i niewyraźne oblicze Stanisława Augusta kilkoma kréskami, uwypuklającemi nam tę postać na tle zakulisowego życia dworskiego, w otoczeniu najbliższém, nietylko wśród zajęć poziomych i erotycznych, lecz także na tle upodobań króla do rozrywek umysłowych i estetycznych, jakiemi swe długie zaznaczył panowanie.

Materyałem owym jest niewielki rękopis, w ósemce, przechowywany w jednéj z bogatszych bibliotek prywatnych w Warszawie, pisany językiem francuskim, nieco zaniedbanym, bez tytułowéj karty i nazwiska jego autora.

Staranne omijanie owego nazwiska wśród tekstu pamiętnika, obejmującego okres czasu od wstąpienia na tron ostatniego króla, aż do podróży jego do Kaniowa (1787), dowodzi, że pamiętnikarz pragnął utrzymać swe nazwisko w ścisłéj tajemnicy, że się obawiał niedyskretnych oczu dworaków i następstw, jakieby ogłoszenie owych tajnych wynurzeń mogło było za sobą dla autora pociągnąć.

W jedném tylko miejscu zdradza się mimowoli autor z nazwiskiem swojém, gdy wśród skarg na niewdzięczność króla i jego skąpstwo przytacza: że mu tylko pozwolono o polepszeniu doli, zgodnie z symbolicznym początkiem nazwiska—marzyć (*rêver*).

Pomimo jednak takiego wymuszonego *incognito* i natury zwierzeń, pisanych widocznie przez pamiętnikarza, dla ulżenia samemu sobie niechęci do króla i jego otoczenia; z pożółkłych kartek pamiętnika, wyziera przejrzyście oblicze karyerowicza-cudzoziemca, który, przyjechawszy, jako doktór obojga praw uniwersytetu zagranicznego, na dwór królewski do Polski, ze sporym zapasem wiadomości lingwistycznych, a z większą jeszcze dozą ambicyi, sądził, że się dlań otwo-

rzą świetne na przyszłość widoki, że, oprócz odznaczeń i splendoru dworskiego życia, znajdzie w tém Eldorado fortunę, do jakiéj wzdychał, a tymczasem spotkało go rozczarowanie nad wyraz, lekceważenie ze strony protektora i dworaków i skąpstwo, znanego z rozrzutności króla tak rażące, że nie waha się w jednéni miejscu swego pamiętnika nazywać nowéj swéj ojczyzny: *un pays de mediocrité...*

Stąd też cała treść pamiętnika nosi na sobie piętno wielkiego rozgoryczenia i posuwa się nieraz do zwierzeń tak niedyskretnych, że gdyby nie fakta i dowody, przemawiające za prawdą owych wynurzeń, możnaby w istocie mniemać, że się tu ma do czynienia z paszkwilem, wymierzonym przez zawiedzionego w nadziejach swych dworaka, przeciwko dobrze obsłużonemu, a mimo to niewdzięcznemu panu.

Ta jedna, nie sympatyczna strona pamiętnika, nie wyklucza bynajmniéj jego obyczajowéj, a nawet i historycznéj wartości.

Ciekawym był zawsze i pozostanie punkt widzenia cudzoziemca względnie do osób i stosunków obcego kraju.

Niepoślednie budzić zawsze będą zajęcie, wynurzenia przybysza z obcych kątów o osobach i wypadkach, wśród których chwilowo żył i rozwijał się; o ile te osoby i te wypadki zarysowują się w jego wyobrażeniu, w sposób odmienny od ustalonego co do nich typu.

Cudzoziemiec, Szwajcar, niepozbawiony zmysłu obserwacyjnego, zasobny w wiedzę rozległą i różnorodną, przybywający w końcu XVIII-go wieku na dwór polski i znajdujący się w otoczeniu niezmiernie typowego monarchy, wśród ludzi uczonych, dyplomatów, dam, artystów, rzeźbiarzy, malarzy i muzyków, którego zadaniem być miało towarzyszenie królowi w zaciszu gabinetowego życia, odczytywanie mu dzieł naukowych i beletrystycznych, utworzenie i skatalogowanie jednego z najbogatszych naówczas, po bibliotece Załuskich, księgozbiorów, osobistość taka, obniżająca następnie przymusowo, a może i dobrowolnie, zaszczytną swą rolę, do poziomu prostego najemnictwa w kolejném i parokrotném żenieniu się z pośledniejszego gatunku kochankami króla, toż to jest figura ciekawa, warta pobieżnego chociażby poznania!

Wola Boglewska, w lipcu 1890 r.

I.

Poszukiwania autorstwa rękopisu.—Sekretarz króla duńskiego.—Dzieło Lagreze'a, Eliasz Salomon Reverdil.—Struensee Alexandre Roger.—Rodzina Reverdilów.

Szczegółów osobistych, do lepszego scharakteryzowania autora pamiętnika posługiwać mogących, rękopis nasz nie dostarcza.

Kartki jego pisane dorywczo, z niedomówieniami co do nazwisk, dat i wypadków, żadnego w téj mierze nie czynią ułatwienia.

Należało się kierować domysłami, szukać po innych źródłach współczesnych, aby osobę pamiętnikarza, w przepołowioném nazwisku zaledwie wskazaną, umiéć odnaleść w znanych i wybitniejszych na dworze króla Stanisława postaciach.

Milczenie pamiętnikarza o wpływach, przyczynach i stosunkach, jakie go na zamek warszawski przywiodły, brak zupełny wiadomości o gnieździe, z którego był wyszedł i koligacyach, z jakiemi był związany, należało wypełniać ową sztuką kombinacyjną, która, kierowana względną wprawą, a czasami i instynktem, pozwala w dziedzinie historycznych poszukiwań robić odkrycia niespodziewane, stwierdzające trafnością i zgodnością szczegółów zamglone pierwotne domysły.

Droga np. jaką doszedłem do proweniencyi autora pamiętnika, ujawni trudności, z jakiemi niejednokrotnie borykać się przychodzi, gdy się ma do czynienia z wstrzemięźliwym i niedowierzajacym pamiętnikarzem.

Po odcyfrowaniu przez sz. kustosza biblioteki, w któréj się nasz rękopis znajduje, nazwiska Reverdila, ukrytego, jak już nadmieniono pod osłoną dowcipnego kalamburu, po skonstatowaniu ogólnikowo przytoczonego przez pamiętnikarza faktu, iż na sejmie warszawskim w r. 1768 otrzymał, jako Marek Reverdil, indygenat polski *sine scartabellatu* (Vol. leg., VII, 373, wyd. Ohr.), należało wykryć pochodzenie autora, by tym sposobem dotrzéć do téj sfery, wśród któréj na rodzinnéj swéj ziemi się obracał, zanim widoki karyery do Polski na dwór królewski go sprowadziły.

Parokrotne wzmianki, zamieszczone w pamiętniku, o świetnéj karyerze brata autora zdobytéj na dworze u *„roi de Dann...“* i o dziwném igrzysku fortuny, która dwom rodzonym braciom odmienne i sprzeczne ze sobą wydzieliła dary, obsypawszy jednego dostatkami i zaszczytami, drugiego zaś „nędzą“ i upokorzeniem, nasunęły piszącemu te słowa, instynktowo, że tak powiem, nazwisko pewnego dygnitarza, przelotnie kiedyś w procesie słynnego ministra Struensee'go gdzieś wyczytane, eufonicznie do nazwiska pamiętnikarza naszego zbliżone.

Poszukiwania dalsze, w tym kierunku poprowadzone, stwierdziły nadspodziewanie trafność owego nieokreślonego zrazu domysłu.

Wydana przed kilkoma laty ciekawa monografia historyczna C. B. de Lagreze'a pod tyt.: *„La reine Caroline Mathilde et le Comte Struensee“* (Paris, 1887), w spisie źródeł w niéj spożytkowanych, obej-

muje między innemi tytuł dzieła: „*Memoires de Reverdil, Conseillier d'état du roi Chrètien VII.*“ wydanego w Paryżu w r. 1858.

Był to więc tym razem szczegół pozytywny, zgodny z ogólnikową wzmianką naszego Reverdila, iż owym dygnitarzem, którego los zazdrości godny, brat rodzony, w pamiętniku swoim „nędzy“ własnéj przeciwstawia, był Eliasz-Salomon-Franciszek trzech imion Reverdil, mentor i radca stanu na dworze fantastyka koronowanego Chrystyana VII-go duńskiego (1766—1808), autor głośnego swego czasu memoryału: *Lettres sur le Dannemarck* (Genewa, 1764) i współredaktor dziennika *Mercure danois*, wspólnie z Malletem w r. 1760 w Kopenhadze wydawanego.

Nitka owych poszukiwań niebawem, choć nie bez trudności, doprowadziła mnie do kłębka dalszych informacyi.

Przedewszystkiém wszakże należało dotrzéć do źródła, mianowicie do owych pamiętników radcy duńskiego Reverdila, w tém przypuszczeniu, że prawdopodobnie w przedmowie, lub w samym ich tekście, znajdą się bliższe osobiste szczegóły do rodziny autora, a zatém i do naszego nobilitowanego doktora obojga praw się odnoszące.

Nadspodziewanie, w bogatszych nawet księgozbiorach *Memoir*ów Reverdila duńskiego nie odnalazłem. Książka ta, wyczerpana u nakładcy swego w Paryżu, odszukaną została drogą antykwarską aż w Kopenhadze, a choć treść jéj nie odpowiedziała oczekiwaniom, jednakże w głównym przedmiocie, który do pogoni za nią dał powód, najzupełniéj stwierdziła moje pierwotne, luźne domysły co do osoby naszego Reverdila.

P. Aleksander Roger, wydawca pamiętnika Reverdila duńskiego, w przedmowie do dzieła swego noszącego tytuł: *Struensee et la Cour de Copenhague* (1760 — 1772) *Memoires de Reverdil, Conseillier d'état du roi Chrètien VII*, podaje krótkie, lecz wyczerpujące wiadomości o rodzinie Reverdilów.

Ojciec obu nas obchodzących dygnitarzy królewskich: duńskiego i polskiego, Urban Reverdil, był około r. 1732 sekretarzem sądowym w Nyon, małém miasteczku szwajcarskiém, w dystrykcie Vaud, podówczas podległym kantonowi Berneńskiemu. Matka Reverdilów odznaczać się miała niepospolitém wykształceniem umysłowém, a owdowiawszy wcześnie, poświęciła się w zupełności wychowaniu czworga dzieci swoich: Salomona, późniejszego radcy duńskiego, Marka Ludwika „*qui fut longtemps bibliothecaire de Sa Majesté, Stanislaus, roi de Pologne*“, pani Favre, żony autora wstępu do „Prawa natury“ Burlamaqui'ego, i pani Roger, matki wydawcy pamiętników.

Filozof fernejski, Voltaire, w zażyłych z rodziną Reverdilów

pozostawał stosunkach i losem obu młodzieńców bardzo się zajmował. Rokując świetną przyszłość starszemu Reverdilowi, zwykł był o nim mawiać: „*on peut avoir autant d'ésprit que Reverdil, mais pas davantage.*“

Dalsze szczegóły o rodzinie Reverdilów na teraz są nam obojętne. Wrócimy do nich na chwilę, we właściwém miejscu, gdy będzie mowa o Salomonie Reverdilu, z powodu odnośnych o nich wzmianek w tekście pamiętnika naszego uczynionych.

Tyle jeszcze nadmienić w tém miejscu należy, że trafność domysłów, jaka się wykazała w wykryciu pochodzenia zamaskowanego Marka Reverdila, nie zawiodła mnie i w dalszych poszukiwaniach, gdy wypadło odnaleść te wpływy i stosunki, jakie bohatéra niniejszego szkicu umieściły w najbliższém otoczeniu króla Stanisława i w charakterze lektora, a następnie i bibliotekarza.

II.

List p. St. Saphorino.—Pożegnanie z Voltairem.—Stanisław August.—Poszukiwanie lektora.—Korespondencya z panią Geoffrin. — Jakób Scheidemnantel. — Odpowiedź ze Szwajcaryi.—Rady pani Geoffrin.

W początkowych notatkach swego dziennika wzmiankuje Marek Reverdil o liście, jaki w r. 1766 otrzymał w Genewie od pana St. Saph... z Warszawy.

Było to prawdopodobnie wezwanie do objęcia posady sekretarza i lektora przy boku króla polskiego, przed dwoma przed tém niespełna laty na tron Rzpltéj wyniesionego.

O powołaniu swojém na urząd sekretarza królewskiego do Polski i o wyjeździe do tego kraju przez Włochy, pośpieszył Reverdil uprzedzić przyjaciela rodziny, Voltaire'a, który przy tej sposobności w patetyczny sposób oświadczył:

— *Vous allez dans le pays, où les prêtres foulent aux pieds les autels des Scipions et dans un autre, ou il y à bien de l'esprit caché.*“

Nazwisko St. Saph..., protektora Reverdila, odnosiło się widocznie do posła duńskiego, St. Saphorino, w Warszawie podówczas akredytowanego i naprowadza na domysł, że skutkiem starań radcy duńskiego, Salomona Reverdila, król Stanisław August po długiem szukaniu odpowiedniego dla siebie lektora, zdecydował się posadę tę powierzyć, zalecanemu przez rezydenta duńskiego Reverdilowi [1]).

---

[1]) Ów St. Saphorino zakupił w Warszawie w r. 1767 plac przy ulicy Królewskiéj, na którym stanął późniéj kościół ewangelicki. Początkowo była to szo-

Zaraz po objęciu tronu rozpoczął był Stanisław August gorliwe poszukiwania osobistości, któraby najodpowiedniejsze dla tego urzędu posiadała warunki.

Wydana w r. 1875 przez p. Karola de Mony korespondencya króla Stanisława z panią Geoffrin (1764—1777) [1]) dowodzi, że zaufana przyjaciółka królewska już przedtém w tym kierunku czynić poczęła starania.

W pierwszéj odpowiedzi króla z dnia 20 października 1764 r. na dwa listy pani Geoffrin, czytamy:

„Wolałbym raczéj usłyszéć od Ciebie, jakieby warunki stawiał lektor, którego masz dla mnie na widoku, aniżeli od siebie je stawiać. Donoszę Ci jednocześnie, że mam odpowiedź ze Szwajcaryi, która mi czyni nadzieję zadośćuczynienia w téj mierze. Wszelako, jeżeli Twój protegowany jest doskonałą osobistością, jak twierdzisz, dałbym mu chętnie posadę. Osobistość taka dobrze utrafiona jest skarbem. Jeżeli Ciebie miéć nie mogę, przynajmniéj będę miał kogoś z Twojéj poręki“ [2]).

Musiała prawdopodobnie co do daty przytoczonego listu zajść omyłka, gdyż niepojętą wydaje się rychła, we dni cztery zaledwie, późniéj nadesłana nań odpowiedź, w któréj, czyniąc nacisk na jak najtrafniejszy wybór poszukiwanéj osobistości, pani Geoffrin pisze:

„Nie wątpię, że Wasza Król. Mość znajdziesz w Szwajcaryi sekretarzy, ilu ich tylko zapragniesz, lecz tylko w Paryżu znajdziesz ludzi uczonych, mających znajomość świata w ogólności, ludzi zaś w szczególności i rzeczy. Nie przysłałabym nigdy Waszéj Król. Mości człowieka przydatnego do biura, do pisania listów, do czytania i do rozmawiania po łacinie i po grecku, kiedy tego W. K. M. zażądasz. Jeżelibym się zdecydowała przysłać W. K. M. sekretarza według swego wyboru, byłby to człowiek najzupełniéj oddany Waszéj Król. Mości, umieszczony w pałacu i nie mający z nikim styczności, a któryby skutkiem tego należał i bezpośrednio i pośrednio tylko do Waszéj Król. Mości, któryby nadto nie mieszał się do żadnych spraw. Jedyném jego zadaniem, byłoby zabawiać Waszę Król. Mość i starać się Jéj przypodobać. Trzeba miéć nieco czasu, aby go znaleść, a każdy inny, któryby takim nie był, nie zasługiwałby na to, by być przy-

---

pa, zbudowana na prędce, w któréj Jakób Scheidemantel, kaznodzieja poselstwa duńskiego, pierwszy zaczął nabożeństwa odprawiać. F. M. Sobieszczański: „Rys hist. Warsz.“, 1848, str. 104.

[1]) „Corresp. inedite du roi Stan. Auguste Poniat. et Mad. Geoffrin.“ Paris. Plon. — [2]) De Mony, str. 13.

słanym Waszéj Król. Mości. Do nikogo zaś o wybór ten się nie zwrócę. Mogę to oświadczyć, a nawet zapewnić, że znam bardzo dobrze ludzi, a Wasza Król. Mość nie zawiedziesz się na tém" [1]).

Widocznie, pragnąc dogodzić w téj mierze usilnym nastawaniom pani Geoffrin, zdecydował się Stanisław August obniżyć następnie skalę swoich wymagań i rozdzielił funkcyę sekretarza przybocznego od posady lektora.

Tém łatwiéj przyszło mu to uczynić, iż sekretarzem jego przybocznym został Karol Schmidt, starosta Brodnicki, mąż kobiéty niezwykłéj urody, która téż niebawem została kochanką króla, a pan starosta wysłanym został w r. 1766 do Paryża, może być, jak się domyśla Korzon [2]), „dla odsunięcia od żony", w każdym razie, w charakterze „*secretaire privé et l'intendant de la maison du roi*", gdzie téż tak dalece przypadł pani Geoffrin do upodobania, że go uczyniła powiernikiem swéj korespondencyi z królem i w listach swoich, z największemi się o nim zawsze odzywała pochwałami.

III.

Podróż Reverdila do Polski.—Spotkanie z doktorami Boeckleren i Herrenschwandtem.—Przyjazd do Warszawy.—Bierhaus.—Burgrabia Fontana.—Piotr Fergusson Tepper.—Pierwsza audyencya Reverdila u króla.—Duhamel.—Ogrodzki.

Marek Reverdil wybrał się w drogę do Warszawy, w pierwszéj połowie roku 1766-go.

Początkowe karty jego dziennika obejmują wspomnienia z podróży po Włoszech. Ta część pamiętnika mało nas obchodzi, lecz w epoce, gdy jeszcze drukowanych przewodników podróżnych w rodzaju Boedeckera nie było, prywatne notatki turysty wykształconego wszechstronnie, znawcy i miłośnika dzieł sztuki, zapisującego skrzętnie wszystko, co było podówczas uwagi godném w miastach i muzeach włoskich, nie są pozbawione wartości.

Drogą przez Genuę, Pizę, Florencyę, Rzym, Bolonię, Padwę, i Wenecyę, dostał się Reverdil do Wiednia, gdzie się spotkał z wybierającymi się również podówczas do Warszawy doktorami Boecklerem i Herrenschwandtem i 23-go listopada 1766-go roku przybył do stolicy [3]).

Nie spodziewano się widocznie na dworze tak rychłego przyjaz-

---

[1]) De Mony: str. 117 i 118. — [2]) „Dzieje wewn.". III, 19, 26. — [3]) Herrenschwandt i Boeckler zajmowali następnie kolejno posady lekarzy przybocznych Stan. Augusta. „Corresp.", str. 351.

du Reverdila, gdyż nie urządzono dla niego odpowiedniego mieszkania. Nie mając tymczasowego nawet przytuliska, spędzał nasz turysta pierwsze chwile przyjazdu do Warszawy w „bierhauzie“ i w teatrze.

Dopiéro dyrektor gabinetu królewskiego, Ogrodzki [1]), po porozumieniu się z kasztelanem Karasiem [2]), zakrzątnęli się około cudzoziemca, a dowiedziawszy się, że doktór Boeckler zajął mieszkanie, odpowiednie dla Reverdila, przy pomocy burgrabiego Fontany [3]) wyeksmitowali ztamtąd pana doktora i wprowadzili naszego gościa do domu niejakiego Szubalskiego.

Pierwszą wizytę złożył Reverdil wszechwładnemu podówczas w Warszawie bankierowi Piotrowi z Fergussonów Tepperowi, który, utrzymując dom swój na wspaniałéj stopie, gromadził około swoich, zawsze suto zastawionych stołów, wielki świat warszawski.

Tam téż zawiadomił Reverdila Ogrodzki, że następnego dnia odbędzie się na zamku festyn galowy z powodu uroczystości ś. Katarzyny, zawsze solennie przez króla obchodzonéj.

Z upragnieniem wyczekiwał Reverdil téj pożądanéj chwili pierwszego przedstawienia się królowi. Stanisław August z wrodzoną sobie uprzejmością powitał cudzoziemca słowami:

— *Enfin, je vous tiens!* co Reverdila takim przejęło ambitem, iż

---

[1]) Ogrodzki, starosta luboczański, obrany sekretarzem konfederacyi sejmu konwokacyjnego w r. 1764, został następnie pisarzem w. koronnym. Był posłem na sejm 1767 r. z ziemi warsz. Był to człowiek światły, wydawca uchwał „Conf. gener. omnium ord. Regni“ (Warsz., 1764, in folio). Stan. August w pamiętniku swoim tak go charakteryzuje: wychowany po wyjściu z uniwersytetu krakowskiego w domu mojego ojca, towarzyszył mi w podróży do Francyi; zostawiony przy braciach w Holandyi, pobiérał nauki u Kanderbacha. Był zarządcą kancel. u kancl. Załuskiego. Nietylko znał prawie wszystkich Polaków i Litwinów z twarzy i imienia, ale miał dokładną wiadomość o ich interesach, przygodach i stosunkach. Pracowity, ścisły, tajemnicę zachować umiejący, skromny, cierpliwy, spokojny.“ Korzon, III, 17.

[2]) Karaś Kazimierz, kasztelan wiski, urodz. 1711 r., spędził młodość na dworze ojca Stan. Agusta, Wzrósł na figurę znaczną za staraniem „familii.“ Został marszałkiem nadwornym króla i otrzymał administracyą poczt po Mokronowskim. W r. 1766 został członkiem kompanii manufaktur wełnianych. Um. w r. 1775-ym. Korzon kilkoma słowy wzmiankuje o Karasiu (III, 16), nadmieniając, że o charakterze jego „żadnych nie mógł powziąć informacyi.“ Tymczasem istnieją o kasztelanie wiskim źródłowe monografie Bartoszewicza w „Księdze Świata“ z r. 1851 w art. „Kaz. Karaś i jego dzieci“ w „Znakomitych mężach polskich XVIII wieku“, t. III, str. 97 i w „Enc. Org.“, XIV, 67. Materyał to obfity i cenny do charakterystyki Karasia.

[3]) F. M. Sobieszczański: w „Rysie hist. Warsz.“ (78, 83) wspomina o kapitanie Jakóbie Fontana, architekcie J. K. M.

w téj chwili przypomniał sobie podobne słowa, wyrzeczone przez ks. Ferrary do Michała Anioła i króla Karola IX-go do admirała Coligny'ego.

Wezwał go król niezwłocznie do swego gabinetu i długo z nim rozmawiał, przeważnie angielskim językiem.

„Niezłe to było, notuje Reverdil; był to bowiem rodzaj egzaminu, lecz mniéj nieco nieśmiałości z méj strony, a więcéj znajomości angielszczyzny, wcaleby nie szkodziło...“

Zadał król Reverdilowi wiele pytań uprzejmych (*le plus obligeantes*) i wydał polecenia, co do jego osoby bardzo zaszczytne, zapowiedziawszy, że tego dnia jeszcze wezwie go do siebie na rozmowę.

„Nudziłem się téż serdecznie w przedpokoju czas długi, gdyż w obec strasznéj niepogody niepodobna mi było wędrować od zamku do mieszkania i z powrotem.“

Uwolniony po długiém wyczekiwaniu, udał się Reverdil do Duhamela [1]), a stamtąd pośpieszył do teatru, który od niedawna, za zezwoleniem dworu saskiego, przy pałacu saskim otwartym został dla publiczności [2]).

IV.

Ghigiotti —Sesya sejmowa.—Odczyt u króla.—Historya Niemiec Barra. — Widoki Neapolu.—Tristram Shandy.—Angielszczyzna.—Sztuczka Scherffera. — Anegdotki z Gil-Blasa. — Pierwsze nieporozumienie.

Następnych dni rozpoczął Marek Reverdil wizytacye u osób wpływowych dworu królewskiego. Między innymi był u kanonika warmińskiego Kajetana Ghigiotti, który pełnił urząd sekretarza przybocznego Stanisława Augusta [3]), u starosty Schmidta i u posła duńskiego, St. Saphorino.

Opisuje Reverdil jedno z posiedzeń sejmu z r. 1766-go, odbytego pod laską marszałka Czaplica, w czasie którego stał za tronem króla i ciekawie rozprawom się przysłuchiwał, jakkolwiek języka rozpraw nie rozumiał.

---

[1]) Jeden z sześciu pensyonowanych przez króla szambelanów, do których należeli: Corticelli, Camelli, Strzębosz, Sobolewski, Kownacki, Duchene, Duhamel. Korzon, III, 20.

[2]) F. M. Sobieszczański: „Rys hist. Warsz.“, str. 106.

[3]) Ghigiotti, agens negotiorum Regni, cum officio consiliarii Regni. Nobilitowany na sejmie 1768 r. (Vol. leg., VII, 373). Był autorem memoryału przesłanego do Rzymu: „Etat de la question entre la Rep. de Pol. et les princes de la maison de Condé par rapport aux sommes napolitaines.“

Zaproszony przez Schmidta na obiad, wynurzył tam żal swój przed współbiesiadnikiem Ghigiottim, iż nie znalazł na dworze króla spodziewanego przepychu [1]), obfitości jadła, co, gdy doniesioném zostało Jackowi Ogrodzkiemu, ten zapewnił, że będzie w téj mierze zaradzone.

„*Je compte bien n'y pas retourner*, zapisuje w téj miejscu pamiętnikarz.

Jakoż pod dniem 2 grudnia 1766 r. znajdujemy notatkę, że na obiedzie u marszałka był już wielki wybór wina i jadła.

5-go grudnia otrzymał Reverdil pierwsze wezwanie od króla do rozpoczęcia czynności lektora.

„Był to istotnie ciekawy widok—pisze Reverdil—gdym odziany futrem, z czapką pod pachą i z laską w ręku, brnął po śniegu straszliwie, utykając z powodu chorej nogi, do zamku, dokąd zostałem wezwany o w pół do dziewiątéj rano.“

Król bardzo był zadowolony z tego debiutu i rzekł łaskawie:

— *Vous lisez fort bien...*

Pierwszą tą książką, czytaną królowi, była historya Niemiec kanonika J. Barra, kanclerza uniwersytetu paryskiego [2]).

Zapowiedział król, iż z przyjemnością słuchać będzie odczytów wierszy niemieckich.

Po ukończonéj lekturze Reverdil przedstawił królowi czternaście widoków Neapolu d'Hancarvill'a [3]), plany Pompejańskie, topografię Wezuwiusza, sześć planów Florencyi. Wszystkie te okazy darował jednocześnie królowi usłużny lektor, a król podziękowawszy za dar oświadczył, że poleci wszystkie te rysunki zaliczyć do swoich zbiorów.

Wartość owych rysunków wynosiła, według skrupulatnego obliczenia Reverdila, około 60 dukatów w złocie.

Następnego dnia zaniósł Reverdil królowi jakąś książeczkę zatytułowaną: *De quibusdam legibus inter se collatio* (?), z dedykacyą napisaną przez S. W. Scheidenmantla.

24-go grudnia paź królewski przybył do Reverdila z zawiado-

---

[1]) Sievers w „Pamiętnikach“ (wyd. Żupańs., 35, 36, 59. 169) opisuje skromne urządzenie mieszkania króla na zamku warsz. „Wyobraź sobie — pisał do córki—jak liche jest mieszkanie króla. Jada w przedpokoju; na lewo gabinet, na prawo pokój sypialny i bawialny razem; wszystkiego, zdaje się, trzy pokoje, oprócz sal paradnych na audyencye.“

[2]) „Hist. d'Allemagne,“ 1748, w 11 tomach. Autor zmarł w r. 1764.

[3]) Hugo d'Hancarville, słynny archeolog (1729—1800). autor dzieł: „Antiquités etrusques, grecques et romaines,“ tomów 4 i „Recherches sur l'histoire, l'origine des arts en Grèce,“ 3 vol.

mieniem, iż król życzy sobie posłuchać czytania romansu *Tristram Shandy* w języku angielskim [1]).

Widocznie, popis ten nie udał się pomyślnie Reverdilowi, który niezbyt biegle językiem angielskim władał.

— *Cela n'est pas bien allé*, notuje z żalem pamiętnikarz, lecz nadmienia, że król go pocieszył łaskawém słowem:

— *Cela ira*...

— *Pour moi, je ne l'espère plus*... kończy z rezygnacyą Reverdil.

Chcąc zatrzéć to niepowodzenie, wybrał się nasz lektor nazajutrz do króla i przedstawił mu modną podówczas, wynalezioną przez fizyka wiedeńskiego, O. Jezuitę Karola Scherffera, zabawkę, która polegała na tém, że gdy patrzący na obrazek, odpowiednio wymalowany, zwracał wzrok na białą ścianę, wówczas na siatkowce jego oka odbijał się ów obraz w kolorach odmiennych [2]).

Znajdujemy z kolei w dzienniku Reverdila wzmiankę o nieporozumieniu, jakie między nim a królem z nieświadoméj przyczyny wynikło.

Stanisław August odznaczał się usposobieniem kapryśném i zmienném, i częstokroć przybocznych swoich nękał wybuchami złego humoru, co się i Reverdilowi, jak zobaczymy późniéj, często przytrafiało. W gruncie serca jednak dobry i pobłażliwy, nie chował król przez czas długi żalu do osób, którym dokuczył i chętnie się do winy przyznawał.

— Pogodziłem się z królem, pisze Reverdil. Uznał swą winę i przeprosił mnie. *Comment lui refuser son pardon?*

Widząc, że król chętnie przysłuchiwał się rzeczom lżejszym, umyślił Reverdil popisać się przed słuchaczem kilkoma anegdotkami Le Sage'a, autora „Gil-Blasa", odnoszącemi się do rosterek religijnych między Genewczykami.

Widocznie król nie był zwolennikiem żartów tego rodzaju i jako głęboko wierzący, trzymał się ściśle dogmatu. Odmówił przeto wręcz Reverdilowi propozycyi wysłuchania żartów Lesage'a.

— *Cela m'a fort surpris et affecté*, notuje w tém miejscu lektor...

---

[1]) Wawrzyniec Sterne, słynny humorysta angielski, był autorem „Tristrama Shandy", obejmującego szereg obrazków i scen z domowego życia Anglików, przeplatanych dowcipnemi, lub rzewnemi refleksyami. Do 1766 r. ukazało się dziewięć tomów dzieł Sterna.

[2]) Carolus Scherffer, autor dzieła: „Institutionum phisicae pars prima et secunda, seu Phisica generalis conscripta." Vindobonae, 1763. Odwiedził owego Scherffera Reverdil w Wiedniu, jadąc do Warszawy i zanotował: „Visite au Père Scherffer. Tableau curieux qu'il m'a fait voir, qui fixé un moment se retrace sur le mur blanc avec des couleurs differentes."

V.

Przybycie pani Geoffrin do Warszawy.—Niechęć dworu. — Wojewodzina ruska.— *Nous autres!*— Korespondencya z Voltaire'em.— Calas.—Sirven.—Du Barre.—Próżność pani Geoffrin. — Jéj rozczarowanie.

Następne notatki Reverdila obejmują wspomnienia z pobytu pani Geoffrin na dworze królewskim w Warszawie. Projekt owéj podróży przyjaciółki Stanisława Augusta do Polski, agitował się już od r. 1765. Korespondencya wydana przez p. de Mony, ciekawą w téj mierze zawiéra wymianę zdań między królem a podżyłą już paryżanką. Wysłany do Paryża szambelan Łojko, odprowadził ją do Wiednia, gdzie na dworze casarzowéj, Maryi Teresy, przyjaciółka króla doznała najżyczliwszego przyjęcia.

Od Wiednia towarzyszyli podróżnéj specyalnie przez króla wysłani dworzanie. Na zamku królewskim w Warszawie, wyznaczono pani Geoffrin oddzielne mieszkanie, z którego wszakże, jak dowodzą jéj listy, niezbyt była zadowolona.

O ile król był zachwycony towarzystwem swego gościa, o tyle, otoczenie dworskie z niechęcią spoglądało na dziwny ów stosunek młodego króla do podżyłéj i pretensyonalnéj francuski, oparty wprawdzie na idealnych motywach przyjaźni, lecz rażący kontrastem wieku i nawyknieniami pani Geoffrin do przepychu i wystawności, którym dwór polski podołać nie był w stanie.

W notatkach Reverdila znajdujemy odgłosy niechęci otoczenia dworskiego do francuskiego gościa. Przybyła cudzoziemka do Warszawy w karecie umyślnie dla niéj urządzonéj i tak niskiéj, że w kapeluszu na głowie siedzieć w niéj nie można było. Kareta owa miała prócz tego jakieś specyalne zabezpieczenie od kurzu, które jéj wygląd dziwaczniejszym czyniło.

Widocznie, uwagi i spostrzeżenia, jakie paryżanka czyniła w otoczeniu króla, nosiły na sobie odcień owéj powierzchowności właściwéj damom wielkiego świata paryskiego, jeśli Reverdil żartuje sobie z pani Geoffrin, gdy ta pochodzenie porcelany emalii przypisywała. Wspomina również z ironią o dowcipnéj reprymendzie, jaką wojewodzina ruska, Czartoryska, Sieniawska z domu, udzieliła staréj paryżance, gdy ta, w toku rozmowy zapomniawszy się, że ma do czynienia z jedną z najambitniejszych dam polskich, śmiała się wyrazić:

— *Nous autres, vieilles, pouvous bien nous dispenser de ces ceremonies!*

— *Nous autres* — zawołała gniewnie wojewodzina.—*Parlez pour*

vous madame! Et puis: nous autres! Qu 'est ce que c'est que ce tout la? [1]).

Król spędzał w towarzystwie pani Geoffrin wieczory i popisywał się przed nią piękną deklamacyą i wymową francuską, w której niezaprzeczenie, jak zapewniają współcześni, celował.

Stosunek króla do Voltaire'a, oddawna już nawiązany, stał się przez panią Geoffrin jeszcze zażylszym. Voltaire zajęty podówczas głośnemi sprawami Calasa, Sirvena i kawalera du Barre, które cały świat gorączkowo zajmowały, przesyłał za pośrednictwem pani Geoffrin błagalne do Stanisława Augusta listy, z prośbą o wdanie się w sprawę Sirvena, przez sądy francuskie za bluźnierstwo potępionego [2]).

Próżność pani Geoffrin nasuwa Reverdilovi złośliwe i uszczypliwe uwagi, gdy np. z okazyi jakiejś sztuki Voltaire'a, przez króla głośno odczytanéj; śmiała się odezwać głośno:

— *L'auteur et le lecteur m'ont fait passer une soirée delicieuse...*

Wogóle, pobyt pani Geoffrin w Warszawie, obudził wiele kwasów w otoczeniu dworskiém i w samym gościu nie utrwalił wspomnień sympatycznych.

— *J'ai trouvée une si grande différence entre les lettres et les actions...*—pisała już po powrocie z Polski do Paryża...

VI.

Zajęcia umysłowe króla.—Schul-Ordnung. — Referaty Reverdila.— Przenosiny do zamku.— Vitruwiusz *De architectura*. — Wesele żydowskie na Pradze. — Szykany kamerdynerów. — Kasztelan Karaś. — Ryx.

Sądząc z tytułów dzieł, które stanowiły przedmiot zajęć umysłowych Stanisława Augusta, podanych w notatkach Reverdila, należy przyjść do przekonania, że król, w początkach swego panowania, bardzo poważnie traktował nietylko potrzeby własnego umysłu, lecz, że słuchając odczytów swego lektora, miał na widoku potrzeby oświaty narodu i pragnął w téj mierze zasięgnąć wzorów zagranicznych.

„Stanisław August — pisze Kalinka [3]) — miał z urodzenia nie pospolite zdolności, a gruntownem wykształceniem wysoko je rozwi-

---

[1]) Prawdopodobnie leży tu źródło owéj niechęci pani Geoffrin do Czartoryskich, jaką jéj listy rozbrzmiewają. De Mony Corresp. str. 214, nota 2.

[2]) De Mony, str. 229.

[3]) Ostatnie lata panow. St. Aug. 1868. str. LI.

nął. Zanim dom opuścił, władał dobrze językiem polskim i francuskim i pisał po łacinie; następnie doszedł do znacznéj doskonałości w niemieckim, angielskim, ruskim i włoskim. Przykładał się szczególnie do historyi, filozofii i wymowy; pracował nad matematyką; w rysunkach i architekturze okazywał wiele delikatnego gustu i zamiłowania."

Oprócz odczytów lżejszego zakroju: powieści i poezyi, Reverdil czytywał królowi dzieła historyczne, niemniéj rozprawy specyalne z zakresu pedagogiki, które następnie Stanisław August w naradach z księciem generałem ziem podolskich, poważnie rozbiérał i praktyczne z nich wyprowadzał wnioski.

Z notatki dnia 12 stycznia 1767 r. widzimy, iż przedmiotem zajęć ówczesnych króla, była rozprawa niemiecka pod tyt.: *Schul-Ordnung für die Churfürstlich-Braunschweig-Lüneburg'sche Lande* [1]).

Widocznie, zadaniem Reverdila miało być nietylko suche odczytywanie treści książek, lecz obowiązkiem jego było: przygotowywanie własnych referatów o danym przedmiocie i przedstawianie ich królowi ze stosownemi uwagami.

Przytoczoną rozprawę opracował Reverdil w samodzielném sprawozdaniu kilkustronicowém i otrzymał polecenie przedstawienia tego referatu ks. Czartoryskiemu.

Ta potrzeba nieustannego komunikowania się z lektorem, skłoniła króla do wyznaczenia Reverdilowi mieszkania w zamku królewskim, obok lokalu na urządzenie zamierzonéj biblioteki przeznaczonego.

Mając na względzie upiększenie stolicy nowemi gmachami, król również gorliwie zajmował się architekturą. Jakoż, z notatek Reverdila widzimy, że przedmiotem odczytów było dzieło Marka Polliona Vitruwiusza: *De architectura*, odkryte przez Florentczyka Poggi w bibliotece St. Gallen.

Stosunki z królem stawały się coraz zażylszemi i już z dalszych notatek widoczna, że zaczęto uważać Reverdila za wpływowego pośrednika w przedstawianiu królowi próśb różnych suplikantów.

W dniu 27 stycznia, rodak Reverdila, niejaki Bauman z Berna, przedstawił prośbę o wsparcie na podróż do Petersburga, gdzie się otworzył spadek po generale rosyjskim, Baumanie. Król za wdaniem się Reverdila, przeznaczył proszącemu sto dukatów i algerkę futrzaną.

---

[1]) Wydana w Getyndze. 1738 r.

Stał się również Reverdil uczestnikiem rozrywek króla, zawsze chętnego widza wszelkich oryginalnych widowisk.

W lutym, 1787 r. pojechał z królem saniami na Pragę, dla przypatrzenia się ślubowi żydowskiemu, a uroczystość ta, odbyta przy akompaniamencie muzyki, pod gołém niebem, pod baldachimem, z nieodłącznym ceremoniałem stłuczenia szklanki przez nowożeńca i procesyjnym pochodem przez ulice, wśród jarzących świateł, bardzo przyjemne na Szwajcarze uczyniła wrażenie.

Taka względna zażyłość stosunku cudzoziemca do króla, obudziła w nim już na samym wstępie różowe nadzieje dalszéj karyery. Niezadowolony pozyskaném już stanowiskiem, zaczął Reverdil sięgać wyżéj i zamarzył o własnéj karecie, „jak przystało na lektora Jego Królewskiéj Mości“.

„Gdym 11 lutego — pisze — wśród gołoledzi biegł na pocztę, upadłem na lewą nogę. Powracając, upadłem na nogę prawą... *I was in such a plight!* Musiało to być bardzo zabawne, widziéć bibliotekarza królewskiego unurzanego w błocie... lecz należało naturalnie zaopatrzéć go w karetę...“

Im bardziéj jednak wzmagała się ambicya cudzoziemca, tém zawistniejszém okiem spoglądała nań służba dworska króla, nieznosząca w takich razach zbytniego faworyzowania jednéj osobistości, z wrzekomą szkodą innych.

Zaczęły się powtarzać zwykłe w podobnych razach szykany ze strony służby zamkowéj, która w niepozornym Reverdilu nie chciała uznać towarzysza rozrywek umysłowych króla, lecz uważała go za zwyczajnego dworzanina, nie mającego tytułu do żadnych przywilejów szczególnych.

Zaczynają się téż w dzienniku skargi na zuchwalstwo lokajów dworskich, z których jeden posunął się nawet do tego stopnia śmiałości, że nie chciał podać Reverdilowi świécy, gdy tenże miał udać się na spoczynek do swego pokoju.

13 lutego, wieczorem, Reverdil pożegnany przez króla, sam wziął lichtarz ze świécą, by się udać do siebie, gdy w tém jakiś kamerdyner zbliżył się do niego i chciał wyrwać mu świécznik z ręki.

— *Sei doch nicht so unverschämt!* — zawołał Reverdil, uderzając lokaja po ręce, lecz po chwili, gdy postawiwszy świécznik na stole zbliżył się do okna, by je zamknąć, lokaj pochwycił lichtarz i pozostawił pana lektora w ciemności.

Skarżył się Reverdil przed kasztelanem Karasiem na taką zaczépkę ze strony służby i kasztelan zgromiwszy należycie zuchwałego lokaja, rozkazał, aby takie zajścia nadal się nie powtarzały.

Lecz takie zaczepki wydarzały się nietylko ze strony służby niższéj. Nawet kamerdyner Ryx, późniejszy starosta Piaseczyński [1]) poważył się raz obrazić Reverdila z powodu zawieruszenia się świecznika wśród pożaru, jaki wybuchł w jedném skrzydle zamkowém, w marcu 1767 r. Gdy Reverdil zaprzeczył, iżby miał w nocy pożaru zabrać ów świecznik do swego pokoju, Ryx stanowczo utrzymywał, że widział ów świecznik w ręku lektora.

— *Quelle indignité!*—woła nasz lektor—*et quelles infamies un honnêt homme est exposé à la Cour!*

VII.

Historya cesarzowéj Ireny. — Komentarz do Ksenofonta. — Projekt urządzenia biblioteki. — Ks. Albertrandy.— Jan Beniamin Steinhaüser.—Zakup księgozbioru.— Drobne przykrości pana bibliotekarza.

W lutym 1767 r. zażądał król od Reverdila szeregu odczytów z dzieła Hainault'a o „Historyi cesarzowéj Ireny“ i Lecoint'a komentarza do ksenofontowego „Odwrotu tysiąca“. Po ukończeniu tych dzieł, zabrano się na nowo do „Historyi Niemiec“ Barra.

W marcu, 1767 r. nastąpił uroczysty dla Reverdila dzień, w którym do godności lektora miał mu być dodany tytuł bibliotekarza Króla Jegomości.

Oddawna już przemyśliwał król nad urządzeniem w zamku księgozbioru, który jakkolwiek nie mógł się równać bogactwami z biblioteką Załuskich, jednakże, według planu króla, miał, za wskazówką Albertrandego stać się zbiornikiem poważnych dzieł historycznych, ekonomicznych i statystycznych, niezbędnych przy pracach jakiemi się umysł króla zaprzątał.

Po długiém szukaniu wybór padł na urządzoną już zupełnie bibliotekę Jana Steinhaüsera, która oprócz druków obfitowała w znaczny zbiór rękopisów.

Jan Beniamin Steinhaüser historyk, Sas rodem, był na dworze Augusta III konsyliarzem i mieszkał w Warszawie, gdzie zajmując się historyą kraju, dostarczał Niesieckiemu rozmaitych wiadomości historycznych i heraldycznych do Herbarza. Był on autorem dzieła: *Memoires sur le gouvernement de la Pologne*, wydanego w Manheimie

---

[1]) Ryx załatwiał poufne zlecenia drażliwéj natury, chociaż służba jego urzędowa zależała na wkładaniu wstęgi orderowéj na króla, gdy starszy kamerlokaj Hoffman kończył ubieranie i zapinanie guzików na sukniach. Korzon III. 21.

w r. 1759 [1]). Od niego zakupił Stanisław August całą bibliotekę, złożoną z dzieł drukowanych i rękopisów, oraz zbioru medali, za trzy tysiące pięćset dukatów w złocie, i podczas obiadu wydanego przez starostę Schmidta, polecił przywołać Reverdila i oznajmił mu tę wiadomość, z rozkazem, aby bezwłocznie zajął się objęciem w posiadanie zakupionéj biblioteki.

— *Enfin, la bombe a eclaté!* — notuje z radością Reverdil, pod datą 2 marca 1767 tę wiadomość i zaraz zażądał od kasztelana Karasia, aby dla ułatwienia mu czynności, dał mu od tak dawna upragnioną karetę, na co Karaś tym razem się zgodził.

Takie awansowanie na godność bibliotekarza królewskiego, obudziło w Reverdilu dawno już żywiony zamiar przedstawienia królowi memoryału, w przedmiocie stałéj pensyi i widoków przyszłéj karyery.

Memoryał ten wręczony został królowi dnia 13 kwietnia 1767 r.

Stanisław Agust odesłał Reverdila do Jacka Ogrodzkiego, z zaleceniem temuż, aby sprawę rozpatrzył i przedstawił do decyzyi.

Nie śpieszył się widocznie Ogrodzki z załatwieniem tego zlecenia i na usilne domaganie się Reverdila odrzekł z niechęcią:

— *J'ai bien d'autres choses à lire!*

— Jakaż to zmiana tonu! — wykrzykuje z oburzeniem pamiętnikarz i niezadowolony powolnym biegiem sprawy, sam postanowił przypomnieć królowi swoją prośbę.

Król, spotkawszy pewnego razu Reverdila w przedpokoju, wyczekującego na posłuchanie, zbliżył się doń i oświadczył, że memoryał uznał za słuszny i wyznaczył proszącemu dać s o w i t e wynagrodzenie za przeszłość, t. j. za poniesione koszta podróży; na przyszłość zaś wyznaczył mu płacę, w kwocie dwadzieścia dukatów miesięcznie, a prócz tego, dziesięć dukatów na koszta utrzymania karety. Było to nieco mniéj aniżeli żądał Reverdil, gdyż pragnął 400 dukatów rocznie i karety; *mais*, dodaje, *je suis content pour le coup et la porte me reste ouverte.*

Nadmienia przytém: „z tonu i z obejścia się Ogrodzkiego ze mną, mogłem się przekonać, jak wielka różnica zachodzi między traktowaniem z królem bezpośrednio, a jego ministrem.

Dziwił się nadto król, iż słyszał, jakobym się miał wyrazić, że

---

[1]) Niemiecki przekład pod tyt. „Grundriss des heutigen Staatsverfassung von Polen“; russki przekład wyszedł w Petersburgu w r. 1764. F. U. Sobieszcz. „Enc. Org.“ XXIV. 140. Rękopis Steinhaüsera ma biblioteka prywatna w Warszawie.

nie uważam swego stanowiska za zaszczytne w oczach wszystkich (*que ma place n'etoit pas honorable à tous les yeux*)."

20 kwietnia 1767 r. oświadczył kasztelan Karaś Reverdilowi, iż płaca miesięczna liczyć się będzie od początku roku 1767, poczém dał mu asygnacyę na czterdzieści dukatów do kasy generalnéj, którą zawiadywał kasyer Bastian.

Co do mieszkania wyznaczonego Reverdilowi przy bibliotece, rzecz ta nie poszła tak gładko, gdyż Roch Kossowski, podskarbi nadworny, nie chciał się zgodzić na oddanie Reverdilowi pokoju, który, jak utrzymywał, winien być obrócony na pomieszczenie całkowite biblioteki Steinhaüsera.

— *Quelle injustice* — woła Reverdil — *quels découragements! Oh Cours! Oh Cours!*

Wreszcie, 20 maja 1761 r. ukończył się transport biblioteki Steinhaüserowskiéj do zamku, a jednocześnie niejaki podsekretarz, Wild de Ratisbonne, otrzymał uwolnienie z dotychczasowéj posady, co było zapowiedzią środków oszczędności, mających się zaprowadzić w utrzymaniu dworu.

Z rozmaitych notatek dalszych naszego lektora, okazuje się zmienność i nerwowość usposobienia króla względem otaczających go dworzan. Chwali np. Reverdil uprzejmość Stanisława Augusta, iż podczas wieczornego odczytu d. 7 sierpnia 1767 r. obdarował go trzema brzoskwiniami, a jednocześnie utyskuje, że mu król przez swego kamerdynera polecił oświadczyć, iż za długo sypia...

„Jestto poniżającém, pisze Reverdil, ze względu na „kanał" użyty do tego pośrednictwa. Jestto niesprawiedliwém, z uwagi na to, że sypiam istotnie mało a pracuję wiele. Jestto okrutném względem człowieka, który spędził większą część nocy nad ułożeniem memoryału, dziś nad ranem królowi przedstawionego..."

W dalszym ciągu, pod datą 11 sierpnia pisze Reverdil:

„Król po przeczytaniu mego listu polecił mnie wezwać do siebie i oświadczył, iż żałuje przykrości mi wyrządzonéj i prosi mnie o przebaczenie.

Było to powiedziane tak szczerze i z takiém uczuciem, żem mu z całego serca wybaczył, podziwiając króla, który umié naprawiać błędy swoje. Pokochałem go od téj chwili silniéj, aniżeli dotychczas."

7 września 1767 odbyła się uroczystość galowa w rocznicę elekcyi. Król, zastawszy o 2-éj w nocy w przedpokoju lektora, pozwolił mu udać się na spoczynek, lecz w parę dni późniéj zrobił wymówkę Reverdilowi, iż go nie widział w przedpokoju o 10-éj wieczorem.

— *Mais, est ce donc que je n'en doit jamais sortir?* — pyta z oburzeniem pamiętnikarz.

Angielszczyzna Reverdila okazała się niezbyt poprawną, gdyż król polecił mu brać lekcye języka angielskiego od pana Arundela, który miał być sumienniejszym nauczycielem od niejakiego pana Linda.

Za te lekcye przyrzekł król płacić z własnéj szkatuły po cztery dukaty miesięcznie.

VIII.

Lekcye Reverdila.—Przenosiny biblioteki. — Opryskliwość króla.—Boekles.—Bacciareli.—Katalog.—Glaire.—Sale bibliotekarza.—Ben servire é non aggradire.

Zajęcia Reverdila z dniem każdym stawały się różnorodniejszemi i trudniejszemi. Nie poprzestał król na zaleceniu swemu lektorowi nauki języka angielskiego, lecz sam poruczał mu przekłady z innych języków na angielski, w rodzaju szkolarskiego *pensum*, które miało ulegać bacznemu egzaminowi ze strony nauczyciela.

„*Bickerstaff dans le Tutles* [1]) *et Louis XIV*“, taki tytuł nosiła książka, dana 8 września 1767 r. przez króla Reverdilowi, ze wskazaniem pewnego jéj ustępu do natychmiastowego przekładu na język angielski.

„Przetłómaczyłem ten ustęp bezzwłocznie, przed udaniem się na spoczynek i odniosłem pracę nad ranem królowi, który bardzo był z niéj zadowolony i oświadczył, że przekład mój przeznacza dla wielkiéj podkomorzynéj litewskiéj [2]). Zaniosłem go téż pani szambelanowéj, która mnie zaprosiła na wieczerzę. Zastałem tam króla, który się rychło oddalił. Jam zaś pozostał i siedziałem przy księciu Adamie i Repninie“.

Odczyty Reverdila odbywały się zwykle wieczorami, lecz zdarzało się, że i w rannych godzinach wzywano lektora do obowiązku. 25 września lektura trwała trzy godziny z rzędu, a w parę dni późniéj kazano Reverdilowi kilka godzin wieczornych spędzić bez wytchnienia na czytaniu.

„Jestem istotnie nieszczęśliwym, pisze Reverdil dnia 29 września, gdyż jeśli król rozkaże mi trudzić się tak każdego wieczoru, nie

---

[1]) Bickerstaff napisany był przez Swifta humorystę, autora Gulliwera.

[2]) Godność szambelanów odpowiadająca godności podkomorzych, powstała w Polsce za Stanisława Augusta i była przedmiotem zjadliwych docinków, ze względu na znaczną liczbę kreowanych przez króla dygnitarzy téj rangi.

znajdę nigdy sposobności do pomówienia o moich własnych sprawach... Żebyć przynajmniéj Jego Królewska Mość raczyła okazywać mi nieco więcéj przyjaźni i uprzejmości w postępowaniu ze mną!“

4 października 1767 r. przeniesiono bibliotekę do innego, przestronniejszego pokoju, od strony tarasu zamkowego, gdyż w dotychczasowym, trudno było do książek trafić, zwłaszcza, że pokój dawniejszy był przechodni i prowadził do komnaty kamerdynera.

Rozwodzi nowe żale Reverdil z powodu przeciążania go przekładami z łacińskiego i angielskiego i z powodu dziwnéj zmiany w królu, który niewiadomo dlaczego stał się dlań opryskliwym i surowym.

„Gniew mnie dławi — pisze 1 grudnia 1767 r. — Wczoraj wezwano mnie i kazano iść do pracowni malarskiéj. Chciałem przejść przez gabinet króla, jak to zawsze czyniłem, gdy nagle usłyszałem głos opryskliwy:

— *Allons donc! Ne pouvez vous pas passer de l'autre coté?*

„Pominąłem to w milczeniu, gdyż jeśli się jest popędliwym, nie należy być zbyt obraźliwym; lecz to, co nastąpiło późniéj, wymaga zaznaczenia:

„Położyłem się spać wczoraj o północy, a dziś rano we wtorek, byłem w przedpokoju już o 9-éj ufryzowany i ubrany galowo. Jego Królewska Mość również ubrany był w swoim gabinecie, więc wyczekiwałem jego wyjścia, jak zazwyczaj. Król był względem wszystkich nader uprzejmy, zwłaszcza dla doktora (Boecklera) i malarza (Bacciarellego), nie spodziewałem się zatém, aby dobry jego humor zamienił się nagle na burzę względem mnie. W chwili, gdym miał zdać mu sprawę z kilku błahych zleceń, król zwraca się do mnie na pozór spokojny i żąda podania sobie gazety, którą téż zabierałem się wydostać z kieszeni z możliwym pośpiechem...

„Nieodpowiadało to widocznie niecierpliwości jego, gdyż wołając natarczywie: *Allons, vite!!* jakby dla przyśpieszenia czynności, która i tak dłużéj nad sekundę trwać nie mogła, dowiódł istotnie wielkiego zmysłu oszczędności co do czasu, a zarazem chęci ubliżenia dobremu słudze... (*C'est bien traiter un bon serviteur cavalièrement*).

„Niczém to jednak w porównaniu z tém, co nastąpiło późniéj.

„Zwracając się do mnie zawołał król gniewnie:

— Kiedyż nareszcie skończysz uporządkowanie biblioteki? To okropne, że nie wiész nawet, gdzie która książka się znajduje!“

„Jakaż to niesprawiedliwość, traktować kogoś w podobny sposób! Widocznie ktoś musiał mi podstawić nogę, bo inaczéj trudno wytłómaczyć sobie taki gniéw *à propos des bottes!* Prawda, że

przed kilkoma dniami nie mogłem wyszukać Fontenella [1]), lecz czyż moja w tém wina, że biblioteka była ruszana z miejsca, że nie mam pomocnika, ani téż potrzebnych wygód? Porządkowanie Steinhaüserowskiéj biblioteki zajęło mi prawie całe lato, a potém trzeba było ją przenieść gdzieindziéj i ustąpić miejsca Glairowi [2]), co zwiększyło tylko zamęt i obciążyło pamięć utrudzoną oprócz tego rozmaitemi zleceniami.

„Dodać do tego należy pracę połączenia obu bibliotek w jedną, ranki zupełnie zajęte, poobiednie godziny wypełnione najrozmaitszemi zajęciami, jako to: pisaniem listów, robieniem wyciągów z autorów, tłómaczeniami rozmaitych ustępów z łacińskiego, francuskiego, angielskiego, lekcyami angielszczyzny, wydawaniem i odbieraniem książek, przyjmowaniem wizyt osób zwiedzających bibliotekę, których nie zawsze pozbyć się można... Dodajmy do tego zniechęcenie i przeczucia tego, co nastąpić miało w przyszłości... przekonanie, że się jest zapomnianym i lekceważonym, i po tém wszystkiém, po dniu tak doszczętnie wypełnionym, aż do godziny 11-éj wieczorem, siedzieć i czuwać w przedpokoju z lokajami... Biegać tu i owdzie, wdrapywać się po drabinie do szaf, załatwiać czynności lokaja i uczonego, przechodzić nieustannie od pracy mózgowéj do pracy rąk; być jednocześnie dworzaninem i mężem zaufania, i nie miéć za to w zamian żadnych wygód; biegać ciągle przez pięć pokojów odedrzi do drzwi, źle się przytwierających, zważać bacznie na każde dzieło, czy jest kompletne, czy nie ma dubletów, sprawdzać czy są w niém jakie estampy, sprowadzać książki nowe, wypisywać ich tytuły nieraz długie, układać katalog komentarzy i tłómaczeń! Do tego wszystkiego potrzeba przecież czasu, pamięci i rozwagi, a ja pracuję, i tak już bez wytchnienia, nad siły, bez wielkich na przyszłość widoków! Czyż to nie jest upakarzające, za to wszytko być traktowanym jak nicpoń (*polisson*) i odbiérać admonicyę, jakby się nic nie robiło; być kozłem ofiarnym (*souffre-douleur*) króla polskiego, podczas gdy brat mój z mniejszym nakładem pracy jest faworytem króla duńskiego, i powtarzać sobie aryjkę z *Serva padrone: „ben servire e non aggradire?“*

Na domiar tych wszystkich dokuczliwości moralnych i materyalnych, niedostatek zaczął się dawać we znaki panu lektorowi. Pod dniem 3 grudnia 1767 notuje w swoim dzienniczku: „z powodu braku

---

[1]) Le Bouyer de Fontenelle, słynny pisarz, matematyk i filozof (1657—1757) autor dzieł: „Entretiens sur la pluralité des mondes. Histoire des oracles. Geometrie de l'infini.

[2]) Sekretarz przyboczny, zajął miejsce po wyjeździe Schmidta. „Miéwał polecenia wielce poufne“, Korzon. III, 19.

drzewa na opał i dojmującego mrozu, niepodobna mi było pracować w bibliotece".

IX.

Indygenat nadany Reverdilowi. — Sejm 1768 r. — Przywiléj królewski. — Szlachectwo *praeciso scartabellatu* i *salvis legibus de scartabello.* — Protokół kanclerza Młodziejowskiego.

Nastał rok 1768. Od ostatniéj, goryczą przesiąkniętéj notatki Reverdila upłynęły dwa miesiące. Widocznie, w trakcie tego czasu ułożyły się jakoś harmonijniéj stosunki lektora do króla i zahukany dworzanin znalazł sposobność i środek przypodobania się swemu panu, gdyż najniespodziewaniéj pod datą 5 marca 1768 r. znajdujemy w pamiętniku notatkę, iż sejm pod laską marszałkowską księcia Radziwiłła, przyznał naszemu lektorowi indygenat szlachectwa polskiego *sine scartabellatu* [1]).

Sucha wzmianka, zamieszczona w Voluminach legum (VII, 373, wyd. Ohr.) o nobilitacyi Reverdila, nie wyjaśnia dostatecznie, ani pobudek sejmu do udzielenia tak zaszczytnego odznaczenia cudzoziemcowi, ani téż nie tłómaczy się jakiemikolwiek bądź zasługami jego w urządzeniu księgozbioru królewskiego. Być może, że ujawnione po upływie lat dwóch pobytu na dworze osobiste zalety Reverdila skłoniły króla do porzucenia dotychczasowéj względem niego stosowanéj normy postępowania, gdyż trudno sobie w inny sposób wytłómaczyć powód, dla którego król wyjednał u sejmu uchwałę, nadającą indygenat człowiekowi w kraju i dla kraju zupełnie obcemu.

Stanowi to wszakże niezpozbawiony głębszego znaczenia rys charakterystyczny panowania Stanisława Augusta, iż bardzo wiele miernych figur wydostalo się za jego wpływem na szczebel dostojeństw obywatelskich, bez najmniejszego prawa i tytułu do takiego odznaczenia i że po za obrębem nobilitowania w porządku sejmowym, prowadził się za tego panowania otwarty handel owemi dostojeństwami tak, że byle dorobkiewicz, lub neofita, chełpiący się dzisiaj

---

[1]) Nadawanie szlachectwa polskiego było albo *praeciso scartabellatu*, albo *salvis legibus de scartabellis*. Pierwsze miało to znaczenie, że zaszczycony szlachectwem mógł sprawować wszelkie urzędy, równy był rodowitéj szlachcie, drugie, że dopiéro t r z e c i e pokolenie przypuszczoném być mogło do tych prerogatyw. Piérwsza taka nobilitacya przyznana była Mikołajowi Hadziewiczowi za Jana Kazimierza 1654 r. (Vol. leg. IV, 458). *Skartabellus* w statucie wiślickim znaczył pośredni stan w wojsku między rycerzem, *miles famosus*, a wojskowym z sołtysa, lub kmiecia pochodzącym.

swojém szlachectwem, zawdzięczał swoją godność przekupstwu, lub posługom bardzo poziomego waloru...

Uzupełniam głuchą wzmiankę pamiętnikarza i uchwały sejmowéj dokumentami z archiwum głównego Królestwa, gdzie w księgach kanclerskich [1]) znalazłem bliższe szczegóły o nobilitacyi Reverdila.

Przywiléj królewski w głównéj treści brzmiał jak następuje:

„Stanisław August etc. Odznaczająca się cnota i podniosłość duszy nie mogą długo pozostawać w ukryciu, aby światłem swojém nie zajaśniały i sobie, oraz potomstwu nie pozostawiły świetnego imienia, tém więcéj, jeśli królowie je nagradzają i innych do naśladowania ich zachęcają.

„Stąd też gdy szlachetny i uczony Marek Ludwik Reverdil obojga praw doktor, sekretarz nasz przyboczny lektor (*agnostes*) i dyrektor (*praefectus*) naszéj biblioteki królewskiéj, niepośledniéj cnoty, wyższéj nauki i wiernych usług przez lat kilka nam i Rzplitéj składał dowody i zjednał sobie nietylko łaskę naszą królewską, lecz i całéj Rzplitéj uznanie, ministrowie państwa zalecili go nam, a posłowie ziemscy domagali się, aby do równego z nimi stanu szlachectwa był dopuszczony i godność rycerską otrzymał.

I dla tego, My Stanisław August etc. mając na względzie, cnoty, zasługi i zdolności uczonego Marka Ludwika Reverdila, wraz z jego potomstwem obecném i przyszłém, do równości stanu szlacheckiego i przywilejów szlacheckich Królestwa Polskiego, W. X. Litewskiego i innych przyległych prowincyi go dopuszczamy, nadając mu klejnot szlachecki według załączonego wyobrażenia etc.

Między podpisami na tym dyplomie znajdujemy nazwiska: Gabryela Junoszy Podoskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego i legata, Andrzeja Kostki Młodziejowskiego kanclerza, Ignacego Massalskiego biskupa wileńskiego, Ignacego Krasickiego biskupa warmińskiego etc [2]).

Po wykonanéj przez Reverdila przysiędze, kanclerz koronny wydał nobilitowanemu następujący certyfikat:

„Wiadomo czynię, komu o tém wiedzieć należy, teraźniejszego i przyszłego wieku wszelkiéj kondycyi ludziom, iż podług konstytucyi sejmu extraordynaryjnego, niedawno zeszłego, urodzony Marek Reverdil stanąwszy osobiście przedemną, *debita jurisjurandi solennitate* przysięgę *super fidelitatem Seremissimo Regi et Reipublicae* wykonał, po któréj wykonanéj, *diploma nobilitatis* od Najjaśniejszego Króla Jegomości Pana Naszego Miłościwego ła-

---

[1]) T. XLI i XLII z r. 1768. — [2]) Ks. kanc. str. 97. T. 42.

skawie nadane, temuż urodzonemu Markowi Ludwikowi Reverdil, z kancelaryi koronnéj jest wydane, które to świadectwo, aby tym większą wagę miało, ręką moją podpisuję i pieczęcią koronną stwierdzam. Dan w Warszawie d. 15 m. kwietnia R. P. 1768. Andrzéj Stan. Młodziejowski, biskup przemyski, poznański, kanclerz w. koronny [1]).

X.

Przerwa pamiętnika.—Lekcye angielskiego języka.—Przekład Morsztyna.—Nowa burza.—Lekcye polszczyzny.—Cui bono?—Rachunki Reverdila.—Rehabilitacya.

W dzienniku Reverdila następuje kilkomiesięczna przerwa. Tłómaczy się z niéj pamiętnikarz nowemi swemi zmartwieniami, które, jak mówi „stanowiły przewagę nad wrażeniami przyjemnemi“. Nie może wszakże zamilczéć o doznaném upokorzeniu, iż go wraz z innymi Szwajcarami nie zapraszano na obiady uroczyste do hrabiego M*.

„Jestto — pisze — jakaś fatalność, iż odznaczywszy się gorliwém spełnianiem obowiązków, wyróżniany jestem tylko większym nawałem pracy, podczas gdy mnie równają z innymi wysokością płacy, a niżéj stawiają w odznaczeniach“.

„5 sierpnia 1768 r. wezwał mnie król o godzinie 10-éj wieczorem i kazał czytać po angielsku, lecz nie słuchał zupełnie mego odczytu, przeglądając w trakcie tego ryciny, aż do w pół do dwunastéj w nocy. Dziś również, byłem już zupełnie rozebrany, gdy nagle wezwano mnie do króla. Ubrałem się śpiesznie na nowo i dwie godziny spędziłem w przedpokoju, ale nikt się nie pokazał. Musiałem znowu wrócić do siebie.“

„27 września wezwano mnie, abym podał jakąś książkę, która miała na grzbiecie tytuł odmienny od wskazówki w katalogu. Był to przekład Morsztyna [2]). Po długiém szukaniu odnalazłem nareszcie tę książkę, lecz zamiast podziękowania, usłyszałem wyrzuty, że robota około biblioteki tak powoli postępuje. Chcieliby oczywiście korzystać z posług katalogu, a nie dają mi czasu na jego ułożenie...

„Książka Morsztyna była polską, z powodu czego, król zapytał mnie, czyli się uczę języka polskiego? W moim wieku, mając lat 34 i posiadając 5 do 6 języków, ucząc się przytém języka angielskiego, za co król, pomimo swéj obietnicy nie zwraca mi nawet należności, choć wielkie robię postępy, jeszcze uczyć się języka polskiego, naj-

---

[1]) T. 41, str. 23.

[2]) Prawdopodobnie mowa tu o przekładzie tragedyi „Cyd“ Corneilla. dokonanym przez Andrzeja Morsztyna, około 1688.

trudniejszego i najbezużyteczniejszego z języków!! (*la plus difficile, comme la plus inutile des langues...*)

„17 października 1768 r. Musiałem ku końcowi tego miesiąca, we dwa lata po mojém przybyciu, zabrać się do nauki języka polskiego. *Cui bono?*“

„ 1 listopada. Książę Monferrat chcąc wykazać swoje pokrewieństwo z królem, napisał doń list z propozycyą przybycia tutaj. Przyjęto dobrze jego propozycyę i polecono mi przypomnieć w swoim czasie odpowiedź, jaką napisaćby należało. Następnie jednak powiedziano, że nie ma co z odpowiedzią się śpieszyć“ (?).

Dalsze milczenie pamiętnikarza przerywa rachunek, jaki Reverdil przedstawił królowi z prośbą o uregulowanie zaległych wydatków i określenie stałéj płacy.

Skargi na złe traktowanie ze strony dworu i mierne utrzymanie wypełniają dalsze stronice dziennika.

W sierpniu 1769 r. następuje radośniejsza notatka.

„Uczyniłem reklamacyę co do stołu, do którego mnie zaliczono. Wydzielono mi najprzód stół klasy trzeciéj, następnie drugiéj, a obecnie dają mi stół klasy pierwszéj, stół marszałkowski, *ad libitum, et ad honores*, lecz sześć tylko dukatów miesięcznie. Pierwszy to raz zdarza się, że jestem traktowany lepiéj od innych, lecz należało się o to starać, zamiast mieć to z dobréj woli. Prawda, że uczyniono to bardzo uprzejmie i to mi daje możność obiadowania przy stole króla, z największymi panami i damami... Nareszcie zostałem z r e h a b i l i t o w a n y...

XI.

Uśmiech fortuny. — Kochanki królewskie.—Markiza Lulli. — Generałowa Grabowska.—Starościna Schmidtowa.—Baronowa Schütter.— Pani Tomatysowa.—Miejsce schadzek. — Pracownia Bacciarellego. — Niedyskretny Magier.

Ów lekki uśmiech fortuny, o jakim Reverdil wzmiankuje, nie ujawnił się bez ciężkiéj ujmy dla ludzkiéj godności pamiętnikarza.

Wiadomo, że Stanisław August wielce kobietom hołdował, a nie mogąc poślubić prawéj małżonki, bo mu Rzplita na to nie pozwalała, prowadził życie kawalerskie w stosunkach z kobietami wszelakiego dostojeństwa i szczebla towarzyskiego.

Wyliczenie szczegółowe w porządku chronologicznym wszystkich kochanek króla byłoby bardzo trudném, ze względu, że tego rodzaju stosunki kontroli nie ulegają; przytém Stanisław August nie będąc w wyborze wybrednym, hołdował niejednokrotnie kilku na raz

boginiom. Odstąpił nawet od zamiaru chronologicznego uporządkowania tej rubryki zajęć króla Korzon, zazwyczaj drobiazgowy w swoich poszukiwaniach [1]).

Nie trzyma się porządku w swoich wyliczeniach i zacny Magier w swojéj „Estetyce miasta Warszawy“ [2]), lecz ogółowo przytacza nazwiska i fakta, odnoszące się do zakulisowego życia Stanisława Augusta.

Wiadomo dotychczas, że ostatniemi kochankami króla były: markiza Lulli i generałowa Grabowska, z domu Szydłowska, wdowa po generale wojsk litewskich Janie, z którą nawet następnie stosunek morganatycznego małżeństwa był zawarł.

Panna markiza Lulli ukazała się w Warszawie w charakterze emigrantki francuskiéj, ze starą swoją ciotką. Było to urocze ośmnastoletnie dziéwczę, obdarzone tak wielkiemi zaletami i zalotnością, że objęło niebawem nieograniczone nad sercem króla panowanie.

Panna Lulli, wyćwiczona w swéj sztuce, podbiła króla do tego stopnia, że zaczęła rządzić absolutnie, wdawała się w sprawy krajowe, w promocye, intrygi, słowem, bardzo wydatną na dworze króla grała rolę. Miała swój dwór na Krakowskiém Przedmieściu, w nieistniejącym już obecnie domku Nr. 571 w Warszawie, ekwipaże pyszne, brylanty ogromne, w których paradowała na redutach.

„Przylgnęła do bogactw królewskich, których nie szczędząc używała, a mówią, że oprócz ogromnych wydatków tego, co kosztowało życie wystawne, perły, brylanty, dwór, ekwipaże, miliony jeszcze na bankach zagranicznych lokowała... Ssała to wszystko ze szkatułki królewskiéj“ [3]).

Współcześnie jednak król hołdował i poślubionéj morganatycznie pani Grabowskiéj.

„Była to kobiéta miła, blondynka, z pięknemi niebieskiemi oczyma, ciałem jędrném, rzadkiéj nawet w Polsce białości, rysów twarzy wcale nie uderzających, ale miłego (?) rozumu i wielkiéj serca dobroci.

---

[1]) Korzon III. 26. — [2]) Rękop. w Bibl. prywatnéj w Warszawie, str. 193.

[3]) W r. 1794 w czasie rewolucyi przykre bardzo spotkało ją zdarzenie. Jechala dworską karetą z Łazienek do zamku na Krakowskiém Przedmieściu. Koło Bernardynów karetę zatrzymało pospólstwo, wyciągnęło ją ze środka i byłoby źle z jejmościanką, gdyby szczęściem nie nadciągnął oficer gwardyi, ze szwadronem na wartę do zamku idący, i ten ją uratował z rąk pospólstwa. Wsadzono damę wystraszoną, bez duszy, do karety, oficer tylko co żywą oddał królowi. Nieszczęśliwy monarcha sam w najstraszliwszém położeniu, razem z Boecklerem nie odstępował na chwilę łóżka oblubienicy. Gdzie się potém podziała, niewiadomo. J. I. Kraszewski. „Pamiętniki Jana Dukl. Ochockiego“ II. 237.

Nie była ona podobną do tych innych, przelotnych kochanek królewskich, bo szczerze była przywiązaną do króla. Nic z jego miłości nie wyniosła dla siebie, ani dla swoich, żadna potwarz nie odważyła się skazić jéj bezinteresowności i szlachetnych uczuć. Ona jedna nie tylko miłość, ale i szacunek króla umiała pozyskać. Do żadnych intryg się nie mieszała, dobrą i złą dolę króla podzielała, jako prawdziwa przyjaciółka i zawsze dawała mu najzbawienniejsze rady, co król lubił jéj przyznawać [1]).

Stosunki jéj z królem zaczęły się jeszcze za życia męża. Król pragnął ją rozwieść z generałem, lecz brat króla, książę prymas, oparł się temu, nie mogąc się pogodzić z myślą, aby król mógł zostać małżonkiem, choćby tajnym, poddanki. Generał Grabowski umarł i to ułatwiło sprawę. Zaraz po jego śmierci ksiądz Wargawski w kaplicy zamkowéj, późną nocą, dał ślubne błogosławieństwo kochankom w obecności księcia prymasa i brata oblubienicy, głośnego ze swych dziwactw, w historyi obyczajów ówczesnéj epoki zarejestrowanych.

Mieszkała pani Grabowska obok zamku, na Kanonii; letnią zaś porą miała dla siebie domek w Alejach Ujazdowskich pod Nr. 1715 [2]).

Obok tego uprawnionego stosunku, uprawiał król wcześniéj może stosunki z paniami Sapieżynemi, z Elżbietą Rożańską, z domu Poniatowską, ze starościną Schmidtową wdową, baronową Schütter z domu Cumana, greczynką, żoną fabrykanta fajansu z Belwederu [3]), z ex-aktorką Tomatysową, którą pan Karol Tomatys przywiózł był z Włoch. Nazywała się ona właściwie Todi i odznaczała się dziwnie pięknym głosem.

Miejscem schadzek króla z kochankami była najczęściéj pracownia malarza Bacciarellego, w zamku, gdzie pani Malczewska bez odzieży pozowała artyście do mitologicznych obrazów.

„Bacciarelli, znając słabość królewską do kobiét — pisze właściwym sobie zaniedbanym stylem Magier— zajmował się nieraz w swym gabinecie w malarni w oddaniu pędzlem obrazu jakiéj znakomitszéj damy. Wiedząc o skłonnościach ku niéj króla, przy malowaniu obecnego, położywszy paletę z farbami, wychodził do siebie, nieco tam zabawiwszy“ [4]).

---

[1]) Pam. Bartł. Michałowskiego. Serya I. T. III. 192. — [2]) Magier. str. 193.
[3]) Zwłoki jéj tego dnia właśnie, kiedy król wyjeżdżał do Petersburga w d. 7 stycznia 1795, spotkał wyprowadzane na cmentarz.

[4]) „Król— pisze daléj Magier — ulegał wiele mocy kobiét nad sobą. Siostry jego, pani Krakowska (1-o *voto* Branicka, 2-o Mokronowska), Pani Podolska i inne damy, dając mu rady jakowe, lub odradzania, łatwo go w umyśle zdołały odmienić, dla tego stosowna jest dla niego ta para wierszy: My rządzim światem a nami

XII.

Kochanki tytularne.—Kategorya pośledniejsza.—Sfinx.—Tinetta. — Bon Diable. — La Petite. — Marcyanna Konstancya L. — Tajemnicze posłuchanie. — Król *ami et confident*.—Traktat.—*Un mari philosophe.* — Ślub Reverdila. — Niewesoły powrót.

Obok kochanek tytularnych, jeśli się tak wyrazić godzi, snuło się na dworze Stanisława Augusta, już w początkach jego panowania, grono kochanek przygodnych, zmienianych często i zastępowanych innemi, o których kronika skandaliczna epoki nie pozostawiła wzmianek.

W poufnéj korespondencyi króla z panią Geoffrin, znajdujemy nazwiska owych pań, ukryte pod przejrzystemi, a często i przysłoniętemi grubym welonem pseudonymami.

W roku 1768 dnia 6 lipca król, pisząc do swojéj przyjaciółki do Paryża, wspomina o Sfinksie, o Tinecie, o Dyabełku, z zapewnieniem ich uczuć przyjaźni dla cudzoziemki [1]). Jednocześnie wzmiankuje o jakiéjś Małéj (*la Petite*), usprawiedliwiając ją w oczach przyjaciółki, z powodu oznak obojętności, jaką jéj za pobytu w Warszawie okazywała [2]).

Była to prawdopodobnie cudzoziemka, jak większa część tych, do których król przelotne żywił upodobania; a jakkolwiek nazwisko owéj Małéj okrywa nieprzejrzana tajemnica, jednakże dzięki Reverdilowi, jesteśmy w możności ujawnić jéj imię chrzestne przynajmniéj i rolę dosyć charakterystyczną, jaką w życiu naszego pamiętnikarza mimowolnie odegrała.

Szereg nieprawych dzieci Stanisława Augusta, do których zali-

---

kobiéty. Doniesiono raz królowi, że znajduje się w Warszawie pewien starzec długo żyjący, który sobie przeszło sto lat liczy, zawsze zdrów i czerstwy. Król, ciekawy dowiedzieć się o jego sposobie życia, kazał go do siebie przywołać. Po kilku zapytaniach, jemu czynionych, chciał się dowiedzieć o jego skłonnościach do kobiét. Na to starzec odpowiada, że nigdy się nie żenił i dotychczas nie znał kobiéty, na co król krótko odpowiedział: Toś kiep! i odwrócił się od niego.“

[1]) Tinette est toujours bonne et vous aime beaucoup: le Sphynx a toujours le même merite et les memes torts. „Corresp.“, 345.

[2]) „Je ne m'etonne pas—pisał król—que vous vous souveniez desagréablement des froideurs de la Petite; mais j'en sais une raison qui la disculperait à vos yeux mêmes, s'il m'etoit possible de vous la dire. Mais croyez moi, je vous dis la verité, par justice seule et sans aucun interêt, car la Petite et le Bon Diable ont pris les mêmes chemins. Je ne vous demande pas d'aimer la Petite, car cela ne se donne pas, mais elle serait trop à plaindre, ainsi si vous lui marquiez trop d'eloignement, vous êtez genereuse, a tanto basta.“ „Corresp.“, 346.

czano: Stasia, Michała i Kazimierza Grabowskich, Cichockiego, Cichocką, zamężną Szwan, poprzedził w r. 1768 chłopiec, zrodzony z niejakiéj Marcyanny Konstancyi L.

Dnia 17-go września 1769 r. wezwał król poobiednią porą Reverdila do swego gabinetu.

„Domyśliłem się, że ma mnie coś ważnego do powiedzenia... Jakoż scena była wzruszającą (*La scène fut touchante*). Mówił do mnie w charakterze przyjaciela i powiernika (*en ami et confident*). Przyrzekł mi powiększyć pensyę do 700 dukatów i zapewnił o swojéj przyjaźni. Rozstaliśmy się, pełni najserdeczniejszych dla siebie uczuć i z sercem tak lekkiém, jakiegom już dawno nie odczuwał.“

Przedmiotem poufnéj konferencyi między królem a jego lektorem było, jak się okazuje, ustąpienie formalne praw do owéj Marcyanny Konstancyi L. (*Il m'accorda la Petite en forme*) za cenę zdwojonych łask królewskich i widoków świetniejszéj na przyszłość karyery.

18-go września poobiednią porą owa Mała otrzymała z ust króla stwierdzenie zawartéj umowy, a nadto Stanisław August ustąpił Reverdilowi jakieś „pretensye“, z powodu usług nadzwyczajnych i uciążliwych (*il me céda enfin les pretensions qu'il a pour services extraordinaires et onereux*) [1]).

Wieczorem nastąpiła między skojarzonymi w sposób tak dziwny, przypominający komedyę „Małżeństwo z rozkazu“, oblubieńcami ratyfikacya zawartego układu w obec króla. Przyczém król obdarował swoją ex-kochankę zegarkiem złotym, a wypita butelka węgrzyna stanowiła litkup...

Warunkiem układu było bezwłoczne poślubienie „Małéj.“

24-go września 1769 r., w wilię ślubu, zgłosił się Reverdil do króla z oświadczeniem, że gotów jest dnia następnego odegrać rolę małżonka-filozofa... (*un Philosophe marié*).

---

[1]) W tablicy 139 (T. III, str. 43) „Dziejów“ Korzona wymienione są pozycye „wyłabudanych“ przez króla datków, w pierwszéj epoce jego przedrozbiorowego panowania. Figurują tam pod r. 1768 sumy, otrzymane tytułem odszkodowania dochodów królewskich, niewielkie nawet, bo po 3, 4 i 5 tys. dukatów. Być może, że o jednéj z takich pozycyi mówi Reverdil. Ogólna suma téj kategoryi wyniosła za lat 7 około 200 tys. dukatów. „Za tyle upokorzeń, goryczy i służalstwa — pisze Korzon — zapłata była skąpa. Sumienie Stanisława Augusta było w niskiéj cenie.“ A daléj: „Nie wszyscy monarchowie zdolni są do bohaterstwa, nie wszyscy umiérają w obronie niepodległości państw swoich; ale prócz dwóch ostatnich Stuartów z w. XVII żaden wśród najprzedajniejszego otoczenia nie wyciągał ręki po cudze datki. Jedna Polska doczekała szczególnego losu, że miała króla przedajnego“ (str. 46).

— Bądź nim! nastawał król.

— Winienbym wprawdzie, odrzekł Reverdil, zażądać od moich rodziców przyzwolenia, nie mogąc wszakże tego uczynić, poprzestaję zupełnie na przyzwoleniu Waszéj Królewskiéj Mości.

Na to król:

— Jeśli ja będę szczęśliwym i ty nim będziesz...

Przed samym ślubem, król raz jeszcze udzielił posłuchania Reverdilowi.

— A więc masz już postronek na szyi? (*corde au col*), zapytał z uśmiechem pana młodego.

— Właśnie idę go sobie założyć, odrzekł Reverdil i jednocześnie zamierzał przedstawić królowi układ piśmienny zawarty z oblubienicą.

— Dosyć będzie czasu nazajutrz! odrzekł król.

„25-go września 1767 r. — czytamy w pamiętniku — w kościele Ś. Jana otrzymałem błogosławieństwo ślubne z Marcyanną Konstancyą L., w przytomności „wuja“, „ciotki“, pani Reyner, Dunefgemain'a, Pfleiderera [1]), O'Connora, z którymi spożyliśmy wesoło wieczerzę, a po wieczerzy każdy poszedł do siebie na spoczynek, nie wyjmując i mnie, com samotny w zamku spać się ułożył [2]).

„Deszcz padał dzień cały, lecz ustał nad wieczorem i pozwolił nam pieszo wrócić do domu. Damy natomiast powróciły karetami.

Bezpośrednio po owéj notatce następuje wzmianka, iż nowo-zaślubiona wyjechała do Szwajcaryi *parcequ' je n'avait pas le moyen de l'entretenir*.

Drugi dopisek pod datą 25 września 1769 r. brzmi:

„Był to właśnie dzień, w którym otrzymano wiadomość szczęśliwą o pogromie Turków i zdobyciu Chocimia... Moja odzież ciągle taż sama, co przed trzema laty, gdym się po raz pierwszy królowi przedstawiał; bielizna taż sama, jaką otrzymałem przy wyjeździe z Genewy.“

Owo zestawienie wypadku politycznego z własną pensyą w dzień ślubny i przywiedzione wyżéj okoliczności, mogą obyć się bez wszelkiego komentarza.

Widoczna tylko, że król, pragnąc w sposób tak wysoce bezceremonialny pozbyć się tanim kosztem kochanki, pod warunkiem, aby Reverdil przyjął na siebie obowiązek opiekowania się synem Mar-

---

[1]) Pfleiderer, radzca dworu, doktór filozofii, profesor matematyki i dyrektor studyów w korpusie kadetów. Liske: „Cudz. w Polsce“, str. 235.

[2]) Sprawdzałem w archiwum kościoła Farnego, czyli niéma tam aktu ślubu Reverdila, lecz księgi z r. 1769 zaginęły czasu późniejszych zamieszek.

cyanny Konstancyi L., który, jak dowodzi notatka z r. 1772, wysłany został do matki swéj do Szwajcaryi, lecz w drodze umarł.

— *C'est eux, le Roi, la Cour, Glaire, qui l'ont tué*—pisze Reverdil i dodaje: *Quod Deus benevertat!*

Jednocześnie znajdujemy rachunek Reverdila przedstawiony królowi, w którym „za wyprawienie Małéj do Szwajcaryi,“ likwiduje sobie sto dukatów, a za „wysłanie syna, oraz powrót z drogi jego mamki,“ takąż samą kwotę...

XIII.

Kanonik Ghiggiotti.—Albertrandy.—Pobyt dworu w Łazienkach. — Nowy romans z pułkownikową Dahlke. — Zajście z marszałkiem dworu. — Sąd króla. — Życie dworskie.—Z kroniki Magiera.

Następuje znowu dłuższa w pamiętniku przerwa i dopiéro rok 1774-ty obejmuje notatkę, w któréj Reverdil podnosi swoją bezinteresowność, z powodu zrzeczenia się posady sekretarza komisyi edukacyjnéj, jaką mu prałat Ghiggiotti podówczas chciał wyjednać.

„Odpowiedziałem, że nie jestem rad stąpać po piętach ex-jezuity Albertrandego, który mi przed kilkoma dniami wspominał, że ma posadę na widoku dla mnie i że pragnę pozostawić królowi przyjemność nagradzania krajowców, chociaż Albetrandy krajowcem nie był.“

„Król, uprzedzony o mojéj odmowie, bardzo był nią przyjemnie wzruszony i nadmienił, chcąc mnie pocieszyć, że to, co było przywiązane do owéj posady, było czysto idealném, i że się postara w inny sposób mnie zadowolnić.

W lipcu 1775 r. król przeniósł się do Łazienek i zabrał ze sobą Reverdila.

Z notatek z owéj epoki okazuje się, że nową kochanką przygodną Stanisława Augusta, była niejaka pułkownikowa Dahlke (z domu Ciecierzyńska) i że król znudzony tym stosunkiem, postanowił narzucić go znowu swemu usłużnemu lektorowi, w taki sam sposób, jakto już poprzednio z Marcyanną Konstancyą L. uczynił [1]).

Na przeszkodzie jednak stało tu formalne małżeństwo Reverdila, lecz była to przeszkoda widocznie łatwa do usunięcia, skoro już w maju 1775 r. zaczął nasz lektor czynić listowne staranie o wyjednanie zgodnego z Marcyanną Konstancyą L. rozwodu...

„Cóż mi pozostało — pisze Reverdil—jeśli nie mam żadnych na

---

[1]) O nazwisku pułkownika Dahlke wspomina Korzon. T. IV, cz. II, str. 120.

przyszłość widoków, a uczynione mi obietnice stały się dla mnie źródłem przykrości?"

Romans z pułkownikową Dahlke rozpoczął się na dobre za pobytu dworu w Łazienkach. Czuła para gruchała ze sobą w cienistych aleach parku na spacerach. Pewnego razu generał Komarzewski i St. Wodzicki napotkawszy panią Dahlke w stroju, przypominającym barwy królewskie (niebieską i białą), zaprotestowali przeciw temu nadużyciu. Sprawa wywołaną została przed sąd króla, który poradził Reverdilowi, aby na przyszłość unikał tak jawnych dowodów pobłażliwości króla, ze względu na otoczenie dworskie.

Opisuje Reverdil i inne przykrości, doznane w Łazienkach ze strony marszałka nadwornego, Rzewuskiego, który odmówił Reverdilowi prawa uczestniczenia w wieczerzach królewskich i wyznaczył mu stół u kredencerza Tremo [1]), w towarzystwie sekretarzy: Pocubiatto i Correvona.

Innem źródłem przykrości Reverdila było zażądanie od niego rachunku z wydatków na utrzymanie biblioteki.

„Żądają odemnie — pisze — rachunków, które od lat dziesięciu składałem co miesiąc, a mogłem już wiele kwitów zatracić. Na szczęście odnalazły się wszystkie i moi prześladowcy poniosą zasłużoną karę."

„14-go stycznia 1776 r. król, wyjeżdżając na polowanie, życzył mi na pożegnanie: *salus, honor, argentum et bonum appetitum!* Honor i pieniądze dawno mi się już należą, dobrego apetytu mi nie brak..."

„Zapomniałem dodać, że po zamachu zarządzono nadzwyczajne środki ostrożności w zamku i dostępu do króla mi wzbroniono [2]).

Położenie moje wcale się nie zmieniło. Jestem, jak byłem, biédakiem, a król zamiast mieć nademną litość, często szydzi sobie z mego położenia.

— „Kiedy się jest na dworze, rzekł raz do mnie, należy się do tego stosować..."

„Radbym uczynić temu zadosyć, cóż, kiedy środki na to nie pozwalają, a król ma dosyć środków do zaspakajania chciwości innych faworytów i faworytek, choćby np. takiéj pani Vulliaumez i panny Buonafini, która za dwie noce otrzymała aż trzy tysiące dukatów..."

Żali się Reverdil na szczególną łaskawość króla dla Bacciarellego, który z pensyi 1,300 dukatów przeszedł na 2,000 dukatów

---

[1]) Jakób Tremo, *petit maitre d'hotel.* Korzon, III, 15.

[2]) Mowa tu o zamachu listopadowym Łukawskiego i Strawińskiego, ukaranych śmiercią przez sąd, przez Ponińskiego złożony.

i otrzymał prócz tego darmo budulec do domu, jaki sobie podówczas stawiał.

W owéj epoce król Stanisław rozwinął nadzwyczaj starania około upiększenia stolicy i otaczał się ciągle artystami, wydatkując na nich niepormiernie wysokie sumy.

Przytaczamy tu nieznany dotąd ustęp z kroniki Magiera, dotyczący artystycznego świata, jakim się król otaczał [1]).

„Sławny malarz Bacciarelli umiał skłaniać ku sobie przychylność króla i zdaniem jego kierować, gdy szło o wystawę nowéj budowli, lub stanowienie wyboru w malarskiéj lub rzeźbiarskiéj sztuce. Część gmachu zamkowego przeznaczona była na pracownie i szkołę tych dwóch nadobnych kunsztów. W malarni uczniowie pracowali pod okiem Bacciarellego. Malarz Padarewski utrzymywał porządek co do narzędzi i licznych wzorów, do téj szkoły potrzebnych. Biegli rzeźbiarze: Le Brun i Monaldi wyborne swéj sztuki wydawali płody. Pamiętny Franciszek Pink, którego dłuto wystawia nam w Łazienkach posąg Jana III-go w r. 1788, w rok po powrocie króla Stanisława z Kaniowa.

Warszawa obejmowała natenczas znaczną liczbę celujących artystów. Bardzo biegły w malowaniu *al fresco* Canaletti, doskonały co do zdejmowania widoków z natury i którego robotą ozdobiony jest pokój perspektywny, Casanova sztukator. Z Polaków ulubiony Jasiński, co do ścian pokojowych. Byczkowski, ormianin, który słynął w oddawaniu sztucznych arabesek. Ustanowił król szkołę do rysunków i polecił ją nauczycielowi, Janowi Norblinowi. W téj to szkole między uczniami celował Orłowski. Z portrecistów sławny był Mirrhys, Marteau i jego uczennica Rajecka, celująca późniéj w Paryżu. Sławny w wesołym kolorycie Lampi, Grassy, Tympout, co do suchych farb, czyli pasteli, Plesch, Wall, Czechowicz, Smuglewicz, Wojniakowski, Adam Pink, syn rzeźbiarza. Z budowniczych: Fontana (pałac Potockich na Krak. Przedm.), dom Warzylewskiego, Dzieciątka Jezus, pałac Bielińskich (na ulicy Królewskiéj), Merlini, któremu pomocną była córka Maryanna (Łazienki, pałac Jabłonowskich, dziś ratusz, kościół Bazylianów na Miodowéj). Po Merlinim Kubicki (sklepienia pod ogrodem zamku królewskiego), Schröger (facyata Karmelitów na Krak. Przedmieściu i domu Teppera na Miodowéj), Zug (kościół ewangielicki i dom Rezlera), Kamzecer (pałac Tyszkiewiczów na Krak. Przedm. i pałac Krasińskich), Schwartz, Schütz, Lessel.

---

[1]) K. Wł. Wójcicki w „Archiwum domowém“ część tylko notat Magiera zamieścił.

Major inżynierów, Zawadzki, budował koszary, facyatę konwiktu Pijarów. Architekt Aigner — facyatę Bernardynów, nakładem klasztoru, Stan. Potockiego i Kwiecińskiego, obywatela — dzwonnica przy tym kościele i wystawił galeryą jońskiego porządku, z łazien Marcella naśladowaną. Przekształcił pałac dawniéj Radziwiłłów, dziś Namiestnikowski, wystawił kościół Ś-go Aleksandra, na Nowym Świecie na wzór Panteonu, kościół Opatrzności w ogrodzie botanicznym i Narodowy Teatr na Placu Krasińskich [1]).

Z innych źródeł współczesnych dowiadujemy się o bogactwie zbiorów prywatnych króla, na które wielkie łożył wydatki. Składały się one z trzech szaf z miedziorytami; szafy z portretami, rękopisami, obejmującemi przeważnie rzeczy polskie. Były tam zbiory antyków, gemm, kamei, wyrobów z kości słoniowéj, modeli maszyn, wykonanych przez Neugebauera, mechanika warszawskiego, wreszcie szafa z instrumentami fizycznemi [2]).

Z lepszych obrazów w zamku królewskim wyliczają z owéj epoki: wielki portret królewski w całéj figurze, malowany przez Bacciarellego, obraz przedstawiający elekcyę Stanisława Augusta pod Wolą przez Canalettiego. Portret Zygmunta III-go na koniu darowany królowi przez miasto Toruń, mały obraz Bacciarellego przedstawiający scenę, kiedy król powrócił uwolniony z rąk konfederatów do zamku i wiele innych [3]).

(Dok. nast.) *Aleksander Kraushar.*



[1]) Otwarty 25 listopada 1779 r. w rocznicę elekcyi króla Stanisława sztuką „Amant, autor i sługa“, w któréj miał rolę Wojciech Bogusławski, już od r. 1777 grywający w dawnym teatrze w pałacu Radziwiłłowskim. — [2]) Liske: Bernoulli („Cudz. w Polsce“), 237. — [3]) Liske, 249.



ASCETKA.

V.

Od owego dnia, siostra Mechtylda, utraciła dręczące ją przez czas jakiś uczucie chłodu i lenistwa ducha. Owszem, doznawała większéj niż kiedykolwiek żarliwości w modlitwie i jaśniejszego jeszcze niż przedtém poczucia nadprzyrodzoności. Siostry zakonne spostrzegły, że miewała na policzkach małe, okrągłe rumieńce i niezwykły, ognisty połysk oczu. Były to wybijające się na zewnątrz oznaki gorączki, która przez kilka dni ogarniała ją naprzemian dreszczami chłodu, albo piekącym upałem. Czuła bóle w głowie i kościach, idąc, często chwiała się na nogach, a gdy na chórze w ławce swojéj klęczała, zmuszona była, aby nie upaść, ramieniem opiérać się o ścianę. Nic dziwnego; na rany zadane sobie dyscypliną, włożyła włosiennicę, która gojenie się ich utrudniała. Była chorą, całe jéj ciało zdawało się być jedną raną, ale przez ten stan właśnie sprawiane głębokie osłabienia, a także nadzwyczajne sny i widzenia, niewymownie ją uszczęśliwiały. Kiedy bliska zupełnego omdlenia, do najlżejszego ruchu chwilowo niezdolna, leżała na podłodze kaplicy lub celi, zdawało się jéj, że już stała się czystym, wolnym duchem, który wnet, wnet utraci do reszty poczucie ziemi i wzleci w strefę nigdy nie objawiającą się jéj dokładnie, którą przecież w przelocie błyskawicy widywała niekiedy niezmiernie wysoko, w postaci jasności świetnéj, łagodnéj, niewyraźną melodyą szmerów i śpiewów przepojonéj. Posiadła teraz w najwyższym stopniu tę fantasmagoryę widzeń, które napełnia zamknięte oczy ludzi z choremi nerwami i podnieconą wyobraźnią. Dosyć jéj było zamknąć powieki, aby na tle ciemném albo ciemno-purpurowém

zobaczyć blade oblicze Chrystusa, niewysłowienie piękne głowy i profile świętych, czasem pary oczu miłośnie lub litościwie w nią wpatrzone, albo barwne i złociste linie, wypisujące tajemnicze jakieś hieroglify, splatające się w kielichy kwiatów o nigdy nie widzianych kształtach, w palmy, w głębokie perspektywy kolumn. Wszystko to, szybko i niepochwytnie pod powiekami jéj płynęło, kołysało się, przekształcało i nakształt niknących i wciąż odradzających się obrazów, wywijało się jedno z drugiego, a ona, z zachwyconą i trwożną ciekawością, w metamorfozach tego fantastycznego korowodu, szukała zsyłanych jéj przez niebo znaków obietnicy, rozkazu, łaski. W snach, mistyczne widzenia jéj wyraźniejszemi jeszcze stawały się, niż na jawie. Była to czasem spływająca z nieprzejrzanych wysokości ku ziemi szeroka brama tęczy, po któréj pięły się duchy z lotnych mgieł i grały szmerem cudownéj melodyi niewidzialne skrzydła. Był to czasem płaszcz ogromny, dziwnie miękki, który ją całą ogarniał tak, że nie widziała nic, tylko czuła przejmującą roskosz spoczywania na ciepłém, powoli kołyszącém ją łonie, które jak wiedziała, było łonem Boga. Były to także zmieszane z sobą, nieujęte, lecz w rajskie harmonie zlewające się barwy, wonie, tony... Z tych snów budziła się z piersią wzdymaną wielkiemi westchnieniami pragnienia i tęsknoty, poczém długie godziny upływały jéj bezsennie, w zachwyceniu, które upajało ją jak wino i jak ono, dawało jéj siły wstać, biedz na jutrznię i z chóralnym śpiewem zakonnic łączyć swój głos zrazu słaby, lecz w miarę tego, jak powstający dzień oświetlał długą, wysoką salę błękitem świtu i różowemi blaskami wschodu, coraz silniéj i srebrniéj brzmiący.

Kiedy w czasie cichych mszy codziennych i uroczystych, świątecznych nabożeństw, klęczała pomiędzy ciemnemi poręczami swojéj ławki, twarz jéj w ramie welonu wyglądała jakby była wykrojoną z białego opłatka i tylko czarne, zapadłe oczy świéciły pośród niéj jak dwie nieruchome, żarzące się gwiazdy. Nieruchome, we wznoszący się za kratą ołtarz utkwione, miały one wyraz niezgłębionéj tęsknoty i bezbrzeżnego zakochania.

Dość długi szereg dni upłynął, przez które nie spostrzegała wcale codzień jednak wbiegających do chóru i dwoma długiemi rzędami na błyszczącéj jego posadzce klękających pensyonarek. Nie spostrzegała ich tak, jak nie czuła najlżejszego wrażenia wszystkiego, co ją otaczało. Raz przecież, przed rozpoczęciem się mszy, gdy kratę okrywała jeszcze wielka płócienna opona i po chóralnie odmówionéj przez zakonnice modlitwie, na chórze zapanowała cisza, siostra Mechtylda wzrok od rozwartéj książki oderwała i zupełnie mimowoli spotkała się nim z małą dziewczynką, która w téj chwili właśnie nadbiegłszy,

tuż obok ławki jéj uklękła. Klękając, okręciła się tak szybko, że białe jéj spódniczki swawolnie z pod ciemnego pensyonarskiego mundurka błysnęły, a potém, tłumiąc igrające na twarzy uśmiechy i nadzwyczaj uroczyście ją układając, ze złożonemi rękami i nabożném wstrząsaniem głowy prędko, prędko szeptać zaczęła:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...

Siostra Mechtylda uklękła. Wszystkie zakonnice stały jeszcze pod dwiema ścianami chóru i stojąc, nabożną pieśń chóralnie śpiewać zaczynały. Ona uklękła i w ławce swojéj ukryta, całą swoją siłą skupiała w modlitwie całę swoją duszę. Doświadczyła głuchego uczucia niebezpieczeństwa. Ta drobna istota, do różowych i zlotowłosych aniolów podobna, była wrogiem, przed którym ona uciekać i zbroić się musiała. Zresztą, na dwie strony rozchyliła się teraz biała zasłona i za wielką kratą ukazał się ołtarz, z kilku świecami palącemi się pośród wyzłacanych kolumn. Msza była cicha. Do chóru dochodził tylko stłumiony szmer modlitw księdza, mszę odprawiającego i od czasu do czasu dźwięk trzykrotnie wstrząsanego dzwonka. Czyjeś ciężkie kroki rozległy się w pustym kościele i obudziły w nim długie echa. Z jednego z wysokich okien chóru struga świateł słonecznych lała się na jaskrawe wieńce otaczające niszę, w któréj połyskiwał srebrny posąg świętéj i błyskała paląca się przed nim na srebrnych łańcuszkach lampka. Zakonnice modliły się po cichu, czasem tylko, z dochodzącym od ołtarza szmerem łacińskich słów księdza, mieszał się na chwilę czyjś szept wezbrany i głośny, poczém milkł i słychać było w górze trzepot bijącego się o szybę okna motyla, otwieranie się i zamykanie drzwi w głębi klasztoru, do bardzo oddalonego grzmotu podobny turkot kół, które otwarte wrota kościoła mijały.

W téj ciszy siostra Mechtylda twarz swoją, ku klęczącemu obok dziecku obróciła. Po sztywności i niemal automatyczności tego ruchu poznać było można, że był on mimowolnym odruchem bezwiednego, ale niezmożonego uczucia. Musiała spojrzéć na to dziecko, jak człowiek czujący, że ktoś na niego nachodzi, musi obejrzéć się. Ale zaledwie na nie spojrzała, uczuła gniew i zgrozę. Półgodzinna nieruchomość w klęczącéj postawie znudziła dziewczynkę, nabożne intencye, z któremi modlić się zaczynała, uciekły z niéj bez śladu, natomiast ruchliwe, filuterne jéj rysy drżały całe od niezmiernie świeckich prób i pokuszeń. Iskrzącemi się spojrzeniami po szeregach towarzyszek strzelając, ustami, brwiami, drobnemi palcami, które w szczególny sposób rozkładały się i składały, przesyłała im tajemnicze, lecz dla nich zapewne wyraźne znaki porozumienia, bo skądciś, na jeden z telegrafi-

cznych tych znaków przybyć musiała odpowiedź, znać bardzo zabawna, mała parsknęła śmiechem i dla stłumienia go, cały dół swojéj roześmianéj twarzy w obu różowych garstkach ukryła. W téjże chwili ujrzała dwa białe, cienkie palce, dotykające jéj rękawa i tuż przy sobie usłyszała półgłosem wymawiane słowa.

— Dla czego nie modlisz się? Jak śmiész w przybytku Pańskim wyprawiać grzeszne śmiéchy i swawole! Módl się! płacz i módl się! bij się w piersi i módl się! Jesteś lekkomyślném, niewdzięczném stworzeniem! Nie kochasz Stwórcy swego! Będziesz taką samą, jak twoja matka grzesznicą!

Przelęknione dziecko widziało zbliska ku niemu nachyloną twarz jak opłatek białą, czarne rozżarzone oczy, usta prawie z nienawiścią wyświstujące srogie wyrazy i dwa, cienkie, białe palce wstrząsające się w powietrzu z gniewem i groźbą. Ostatnie słowa zakonnicy rozżaliły ją najwięcéj, szybko na klęczkach w tył się cofnęła i znalazłszy się obok starszéj towarzyszki, jakby ochrony przed strasznem widzeniem szukając, przytuliła się do niéj mocno i w fałdach jéj sukni rozpłakała się.

Siostra Mechtylda zaś, klęcząc w swojéj ławce oddychała szybko i drżącemi palcami z głośnym szelestem przerzucała karty nabożnéj książki. Była przeciw małemu stworzeniu temu tak oburzona, że czuła, iż tym razem namiętnie je znienawidziła. Takie to jeszcze małe, a tak głęboko w grzechu zanurzone! Już jednéj godziny Bogu poświęcić nie jest w stanie, już jest gniazdem pustych myśli i swawolnych chuci. Takiém samém naczyniem, gotującém przyszłe grzechy, musiała być niegdyś jéj matka. Kiedy patrzała na figlarne miny i ruchy dziecka, przed oczami jéj jak żywa stanęła tamta...

— Panie, jakaż złość i gorycz rozlewa się we mnie, jakbym była naczyniem warzącém jady. Jad zawziętéj urazy wylał mi się przez usta i teraz jeszcze uspokoić się nie mogą bicia rozkołysanego mego serca... tętna krwi, jak dzwony biją mi w skroniach... Myśli jak wichry w tę przeklętą godzinę lecą, w któréj wspólny ich grzech poznałam... Bo nieprawdaż, Panie mój. Nie prawdaż, że oni ciężko, okrutnie zgrzeszyli? bo wszak zabraniasz zabijać to, co jest twoim najdroższym darem: wiarę! Ojcze mój, wyjm ze mnie tę mękę gniewu, bo w ciebie uwierzyłam najgoręcéj wtedy właśnie, gdy zabito we mnie wszelką inną wiarę! skróć czas próby, boś jeden litościwy! Przebacz mi ten nowy, ciężki grzech, bo strasznie cierpię...

W téj chwili, u ołtarza ksiądz po łacinie mówił.

— Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata...

Poczém otworzyło się w kracie małe okienko, ukazały się

w niém białe ręce księdza, trzymające złoty kielich i wyjętą z niego hostyę. Zakonnice ze spuszczonemi po usta welonami powstawały w ławkach i zstąpiwszy z ich podstawy, bez najlżejszego szelestu szły ku kracie, gdzie klękając, po najświętszy duchowy pokarm otwierały usta, a przyjąwszy go upadały na twarze i przed kratą, rzędem rozciągniętych na ziemi czarnych postaci leżały. Nie wszystkie miały prawo tego szczęścia codziennie dostępować. Było ono przywilejem tylko garstki najświętobliwszych i najbardziéj od wszelkich spraw i zajęć świeckich oddalonych, do któréj naturalnie należała siostra Mechtylda. Dziś jednak, gdy złoty kielich błysnął w otworze kraty, nie powstała i nie poszła po najwyższą dla siebie uciechę. Zgrzeszyła i nie miała prawa przyjmować Boga do splamionego swego wnętrza. Gdy tamte, z twarzami przy ziemi i w krzyż rozciągniętemi rękami tonęły w zachwycie takiego zjednoczenia się z Bogiem, że we własném łonie go posiadały, ona czuła się znowu więcéj od niego oddaloną i klęcząc, żarliwie odmawiała pokutną modlitwę. Ustami odmawiała ją żarliwie, lecz po dnie jéj myśli przepływały nieustannie złorzeczenia ziemi i jéj wszystkim płodom. Cóż bowiem, jeżeli nie ona i jéj zjawiska, oddalały ją wciąż od Boga, w grzech uwodziły, stawały pomiędzy nią i niebem? Ach gdyby zawsze i tylko być sam-na-sam z Bogiem! Gdyby za tym klasztorem istniała pustynia! Jakże szczęśliwymi byli ci Pańscy wybrańcy, których życie wypadło w miejscu i czasie pustyń!

Tego samego dnia, gdy na wieży kościelnéj i w salach zgromadzeń, wielkie zegary, jeden po drugim wybijając dwunastą południową godzinę, napełniały klasztor, napowietrzną rozmową przewlekłych dźwięków, w głębi chóru, w wysoko wzniesionéj swojéj ławce, przełożona z lekkim stukiem, zamknęła klamrę swojéj bogato oprawnéj książki i śpiewnym głosem wymówiła: amen! Potém powstawszy, welon spuściła po usta, na szyję gruby sznur zarzuciła, w rękę wzięła zapaloną świécę, przez jedną z sióstr jéj podaną i zstąpiwszy z kilku wschodów, które jéj ławkę z posadzką dzieliły, zwolna i z nową, półgłosem rozpoczętą modlitwą szła przez długą salę. W miarę tego jak szła ona, z ławek swoich wychodziły zakonnice i z zakrytemi po usta twarzami, ze sznurami na szyjach, z zapalonemi w rękach świecami, półgłosem powtarzając mówioną przez nią modlitwę, postępować za nią zaczynały. Tak wyszły z chóru i stąpały wąskim, pełnym zmroku korytarzem, na którym minęły bogato wyzłocone drzwi najświętszéj z klasztornych kaplic, weszły na inny, którego ściany okrywały przez czas pociemniałe, lecz tu i owdzie jeszcze trupiemi bladościami albo ognistą czerwienią świecącą obrazy, mijały szeregi go-

tyckich, w grube mury oprawionych okien, różne ciemne, ciężkie i zamknęte drzwi; kroki ich nie czyniły żadnego szelestu, w zamian, kilkadziesiąt ich półgłosów, odmawiających modlitwę, sprawiało po długich szlakach korytarzy, monotonny, basowy szmer. W ten sposób reguła zakonu przepisywała im udawać się codziennie do refektarza na posiłek południowy. Żadnéj wesołości, ani pustoty, którym często w przedobiednich chwilach oddają się ludzie świeccy, żadnéj rozmowy, przeciwnie, skupienie ducha przez zakrycie twarzy, wspólna modlitwa, na szyjach znak umartwienia i pokuty. Tak postępowały, aż z długiéj i prawie zupełnie ciemnéj arkady, wyszły nagle na korytarz ogromny, szeroki, prawie olśniewającém światłem napełniony. Tu ściany były nieskazitelnie i śnieżnie białe, przez ogromne okna, z których niektóre były otwarte lały się potoki słonecznego światła i wiosennego powietrza, z za długiéj ściany, przerzniętéj kilku cienkiemi drzwiami szeroko rozléwał się przytłumiony, niewyraźny, młodością bijący gwar cienkich, donośnych głosów, śmiechów, fortepianowych dźwięków, tententu przechadzających się i biegnących stóp. Na dwu tych tłach: słonecznego światła i młodzieńczego gwaru, niewzruszenie i jednostajnie, z jedną na przedzie, po kilka w dalszych szeregach, sunęło kilkadziesiąt czarnych postaci, z zakrytemi twarzami i szyjami zgiętemi pod ciężarem grubych sznurów, błyskając kilkudziesięciu płomykami gromnic i tyluż złotemi krzyżami u piersi. Gdy mijały drzwi szeroko na wielki ogród rozwarte, dość długo przesuwały się po zasłaniającéj je gęstéj i świeżéj zieleni, a basowy szmer ich półgłosów, złączył się z buchającym przez nie wielkim śpiewem i świegotem ptastwa. Ale niebawem za temi drzwiami były inne, wysokie i pięknie rzeźbione, które teraz, ostrożnie uchyliły się i w dość szerokiéj szczelinie ukazały kolumnę, czy piramidę dziecinnych ubrań, członków i twarzy. Było to zjawisko, z powodu szczególnéj architektury swojéj dość ciekawe. Zupełnie małe i nieco podrastające dziewczynki, jedne na ziemi przysiadłe, inne stojące, inne jeszcze u ramion towarzyszek, u odrzwi, u zawias uczepione, jedne nad drugiemi wznosiły się wysokim pasem, tak z sobą zmieszane, że niepodobna byłoby wyraźnie dojrzéć, która z tych małych głów należała do którego z tych giętkich, szczupłych ciał i widać było tylko drobne ramiona opasujące cienkie kibicie, białe pończoszki na tle ciemnych sukien i białe szerokie krézy, które jak na talerzach podnosiły małe głowy, jasno i ciemnowłose, z których każda miała parę szeroko otwartych, ciekawych, błyszczących oczu. Były tam małe palce przyłożone do figlarnych ust z cichym wykrzyknikiem: cyt! ruchliwe małe stopy depcące po białemi fartuszkami okrytych kolanach, pozy podane naprzód, albo wspięte na palcach, zaczajone,

z podniesionemi rękami jakby ulatujące, a wszystko to razem, jakkolwiek milczało, wrzało ruchem barw i linii, wezbranem wesołem życiem. W ten to sposób prawie codziennie, przez szczelinę wpół otwartych drzwi, dzieci tłumnie przypatrywały się pochodowi zakonnic do refektarza, którego posępny i uroczysty widok obudzał w nich wieczną ciekawość, a którego zbliżanie się oznajmił im zasłyszany zdala szmer ich zbiorowéj modlitwy. Dobre siostry spostrzegały to wykroczenie przeciw regułom zakonu i pensyi, lecz pobłażliwie udawały, że go nie spostrzegają. Czasem tylko, na tyłach ruchoméj kolumny odzywał się gruby głos matki Norberty, któremu wtórowało dzwonienie groźnie wstrząsanych kluczy i wtedy w mgnieniu oka rozsypywała się ona i z rozbiegającemi się we wsze strony strumykami cichych śmieszków, nikla. Ale dziś matka Norberta gdzieindziéj, snać, zajęta, nie nadchodziła i kolumna splątanych ubrań, członków i głów dziecinnych, w wąskim otworze drzwi dość długo stała naprzeciw czarnego orszaku z zasłoniętemi twarzami i zgiętemi szyjami, z płomykami zapalonych świéć i złotych krzyży, sunącego bez szelestu kroków, lecz z basowym gwarem półgłosów, długim korytarzem, w wielkiéj światłości dziennéj, przez smugi słonecznych blasków. W tém, coś tam stało się nadspodziewanego, jakieś małe stopy zbyt silnie przycisnęły jakieś szczuple kolana czy ramiona, bo ze środka kolumny ozwał się przytłumiony, ale rozgniewany krzyk: „Klarciu, co robisz?“ u szczytu jéj coś jednego, drugiego, trzeciego zaparskało śmiechem, podstawy jéj zachwiały się i wszystko runęło, rozsypując się na części i z hałasem zatrzaskując drzwi, za któremi dały się tylko słyszéć stuki upadków, krzyki przestrachu, ciche początki kłótni i górujące nad wszystkiém długie, zanoszące się, szybko kędyś z tententem stóp oddalające się śmiechy. U brzegu spuszczonego welonu z pąsowych ust przełożonéj, nieposkromiony uśmiech spędził na chwilę słowa modlitwy; koścista matka Floryanna kilka razy mocno pociągnęła nosem, aby głośno nie zaśmiać się; z dalszych szeregów kilka spojrzeń z rozweseleniem albo czułością, pod spuszczonemi welonami ku zatrzaśniętym ze stukiem drzwiom i znikającéj za niemi żywéj kolumnie strzeliło; ale były téż tam głowy, które zatrzęsło oburzenie, usta, które wykrzywiły się niesmakiem i oczy, które, dla uniknięcia dalszych zgorszeń, usiłowały nie podnosić się już z nad ziemi. Siostra Mechtylda czuła teraz piekącą nienawiść dla młodości, wesołości, śmiechu, dla blasków dnia, zieleni drzew, śpiewu ptaków. Wszystko to było tylko jednem, wielkiém naczyniem, w którém gotowały się grzech i śmierć, pułapką na dusze ludzkie, na jéj duszę, którą... kusiły. Ach tak; nienawidziła je, dla tego właśnie, że zaleciał ją ich powab. Gdy z pod ciemnéj arkady

wyszła na olśniewająco jasny korytarz, uczuła wpadającą w pierś jéj kroplę radości, smugi słoneczne, które czarną swoją postacią przerzynała, ciepłą pieszczotą głaskały jéj poranione plecy; od ogrodowéj gęstwiny świeży powiew wkradł się pod spuszczony welon i błogo ochładzał jéj płonące oczy; nakoniec, na tę kolumnę z żywych, dziecinnych ciał z za rąbka wełnianéj tkaniny patrzała długo, przestając modlić się... Ach, nieszczęsna! Jakże mało, mało jeszcze klasztorne mury i kraty rozdzielały ją od świata! Pustyni zapragnęła, takiéj ciemnéj, głębokiéj groty, do któréjby nigdy nie zajrzało spojrzenie słońca, ani człowieka. Nic, tylko ciemności, przy bladéj lampce widoku trupiéj czaszki, wiecznéj ciszy i samotności... pustyni!

Dnia tego, może z przyczyny całonocnego czuwania, lub że niedawno opuściła ją gorączka, czuła się bardzo głodną. Od pobliskich kuchen do mrocznego i wiecznie chłodnego przedsionka refektarza zalatywały zapachy jadła. Siostra Mechtylda w myśli mówiła swojemu ciału, że udręczy je w sposób dziś dla niego najdotkliwszy. Za to, że uczuło ono radość światła i pieszczotę ciepła, znosić będzie męczarnię głodu. Za to, że wnętrzności jego spłodziły dziś znowu grzech wspomnień i gniewu, rozedrze i skurczy je głód. Postanowiła nie jeść.

W refektarzu daleko widniéj niż w dzień bywało wtedy, gdy paliły się w nim lampy, na żelaznych łańcuchach z wysokiego sklepienia zwisające. Teraz, w wiosenne słoneczne południe, tak mało światła przenikało doń przez wąskie, gęsto okratowane okna, że napełniał go zimny, szarawy zmrok, w którym bielały płótna zaściełające długie stoły i połyskiwała lampa zawieszona u świętego posągu, w głębi na kilku wschodach stojącego i tonącego prawie w koronkach i kwiatach. Na małéj, kunsztownéj, u jednego z okien wznoszącéj się ambonce, jedna z sióstr czytała głośno przypadający na dzień ten żywot świętego, a z leniwym i trochę nosowym jéj głosem mieszały się lekkie dźwięki metalowych naczyń i ciche kroki posługujących dokoła stołów nowicyuszek. U stołów siedzące szeregi zakonnic, czarno odbijały na tle drewnianych poręczy ławek, przerzniętych szlakiem wymalowanych na nich scen niebieskich, czyścowych, piekielnych. Spożywając pokarm cielesny, każda z sióstr przy najlżejszém obejrzeniu się, spotkać mogła wzrokiem wznoszącego się za jéj plecami anioła, albo szatana, kosę śmierci lub aureolę świętego. Takież same malowidła, unosiły się nad refektarzem w najwyższéj głębi sklepień, błyskając śród zmroku złotem glory, szafirem niebios, bladością ciał potępieńców i czerwonością szat w niebo branych. Za szerokiém oknem kuchenném, przez które posługujące siostry przyjmowały kociołki i misy z żywnością, widać było zdala pobłyskujący płomień kuchni; odpowia-

dały mu, daleko bledsze, ruchome promyki słoneczne, które z zewnątrz wieszały się i wiły po kratach okien, przez drobne szyby i głębokie nisze, do wnętrza refektarza dostać się nie mogąc.

O kilka kroków od świętego posągu, na têm samêm co on wyniesieniu, przełożona siedząc w samotnéj swojéj ławce, powoli czerpała zupę z cynowéj miseczki, srebrną łyżką, na któréj, wraz z dziewięciopałkową koroną, znajdował się wyrznięty herb jéj rodu. Córka wielkopańskiego domu, za mało piękna i bogata, aby z łatwością znaleść mogła w świecie położenie urodzeniu swemu odpowiednie, z natury i wychowania głęboko wierząca, przywdziała suknie zakonne ze spokojem pewności, że tym sposobem godzi skłonność swojéj duszy z wymaganiami swego imienia i świata. Uwiadomiono ją i w głębi sama była tego pewna, że zarówno przynoszone przez nią klasztorowi wysokie stosunki, jak osobiste jéj przymioty, wcześnie zdobędą dla niéj w klasztorze miejsce naczelne. Ta zachęta, która jéj przebycie tych progów ułatwiła, teraz w rzeczywistość zamieniona, sprawiała jéj zadowolenie spokojne, ale wystarczające. Z umiarkowaniem sprawując władzę, lubiła ją i rzeczom niebieskim nieskończoną wyższość nad ziemskiemi przypisując, mniemała, że i w tych drugich może znajdować się niekiedy coś niewinnego a miłego. Było w niéj połączenie doskonale uczciwéj zakonnicy z wytworną i energiczną kobietą. Idealistyczny kierunek myśli i bardzo czysta wyobraźnia chroniły ją od wszelkich pokus i chęci, ze stanem jéj niezgodnych; natomiast, nie myślała wcale, aby Bóg wielki mógł czuć się obrażonym tak drobnemi przekroczeniami reguły zakonnéj, jak posługiwanie się srebrną łyżką z wyrytym na niéj herbem, na który, żadnéj wagi do światowych wielkości nie przywiązując, lubiła jednak czasem popatrzéć, — albo użycie pięknego kobierca pod stopą i miękkiéj poduszki pod głowę, bez których zdawałoby się jéj, że już za życia i bez bardzo widocznéj przyczyny, popadła w szpony dyabelskie. Nie wyobrażała też sobie, aby w upieczonêm udzie indyka czaił się i na nią czyhał grzech śmiertelny; lubiła pieczone ptastwo i słodkie ciastka, nie wierząc, aby duch złego mógł być wynalazcą tak dobrych rzeczy. Dla jednych ze swoich sióstr zakonnych uczuwała serdeczną przyjaźń, dla innych tylko miłość w Chrystusie, ale dobrobyt i zdrowie wszystkich mocno na sercu jéj leżały. To właśnie było przyczyną, dla któréj energicznie i gorliwie zajmowała się materyalnemi sprawami klasztoru, krzątając się po nim we wszystkie wolne od koniecznych nabożeństw chwile, w parloarze klasztornym długie rozprawy, tocząc przez kratę ze świeckimi doradzcami i pomocnikami swymi, często na długie godziny zatapiając się w rachunkach. Ta nieustanna prawie czynność ustalała jéj dobry

humor, który też i u innych lubiła, nieśmiało myśląc, że dobre zdrowie i przystojna wesołość milszemi wydawać się muszą dobremu Bogu, niż udręczone ciało i zasępiona dusza. O zbawienie swojéj duszy była dość spokojna, o miłosierdziu Pana myśląc daleko częściéj, niżeli o jego sprawiedliwości. Ilekroć zaś uczuła, że popełniła błąd lub grzéch, po wiele razy wołała w myśli: „o Panie, Panie, któż się przed tobą ostoi!“ a porównanie niezmiernéj wielkości Boga z niezmierną jéj małością zupełnie ją uspakajało. Alboż tak wielka istota mścić się może nad tak małą? Alboż ona mściłaby się na mrówce, boleśnie nawet przez nią ukąszona? Dokonywała przepisanéj przez regułę pokuty, niczém jéj nie łagodząc i niczém nie zaostrzając, poczém znowu na długo napełniał ją zupełny pokój z niebem i z ziemią. W świecie, za nieładną kobiétę poczytywana, stała się bardzo ładną zakonnicą. Światowe jéj krewne i znajome, które niekiedy ją odwiedzały i które ona w kapitulnéj sali przyjmowała na adamaszkiem obitych fotelach i częstowała czekoladą z biszkoptami lub wybornemi z klasztornego ogrodu owocami, mówiły jéj to nieraz, a ona z uśmiechem odpowiadała, że Bóg, który stworzył motyle i tęczę nie może przekładać grubiaństwa nad wytworność, szpetoty nad wdzięk. Istotnie, jéj twarz różowa i pąsowe usta, a nadewszystko szafirowe jak bławatki oczy, z czarnych osłon welonu wyglądały świeżością i wdziękiem, a kibić, w starannie zawsze ułożonych fałdach habitu, nieco ciężka, miała miękką okrągłość kształtów i taką powagę ruchów, że same jedne zdradzały w niéj one dostojniczkę kościoła, z domu księżniczkę.

Taką była matka Romualda. Teraz, niepodobna byłoby zaręczyć, czy z należytą uwagą przysłuchiwała się żywotowi Ś-go Aniceta, męczennika, czytanemu na pięknéj ambonce, nosowym i nudnym głosem apatycznéj i wiecznie zdającéj się usypiać siostry Elżbiety. Z bardzo małém upodobaniem jedząc rosół, który też miseczki wszystkich zakonnic napełniał, niespokojne trochę spojrzenia rzucała na okno kuchenne, za którém spostrzegała matkę Floryannę w podniesionym habicie i zawiniętych po łokcie rękawach, krzątającą się wśród próbantek, które jéj w kuchennych zajęciach dopomagały. Jeszcze trochę, a rozkazałaby któréj z posługujących nowicyuszek przywołać matkę Floryannę, ale ona sama, z za okna zniknąwszy, po krótkiéj chwili do refektarza weszła i w całéj długości go przebywszy, przed matką Romualdą dwa przyniesione talerze postawiła. Jak zwykle bywało, z przyjaznem kiwnięciem głowami uśmiechnęły się do siebie. Szafir oczu matki Romualdy nabrał żywszego blasku. Żywot Ś-go Aniceta nie był jeszcze skończony, więc cicho szepnęła.

— Pieczone kurczątko! Oho, siostro, skądże wzięłaś je tak

wcześnie? I sałata z oliwą... Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Ale wiesz co? rosół był nie dość mocny; dla mnie to nic, ale dla tych naszych świętych, które umartwiają się, każda potrawa powinna być pożywną. Tak, tak! popatrz tylko siostro! Niektóre takie słabe, że ledwie żyją. Biédaczki! Wiem dobrze, że to dla chwały Pana, ale boję się o zdrowie tych owieczek. Mocniejsze rosoły każ gotować, siostro, mocniejsze! Jak siły do reszty stracą, nie będą mogły Pana Boga chwalić, co zaś najważniejsze (tu szept jéj stał się jeszcze cichszym), to że nie można na pewne wiedzieć, czy w głodném ciele posępna dusza może bardzo podobać Panu, który stworzył ciepłe i jasne słońce!

Matka Floryanna podzielała snać tę wątpliwość, bo kilka razy potwierdzająco głową zatrzęsła, poczém, ku przełożonéj pochylona, z kolei zaszeptała:

— Na piątek i sobotę pud ryb kupiłam... Szczupaki i okónie. Z białym sosem przyrządzę, matce wielebnéj usmażyć pewno? prawda? I znowu sałatka z oliwą? Na drugie jarzynka. Dla matki wielebnéj może parę jaj faszerowanych, co?

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! — odszepnęła matka Romualda, ale uczyniła to z roztargnieniem, uparcie w jeden punkt refektarza zapatrzona. Brwi jéj zsunęły się, miękkie, różowe ręce nad rozkrojoném na talerzu kurczęciem zawisły nieruchomo, trzymając nóż i widelec, na których znajdowały się wyrznięte herby książęce, z dziewięciopałkową koroną.

W téj saméj chwili po refektarzu rozległo się głośne, nosowym głosem wymówione: *Amen* i siostra Elżbieta, leniwym chodem i z senną twarzą z ambonki zstępować zaczęła. Wtedy matka Romualda sztućce na talerzu położyła i spokojnie, ale nieco podniesionym głosem wymówiła.

— Siostro Mechtyldo! Tak słabą jesteś, że idąc chwiejesz się na nogach, onegdaj w kaplicy Najświętszego serca siostra Wincenta zaledwie zdołała otrzeźwić cię z omdlenia, teraz znowu zadajesz sobie umartwienie zupełnego postu...

Sama jedna w szeregu zakonnic, które poruszały ustami i rękami, a nawet, pomimo Ś-go Aniceta, nachylały się czasem ku sobie i z cicha szeptały, siedziała ona z welonem po usta spuszczonym, ze sznurem na szyi, z rękami wsuniętemi w szerokie rękawy habitu, plecami o poręcz ławki oparta i tak nieruchoma, że za posąg nocy wziąćby ją można. Jadło na dwóch talerzach nieporuszone przed nią stało; pod rąbkiem welonu, usta jéj zaciśnięte i tak prawie jak widzialny dół policzków blade, zarysowywały wązką i nieprzezwyciężoném cierpie-

niem wykrzywioną linię. Słowa przełożonéj usłyszawszy, powoli, w całéj wysokości swojéj wysmukłéj postaci wstała i na znak, że pokornie słucha, nisko pochyliła głowę. Matka Romualda mówiła jeszcze.

— Są tylko pewne godziny i okoliczności, w których święta reguła nasza nakazuje nam zakrywać twarze. W innych, dozwolone nam jest bez przeszkody patrzéć na światło i oddychać powietrzem bożém. Dobrze jest patrzéć na światło i oddychać powietrzem, które Bóg stworzył. Słabe ciało nasze pokarmu także potrzebuje, aby z niém razem nie omdlewała dusza. Bóg stworzył i ciało i duszę. Dobrze jest dzieło jego strzedz od zniszczenia. Zdejm, siostro, powróz z szyi, odsłoń twarz i spożywaj pokarm w spokoju, z wdzięcznością dla Tego, który cię nim obdarzył.

Pierwszéj części tego rozkazu, tonem życzliwéj rady wymówionego, siostra Mechtylda natychmiast usłuchała: zdjęła z szyi sznur i nad twarzą podniosła welon. Matka Romualda z zadowoleniem wymówiła:

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze!

I już srebrne sztućce z talerza podjąwszy w piersi kurczęcia zatopić je miała, gdy spostrzegła, że siostra Mechtylda stała jeszcze i usłyszała wyraźnie wymówione przez nią słowa.

— Uczyniłam pokutną intencyę skarcenia ciała mego głodem za grzéch dziś popełniony.

Teraz, zdala patrzały na siebie, jednostajnie ubrane, jednostajnemu powołaniu oddające się, lecz gruntownem niepodobieństwem swojém przedstawiające bogactwo natury, które z ludzi, wszystkiemi pozorami jednostajności obleczonych, tworzy nieprzebranie różne zjawiska. Siostra Mechtylda, jak zwykle w okolicznościach takich, miała na zaostrzonéj i białéj, jak opłatek twarzy, wyraz ząciętéj surowości i uporu. W matce Romualdzie, zmieszanie, pochodzące z czci, którą miała dla téj najświętobliwszéj, walczyło przez chwilę z tym głuchym gniewem, który towarzyszy zawsze starciu się dwu natur, wręcz i gruntownie ze sobą sprzecznych. To pieczone kurczę, zresztą, tak długo już przed nią stało i ta święta siostra tak wyglądała, że patrzéć tylko jak obłożnie zachoruje. Wszystko to sprawiło, że wyprostowała się i z postawą wyniosłą, z roziskrzonym szafirem oczu, rozkazująco przemówiła.

— Nie najmniéj ważnym punktem świętéj reguły naszéj jest posłuszeństwo dla zwierzchności. Prawem zwierzchności udzielonéj mi przez wolę Boga i wybór sióstr naszych, zdejmuję z ciebie, siostro intencyę twoją i rozkazuję ci, abyś jadła.

Rzekłszy to, nóż i widelec znowu w piersi kurczęcia zatopiła, ale nie uspokoiła się wcale. Uczuła, że zgrzeszyła dumą i gniewem i po kilkakroć w myśli zawołała: „o, Panie, Panie, któż się przed tobą ostoi?“ Poczém jeszcze pomyślała, „trzeba to będzie jednak odpokutować!“ i do stojącéj dotąd obok niéj matki Floryanny szepnęła.

— Nie trzeba na jutro jaj faszerowanych, siostro, nie, nie trzeba! Na jarzynce poprzestanę...

Siostra Mechtylda jadła, ale bardzo powoli, tą powolnością usiłując jeszcze drażnić i dręczyć zgłodniałe swoje ciało. Z oczu jéj do miseczki z jedzeniem, spadło kilka łez. Wrzała buntem, który jednak na zewnątrz, objawił się tylko temi kilku niepodobnemi do powstrzymania łzami. Ze wszystkich przepisów zakonnéj reguły, posłuszeństwo było najtrudniejszém dla téj duszy tak ognistéj, że zawsze rwała się ku krańcom, i tak dumnéj, że pogardzała wszystkiém, co nie było nią. Dziś szczególniéj, aktu posłuszeństwa dopełniała z wrzącym buntem i głuchą krytyką téj zwierzchności, która jéj wolę ugięła. Jakże mało sama ta zwierzchność urzeczywistniała ducha wyrzeczenia się i umartwienia! Jakże niedostatecznie klasztor ten zaspakajał dusze, spragnione absolutnego rozbratu z ziemią i doskonałéj spójni z Bogiem! Kędyż więc szukać ich miały, dokąd od ziemi uciekać? Którędy dążyć do nieba? O, pustyni! ciszo doskonała, zupełna nieobecności istot, słodkie, nieprzerwane, wieczne sam-na-sam z Bogiem... o, pustyni!

Jadła nie dużo, bo przecież dużo jeść jéj nie rozkazano i z gwałtem woli jeść przestawszy nagle, przypomniała sobie celę siostry Kajetany. Ach, tak, widziała raz tę celę i słyszała o niéj wiele... Z ponurych jéj oczu błysnęła radość. W klasztornych głębiach dojrzała rąbek pustyni...

(*d. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*





CAVOUR.



„Cavour.“ von M. Bernardi. Hamburg. 1889.

Do niepospolitych, rzadko spotykanych w dziejach narodów ludzi, należał Kamil Cavour. Czy był wielkim mężem w ogólném znaczeniu, czy tylko wielkim włoskim dyplomatą, któremu odrodzona Italia zawdzięcza w znacznéj mierze swoje zjednoczenie? Przyglądając się jego życiu i czynom trzeba się zgodzić, że był on przedewszystkiém znakomitym mężem stanu włoskim, że go można postawić obok ludzi téj miary, co Richelieu, Bismarck i niewielu innych. Zostać wielkim u swoich przez zasługi położone dla swoich, jest może trudniéj, niż zostać wielkim w ogólno-ludzkiém znaczeniu, według starego *adagium*, iż „nikt prorokiem w ojczyźnie swojéj.“ Jeżeli zaś o znakomitym obywatelu opinią swoich potwierdzą obcy spółcześni i potomni, mamy prawo sądzić, że wyrok ten bliskim jest prawdy. Otóż, tak było z Cavour'em i dlatego przypomnienie dzisiejszemu pokoleniu téj głośnéj postaci może być i zajmującém i pożyteczném, zwłaszcza, że nie przypominamy sobie, ażeby w literaturze naszéj, oprócz dziennikarskich i dawno zapomnianych artykułów, znajdowało się jakieś obszerniejsze nieco studyum, poświęcone inicyatorowi zjednoczenia włoskiego. Korzystamy w niniejszym szkicu z opracowania niemieckiego przytoczonego w nagłówku.

Kamil Cavour urodził się w Turynie 1810 r. Zarówno ojciec jego, margrabia Michał Cavour, jak i matka, Adela de Sellon d'Allamann należeli do sfery arystokratycznéj, co, jak zobaczymy, wpłynęło na pewną dysharmonią między ojcem a synem, którego mózg nie był tak skostniałym, jak rodzica, a stąd podatniejszym dla wpływów nowego czasu. Pomimo otoczenia i wychowania w przesądach arysto-

kratycznych, młody Cavour umiał się z nich otrząsnąć; nie gardząc wykwintnemi formami, do jakich go za dzieciństwa wdrożono, nienawidził jednak sztywnéj etykiety. Wyzwolenie się z pęt mandaryńskich, zapowiadało niejako pragnienie wyzwolenia Włoch z pod obcych panów. Nieraz w późniejszém życiu zmuszony obowiązkami, znękany przeszkodami, wolał szukać odświeżenia umysłu na wsi, wśród pól ryżem obsianych, między włościaństwem, niż we wspaniałym zamku rodzinnym. Kochali go też włościanie, jak zresztą wszyscy, którzy mogli się doń zbliżyć i lepiéj poznać. On téż zapewniał nieraz, że widok pracującego ludu, zielonych łąk i bujnych łanów zboża więcéj mu sprawiały przyjemności, niż oklaski sejmowe.

Przy takiém usposobieniu i temperamencie syna, łatwo zrozumiéć antagonizm z ojcem, który myślał o świetnéj dla niego karyerze w wojsku i na dworskich posadzkach. Więc téż 14-letniego Kamila oddał na dwór księcia Carignano, ażeby się ćwiczył na pazia. Służba nie była trudna, chłopak stał się wkrótce ulubieńcem dworu; ale liberya z tego czasu pozostawiła w umyśle niezależnym przykre wspomnienie. Jeszcze w 30 lat późniéj, gdy razu pewnego w zaufaném kole wszczęła się rozmowa o téj paziowskiéj służbie i gdy go pytano jak chodził ubrany, odrzekł gniewnie: „Jakże mieliśmy być ubrani, ot jak lokaje, bo téż byliśmy lokajami; jeszcze dzisiaj płonę ze wstydu na wspomnienie tych czasów.“

Serwilizmu i obłudy nienawidził serdecznie, a próżność i pychę smagał szyderstwem; poczucie sprawiedliwości stanowiło inny dodatni rys jego charakteru. Zdarzyło się, że sześcioletniego chłopca wzięli rodzice do Genewy, gdzie mieszkała spokrewniona z nimi rodzina de la Rive. Zaledwie się przywitano, gdy w tém mały Kamil jął opowiadać z uniesieniem, że pocztmistrz na ostatniéj stacyi dał im tak liche konie, iż wuj powinien go pozbawić urzędowania. Kiedy go zaś wuj upewniał, że nie ma prawa z miejsca usunąć pocztmistrza, mały uparciuch zawołał: „Ale ja chcę tego! Muszę pójść do nadsyndyka i rzecz mu przedstawić.“ Rzeczywiście posłano go żartem następnego dnia do nadsyndyka, z którym się rodzina de la Rive przyjaźniła. Małego Cavour'a przyjęto z wszelkiemi ceremoniami, a ten śmiało przedstawił swoję prośbę. Wróciwszy do domu, zdaleka już wołał: „Widzi wuj, że poczmistrz będzie usunięty.“

Obok surowego poczucia sprawiedliwości miał Cavour serce gorące i wrażliwe, ale uczuć swoich nie wystawiał na pokaz. Wsparcia pieniężne udzielał tylko tam, gdzie zachodziła nieodzowna potrzeba, lub gdy widział, że mogą stąd wyniknąć pożądane skutki; sprzeciwiał się również wszelkiemi siłami niezasłużonéj protekcyi, popieranéj bądź

intrygą, bądź przez *kamorrę*. Na każdą prośbę, jakie przy wysokiém stanowisku licznie doń napływały, dawał bezwarunkowo odpowiedź. Jeżeli chodziło o ludzi przedsiębierczych i utalentowanych, którym brakło środków, starał się wyjednywać wsparcia, lub dawał je z własnéj kieszeni; szczególniéj zaś popierał przedsięwzięcia przemysłowe i wynalazki.

Pod względem religijnym, daleki był Cavour od wszelkiéj bigoteryi lub marzycielstwa; natomiast tolerancyą posuwał do ostatecznych granic, szanował każde wyznanie i wszelkie przekonania religijne, a nawet przesądom mas przyznawał pewne prawa. Taktowne jego postępowanie podczas roztrząsania praw, mających na celu zniesienie przywilejów duchowieństwa, było wynikiem nietylko mądrości i ostrożności politycznéj, żeby w chwili wielkich przemian nie zatracić lub nie osłabić uczucia religijnego w narodzie; ale również miało swoje źródło w szacunku, jaki żywił dla religii i sług jéj. Cavour'a niewiele obchodziły wszelkie szperania filozoficzne i sentymentalizm; był to raczéj umysł jasny, praktyczny i trzeźwy, który nie zaprzątał się dociekaniami metafizycznemi, a jeżeli rozmowa czasami na ten przedmiot zeszła, zwykł był mawiać: *Que sais-je?* Myśli jego rozwijały się zawsze systematycznie i logicznie, a zimne i bezstronne traktowanie faktów oraz ich skutków, bez żadnego względu na osobiste poglądy lub uczucia, było źródłem jego wielkości i stanowiło osobliwy kontrast z gorącą i wrażliwą jego naturą. Opowieść jakiegoś czynu szlachetnego przejmowała go zapałem i ściągała nieraz łzy do oczu, ale równie wpadał w gniew i oburzenie odkrywszy niesprawiedliwość, któréj następstwa dotknęły niewinnego.

Cavour był niepospolitym fizyognomistą i przypisywał wielkie znaczenie pierwszemu wrażeniu tak, że przyjacielskiém i otwartém obejściem łatwo go było pozyskać; stąd téż sąd jego nie zawsze był trafny. Sam uprzejmy i niewymuszony, wymagał téż od innych owéj grzeczności, uwagi i przyjacielskości, które stosował bez różnicy tak względem możnych, jak i ubogich; owego ukształcenia serca, które cenił wyżéj nad wiedzę i poprawne formy.

Związki rodzinne uważał za święte i chętnie wspominał, nawet w późniejszych latach, swoje dzieciństwo, pieszczoty żeńskich krewnych, oraz przywiązanie do swéj ciotki, księżny Clermont-Tonnerre, która mieszkając długi czas w domu jego rodziców, kochała go serdecznie i jak sam mówił, posiała w jego sercu zarodki cnót i szlachetności. Nie mniéj dodatni wpływ na dziecinną duszę wywierała matka jego, osoba pełna łagodności, uczucia i pobożności. Śmierć którego-

kolwiek z członków licznéj, ale w bliskich ze sobą zostającéj stosunkach rodziny, odczuwał boleśnie.

W r. 1831 stracił prawie jednocześnie wysoce szanowanego krewnego, Huberta Benso Cavour'a, i wuja swego, hrabiego d'Auzers. Po złożeniu zwłok w grobie rodzinnym w Santena, pisał do ciotki, hrabiny Sellon w Genewie: ....„W obec tych mogił, człowiek uczuwa całą znikomość tego świata. Co do mnie, nawet i tego nie było potrzeba, ale zapewniam panią, że mnie to skłoniło jeszcze bardziéj do wyrzeczenia się wszelkich pragnień sławy.“ Myśli tego rodzaju w ustach 21-letniego młodzieńca każą się domyślać wczesnéj dojrzałości jego umysłu, a razem świadczą o tém, że Cavour w wieku, kiedy-to młodzież dąży do uciech, opracowywał w swéj głowie projekta polityczne i że pragnienie sławy wcześnie się w nim zbudziło.

Nie można powiedziéć, żeby Cavour'a łączył z ojcem stosunek przyjaźni i czci, jakie żywił np. dla wujów swoich, księcia Tonnerre, lub hrabiego de Sellon, gdyż markiz Cavour, ze względu na swoje pojęcia i stanowisko, hołdował zasadom, które liberalnemu i zapalonemu entuzyaście wolności, za jakiego uchodził syn markiza, były wręcz przeciwne. Ojciec Cavour'a, niegdyś szambelan przy księciu Borghese, następnie gubernator Piemontu, został w r. 1835 wikarym, czyli naczelnikiem policyi miejskiéj w Turynie. Do stanowiska tego przywiązane były również rozległe funkcye polityczne, mianowicie, obok czuwania nad spokojnością publiczną i porządkiem, nadzór nad podejrzanymi o wolnomyślne pojęcia, co publiczność nazywała szpiegowaniem. Każdy łatwo zrozumié, że stanowisko podobne w państwie absolutném i przytém jeszcze w epoce prześladowań politycznych, mogło tylko narazić na nienawiść ludzką. Naczelnik policyi, z mocy swojego urzędu, posiadał władzę nieograniczoną i znosił się wprost z królem. Wśród ogółu krążyły wieści, że ojciec Cavour'a nadużywa téj władzy i wpływu swojego na dworze, nietylko żeby dogodzić swoim sympatyom i antypatyom, ale również dla powiększenia fortuny. Nie ma potrzeby bliżéj wyjaśniać, że oszczerstwa powyższe były oparte na nienawiści i zemście; faktem jest, że dobre imię ojca Cavour'a w oczach wszystkich uczciwych ludzi Piemontu zostało bez skazy, chociaż z drugiéj strony jest równie pewném, że cierpki jego charakter czynił go nie bardzo popularnym tak na dworze, jak i wśród publiczności.

Niepopularność ojca utrudniała karyerę synowi. Jednakże w tych okolicznościach objawił się rycerski umysł Cavour'a, jeżeli bowiem jego samego w jakimś dzienniku zaczepiono, nie odpowiadał wcale, lub

zbywał przeciwników ironią; gdy jednak chodziło o ojca, wstępował osobiście w szranki.

Zdaje się, że między nim a starszym bratem Gustawem, który należał do partyi klerykalnéj i wiernie hołdował zasadom arystokratycznym, feudalnym, także brakło serdecznego węzła.

Młodemu Cavour'owi wybrano karyerę wojskową i w 10-ym roku życia posłano go do królewskiéj szkoły wojskowéj w Turynie, gdzie okazał nadzwyczajne zdolności do matematyki, i zakład ukończył w 16-ym roku życia ze stopniem oficera inżenieryi. Pierwszą załogą stał w Ventimiglii na Rivierze, drugą w Genui, któréj klimat słoneczny, ruchliwe życie, a być może pewien duch liberalny, jaki ją wyróżniał pośród wszystkich miast włoskich, bardzo mu dogadzały. Wzrostu średniego, jasny blondyn, rumiany i *bon enfant* w całém tego słowa znaczeniu, sprawiał Cavour wówczas wrażenie dobrodusznego bursza z sercem na dłoni. Małe, siwe oczy pryskały iskrami, a na ustach błądził zwykle życzliwy uśmiéch, który i w najcięższych czasach zaledwie na chwilę znikał. Będąc z usposobienia wesołym, lubił żarty, dowcipy i puste zabawy w epoce, która w życiu jego była może najszczęśliwszą. Wkrótce też pozyskał serca towarzyszów broni i stał się ulubieńcem salonów arystokratycznych, nad które jednak wyżéj cenił serdeczny stosunek z rodziną szwajcarską de la Rive.

W młodzieńczéj zarozumiałości, nie umiał trzymać języka na wodzy, tak iż pewnego razu wymknęła mu się humorystyczna, szydercza uwaga o życiu dworskiém. Otóż, jeden z przełożonych Cavour'a, widząc w młodym, żywym oficerze umysł niespokojny i burzliwy, zakomunikował księciu Carignano powyższą uwagę, przeinaczywszy ją złośliwie; książę chcąc jawnie skarcić Cavour'a, zaraz po wstąpieniu swojém na tron wysłał go do głuchego i osamotniego fortu Bard, w dolinie Aosty. Bezczynność, samotność, wstręt do karności wojskowéj, która w wesołéj Genui niewiele mu się uczuć dawała, przedewszystkiém zaś oburzenie na postępowanie despotyczne, przyprawiły go o smutek, którego nie mógł opanować, tak że w końcu prosił ojca o pozwolenie wzięcia dymisyi, którą też otrzymał. Potém zamieszkał w domu rodzicielskim, przebywając częścią w mieście, a więcéj w dobrach na wsi, skąd przedsiębrał częste wycieczki do Genewy. Wówczas już pewnie, albo może i wcześniéj, obudziły się w nim spółczucie dla smutnéj doli Włoch i żywa skłonność do działalności politycznéj, nie pozbawiona pragnienia sławy i wielkości. Listy z owego czasu świadczą o tém, jak niemniéj dowodzą, o ile Cavour był dojrzalszy nad swoje lata. W r. 1829 pisał do jednego z angielskich przyjaciół: „....Ubolewaj pan nad tymi, którzy, będąc napojeni szla-

chetnemi zasadami cywilizacyi nowożytnéj, muszą się tylko przyglądać spustoszeniom, jakie austryacka gospodarka Włochom przynosi.“ A w liście z dn. 2 października 1832 r. do margrabiny Julii Faletti di Barolo, wyznaje zupełnie otwarcie, że już pierzchły jego złudzenia próżności, jego marzenia o sławie, wielkości i potędze.

„Wyznaję szczerze—pisze on—że był czas, gdym sądził, iż siły moje przezwyciężą wszystko, gdym uważał za rzecz zupełnie naturalną, iż pewnego pięknego poranku obudzę się na stanowisku pierwszego ministra Włoch.“

W Turynie przestawał wiele ze znakomitymi emigrantami francuskimi, a przeważnie ze wzmiankowaną wyżéj margrabiną, któréj bystry umysł i sąd trafny bardzo go pociągały, mimo różnicy wieku i przeciwnych poglądów politycznych. Margrabina bowiem była zapaloną legitymistką, a młody hrabia zwolennikiem Royer'a Collard'a i Kazimierza Perrier'a. Częstym także gościem bywał Cavour w domu p. de Barante, człowieka zarówno światowego, jak i przenikliwego polityka, który obudził w nim istotne zrozumienie i sympatyą dla narodu francuskiego. Stosunek z *attaché* poselstwa francuskiego, hrabią Haussonville, ściągnął na Cavour'a czujność policyi austryackiéj.

Kiedy w r. 1832 poseł austryacki w Turynie dowiedział się, że młody hr. Cavour żądał paszportu do Lombardyi, ostrzegł tamtejszą policyą następującém pismem:

„Młody ten człowiek należy do jednéj z najznakomitszych rodzin w Piemoncie, a ojciec jego, powszechnie szanowany, martwi się bardzo postępowaniem swego najmłodszego dziecka. Wszelkie usiłowania, ażeby go skierować na właściwą drogę, okazały się daremne. Potrzebuje on ciągłego nadzoru, gdyż uważam go za człowieka bardzo niebezpiecznego.“

Dopiéro w r. 1836 otrzymał Cavour żądany paszport, a podróż odbywał strzeżony przez tajnych agentów, którzy go poprzedzali z miejsca na miejsce.

W tych czasach zajmował się on głównie studyami ekonomicznemi i historycznemi, przytém uczył się pilnie języków nowożytnych i literatury. Wkrótce jednak zatęsknił do Genewy. W r. 1829-ym pisał do ciotki swéj hr. de Sellon: „Czuję, że powietrze Genewy będzie dla mnie istotném dobrodziejstwem.“ Jednak dopiéro w r. 1835-ym udał się tam na czas dłuższy, po wydaniu pracy statystycznéj zleconéj mu przez rząd sardyński: „O instytucyach dobroczynnych w Anglii.“ Dzięki rodzinie matki i licznym stosunkom przyjaznym, Cavour czuł się w Genewie bardziéj swojsko aniżeli w Turynie; wiódł też życie towarzyskie zgodne ze swojém usposobieniem, mając przytem i dla

żądnego wiedzy umysłu obfity pokarm. Mieszkał bardzo skromnie i utrzymywał serdeczny stosunek z hr. de Sellon, księciem Clermont Tonnerre i jego rodziną. Stosunki z innymi krewnymi, jak i z ludźmi wybitnego umysłowego znaczenia, przykuwały go do Genewy, a szczególniéj dom wysoko ukształconego profesora fizyki Augusta de la Rive, korespondenta instytutu francuskiego, którego syn, znakomity publicysta i spółpracownik *Bibliothèque universelle de Genève*, w dziele swojém o Cavour'ze zostawił nam skarb rzeczywisty.

W towarzystwie tych uczonych, gdzie zwykle do późnéj nocy politykowano i rozprawiano, ruchliwy umysł Cavour'a, znalazł grunt odpowiedni, a wymiana myśli z ludźmi, znającymi rzecz swoją dokładnie, wzmocniła jego sąd i rozszerzyła poglądy. W tymże roku wyjechał po raz pierwszy do Francyi i Anglii, gdzie znalazł dla siebie świat zupełnie nowy. W Anglii uderzyło go harmonijne skojarzenie, we wszystkich warstwach społecznych, pojęć rojalistycznych z instytucyami tak liberalnemi, jakich nie posiadała nawet wolna Szwajcarya. Podziwiał zatém samorząd administracyjny, zupełny brak systemu protekcyjnego, który w Piemoncie wywierał taki ucisk na handel i przemysł, swobodę słowa i druku, któréj nigdy pod względem politycznym nie nadużywano, zdrowy rozum narodu, któremu dozwolono mieć własne zdanie; przedewszystkiém zaś budziła jego sympatyą narodowa świadomość Anglika, oraz wysokie poszanowanie dla kraju, którego urządzenia publiczne i prywatne miały mu od téj pory służyć za wzór tak dalece, że w późniejszych czasach zarzucano mu anglomanią. W Anglii, jak sam mówił, pojął dopiéro, że oprócz wysokiego rodu i wielkiéj uczoności, istnieje jeszcze godność osobista, a tém samém zrozumiał, co to są prawa człowieka — prawa narodu. Innemi słowy, tam dopiéro opromieniło go po raz pierwszy światło istotnéj swobody, nie mającéj nic wspólnego z rewolucyą, republikanami i demokracyą socyalną; tam mu się otworzyły oczy, tam zebrał wiadomości i doświadczenie, jakich nie nabyłby żadnemi studyami, tam nakoniec nauczył się porównywać i sądzić, i stał się, jak sam o sobie pisał do p. Naville w Genewie, umiarkowanym.

Nie mniéj uwagi poświęcał wysokiemu rozwojowi przemysłu w Anglii. Godzinami przesiadywał w fabrykach i warsztatach, badając drobiazgowo funkcyonowanie szczególniéj nowych machin rolniczych. Umiał też znaleść wstęp do większych właścicieli ziemskich, oraz gromadził notatki o rolnictwie angielskiém. Pobyt w Paryżu był dlań niemniéj pożyteczny. Listy jego z owéj epoki budzą podziw ze względu na jasność umysłu i dojrzałość sądu, z jakiemi tłómaczy najzawilsze kwestye społeczne i polityczne, a w listach tych pisze nie-

mal artykuły dziennikarskie, które, zdaje się, jakoby wyszły z pod pióra dojrzałego polityka, a nie 25-letniego młodzieńca.

W obu krajach nazwisko otworzyło mu podwoje najwyższych sfer społecznych, głównie jednak przebywał w kołach dyplomatycznych. Zbliżał się więc do wszelkich mężów stanu, polityków, wybitnych dziennikarzy i zawiązywał stosunki, które zapewne już wówczas wchodziły do jego planów na przyszłość. Mimo to nie osłabło w nim usposobienie wesołe i towarzyskie, kosztował zatém uciech łatwego życia w stolicy Francyi, a salon paryski, którego duszą były kobiéty inteligentne, gdzie książęta, hrabiowie, dyplomaci, malarze, śpiewacy i poeci obok siebie siadywali, wiodąc swobodne i niewymuszone rozprawy o polityce, nauce i sztuce, nazywał „rozkoszą któréj z niczém porównać nie można“. Dopiéro pobyt zagranicą — jak sam otwarcie mówi—wyléczył go ze śmiesznéj zarozumiałości, która jedynie z wysokiego urodzenia i bezpośrednich stosunków ojca z królem i książętami, kazała mu się uważać za istotę wyższą nad inne warstwy społeczne.

W tém miejscu pozwolimy sobie zrobić uwagę, że pomimo tego entuzyazmu, pomimo gorących uczuć wolności i równości, jakiemi oddychała Europa w pierwszéj połowie naszego stulecia, Cavour zrzucił z siebie tylko powłokę arystokratyczną t. j. ciasne przesądy kastowe. Umysł bowiem jego i dusza zostały arystokratycznemi w najszlachetniejszém znaczeniu tego słowa. Duma jego tak dalece oburzała się na późniejsze wymierzone przeciw sobie oszczerstwa, iż rzadko kiedy na nie odpowiadał, obcowanie zaś z ludźmi płaskimi było dlań uciążliwe i wstrętne.

W Paryżu odnowił znajomość z damą, któréj salon należał do najwybitniejszych, a którego gospodyni, osoba zarówno inteligentna, jak wykształcona i pełna uczucia, hrabina Anastazya Circourt, z domu Klustin, rosyanka z pochodzenia, zaślubiona pewnemu szlachcicowi francuskiemu, znana była Cavour'owi jeszcze z Genewy. Stosunek ten oparty na uczuciu czystéj i szlachetnéj przyjaźni, przetrwał do końca jego życia. Listy do hrabiny, z których widniał bystry dyplomata a zarazem człowiek o gorącém sercu, stanowią perłę w zbiorze listów Cavour'a.

We Francyi i Anglii patryotyzm przyszłego założyciela państwa włoskiego, rozwinął potężniéj, aniżeli kiedykolwiek, swoje skrzydła; nie był to już marzycielski patryotyzm ośmnastoletniego młodzieńca, ani zarozumiała parafiańszczyzna, oparta na znaném „u nas“, ale raczéj patryotyzm głęboko pojęty, mający swe źródło w dumie i ambicyi, który prowadzi do poznania braków i błędów własnéj oj-

czyzny. Coraz natarczywiéj nasuwała mu się myśl, że jego ojczyzna—a rozumiał już wtedy całe Włochy—pod każdym względem tak hojnie uposażona, mogłaby dosięgnąć równie wysokiego poziomu cywilizacyi i dobrobytu materyalnego, gdyby wiekowa tyrania, rządy Niemców i nieład wewnętrzny nie spętały jéj umysłowo, i nie pogrążyły w ciemność. Przecież i Anglia prowadziła boje, przecież rzeki Francyi nieraz się krwią zaczerwieniły dla zdobycia praw człowieka!

Po powrocie do Piemontu, ludzie i sprawy, stan polityczny i społeczny ukazały mu się jeszcze w ciemniejszych barwach, aniżeli poprzednio; było to prawdziwą ofiarą z jego strony, że nie usłuchał przedstawień hrabiny Circourt i licznych włoskich wygnańców, którzy nalegali nań, żeby pozostał w Paryżu, lecz oczekiwał cierpliwie lepszych czasów w „ołowianéj atmosferze piemonckiéj“.

Rozbudzony pobytem zagranicą umysł, tknięty położeniem ojczyzny, zarówno jak i nieprzezwyciężona potrzeba czynu, popychały go gwałtownie do akcyi i wtedy już młody Cavour pragnął wystąpić na widownią życia politycznego. Znał wprawdzie swoje siły, ale rozumiał téż i trudności na razie niepokonalne. Piemont liczył podówczas wielu znakomitych, dojrzałych mężów, których trzymano zdala od spraw państwowych, jeżeli ich tylko podejrzewano o dążności liberalne.

O ileż więcéj podejrzenia takie musiały ciążyć na młodym Cavour'ze, nasiąkniętym nowożytnemi ideami postępu, tembardziéj, że wcale nie był ulubieńcem króla. Ruch, jaki się objawił w innych państwach włoskich, brał swój początek od „młodych Włoch“, a w zfanatyzowanych głowach mas ludu i w umysłach szalonych przywódzców stronnictw, których celem ostatecznym był przewrót, zmieszały się i zlały pojęcia wolności i niepodległości z pojęciami anarchii i zniszczenia, których nie rozumiano bez republikanizmu i demagogii. Związek z tym ruchem był przeciwny jego zasadom niezmiennie monarchicznym, a zresztą choćby się doń przyłączył, czyżby uwierzono w szczerość arystokraty i syna dworaka?

Musiał się tedy Cavour hamować i czekać. Tym czasem zaś zgodził się na projekt ojca i objął — administracyą dóbr rodzinnych. Wkrótce też tak dalece rozmiłował się w rolnictwie i życiu wiejskiém, iż myślał na seryo poświęcić się im w zupełności. Nie poprzestawał jednak i tu na prowadzeniu zarządu ustalonym trybem, ale chcąc przymnożyć majątku, puszczał się na próby i spekulacye na własny rachunek, które jednak nie przyniosły zbyt świetnych rezultatów. Równocześnie nie tracił z oka wypadków politycznych i brał w nich pośredni udział, jak tylko po temu zdarzyła się sposobność. W owym

to czasie profesor August de la Rive, nie chcąc żeby świetne zdolności umysłowe Cavour'a zaśniedziały w życiu wiejskiém, prosił go o kilka artykułów do *„Bibliothèque universelle de Genève“*. Żądanie to pochlebiało Cavour'owi, dając mu sposobność zużytkowania studyów swoich; mało jednakże miał wiary w siebie, szczególniéj pod względem ukształcenia klasycznego i literackiego, którego zaniedbania bardzo żałował; położył więc za warunek, żeby nie żądano od niego prac, do których niezbędna jest fantazya.

W r. 1836 zwiedził Lombardyą, a w 1837 i 1843 przebywał znowu dość długo w Londynie i Paryżu. W czasie tych ostatnich podróży pracował tak wiele, że ledwie na sen czasu mu starczyło. Uczestniczył w obradach izb i politycznych zebraniach, zajmował się sprawami przemysłowemi, zbierał notatki, prowadził rozległą korespondencyą, odwiedzał przytém kluby, teatra, koncerty i salony.

Wyczerpany pracą, zatrzymał się w powrocie u przyjaciela swego de la Rive w Presinge pod Genewą, gdzie wypoczywał w ciszy wiejskiéj i studyował głównie historyą Anglii i ekonomią polityczną. Z wiadomości, zebranych przez kuzyna jego de la Rive, wyjmujemy następujące szczegóły o przyzwyczajeniach charakteryzujących osobistość Cavour'a.

...Nawyknienia swoje, nabyte w życiu prywatném, zachował Cavour i w życiu publiczném. Wstawał zwykle bardzo wcześnie, gdyż o 4-éj, a najpóźniéj o 5-éj godzinie. Ranek poświęcał korespondencyi urzędowéj lub prywatnéj, administracyi swoich dóbr, badaniu trudniejszych spraw, przyjmowaniu próśb i udzielaniu posłuchań, przyczém nie obeszło się czasami i bez żartu.

Pracował łatwo, a będąc obdarzony nadzwyczajną zdolnością przechodzenia od przedmiotu do przedmiotu, umiał bez uprzedniego przygotowania myśl swoją do interesu dopasować i przerwaną w pewnym punkcie robotę daléj prowadzić. Możnaby o nim powiedzieć, iż często mu przerywano zajęcie, ale nie zdołano go nigdy wprawić w zamieszanie. Z wyjątkiem dłuższych depesz, okólników i dokumentów przeznaczonych do publicznego czytania, które zwykle dyktował, wszelką inną korespondencyą załatwiał własnoręcznie. Pisał wprawdzie powoli, ale pewno, nie zatrzymując się ani chwili, stylem jasnym, będącym wierném odbiciem jego myśli, nie dodając ani ujmując słowa więcéj, niż było potrzeba. Po otrzymaniu listu odpisywał nań bezzwłocznie, a żadna z jego odpowiedzi nie była wymijającą lub niedokładną; w każdéj prawie kwestyi dawał żądane wyjaśnienia, rozstrzygając wszelkie prośby jednėm t a k lub n i e. „Bieg interesów“ pisał w r. 1844 do Naville'a „jest u nas nadzwyczaj powolny, szcze-

gólniéj od czasu, gdy jedna osoba kieruje ministeryami spraw wewnętrznych i finansów. Zaległości mamy ogrom, a możnaby im podołać tylko wówczas, gdyby oba ministerya od siebie oddzielono“. Mimo to jednak w dziesięć lat później, właśnie żeby uniknąć zaległości, uznano za najlepszy środek, oba ministerya zjednoczyć w ręku Cavour'a.

Zwykle, zanim poszedł do biura, albo raczéj do biur, spożywał lekkie śniadanie, złożone z dwóch jajek i filiżanki herbaty. Następnie załatwiał część interesów osobiście, nie wyręczając się jakimś zaspanym pośrednikiem. Ten, kto miał kiedykolwiek interes w urzędach administracyjnych i musiał biegać z kancelaryi do kancelaryi, z archiwum do archiwum, znosząc przytém kaprysy urzędników, ten oceni, jakiém dobrodziejstwem dla publiczności była ruchliwość Cavour'a, jak niemniéj i to, że był wielce przystępny, w odpowiedziach skory, jasny i stanowczy, dzięki urzędowemu stanowisku, jakie zajmował. Korzyść stąd płynąca była niemniejszą dla niego jak dla publiczności. Zrzuciwszy z karku jarzmo spraw administracyjnych o téj porze dnia, kiedy inni zaczynają dopiéro swoją robotę, mógł swobodnym umysłem konferować z zagranicznymi posłami, brać udział w radzie ministeryalnéj lub rozprawach parlamentarnych, mógł się oddać swoim myślom, przygotowywał przemówienia, baraszkował z kolegami, żartował z przyjaciółmi i przeciwnikami, bądź téż z pierwszym lepszym, słowem, uprawiał wielką i małą politykę, znajdując czas i na wytchnienia po pracy podjętéj dla dobra narodu. Wprawdzie przyszła chwila, kiedy zwyczaj załatwiania i ekspedyowania osobiście nawet drobiazgów stał się dlań ciężarem, któremu można było jedynie podołać pracując od świtu do późnéj nocy; ale i zatrudnienia w pierwszych latach urzędowania były nie tak liczne i mniéj kłopotliwe.

Zjadłszy śniadanie, szedł do ministeryum piechotą, krokiem żwawym, witając na prawo i na lewo znajomych zwykłém „dzień dobry“. Po drodze wszyscy go pozdrawiali i zawiązywali rozmowę, jeżeli krok przyśpieszony i zachmurzone oblicze nie płoszyły nawet natrętów. W ministeryum odczytywał depesze, przerzucał gazety, przebiegał biura, nagląc urzędników do pracy i udzielał posłuchań. Następnie udawał się do króla na radę gabinetową, do senatu lub do izby. Nareszcie wracał do domu i po drodze wstępował spocząć chwilkę u kuzynki swojéj hr. Alfieri, w któréj zaufaném towarzystwie chętnie zapominał, że jest ministrem. O szóstéj obiadował z bratem, poczém usuwał się do swego gabinetu i tam pośród stosu gazet, książek, broszur, manuskryptów, telegramów, rozerwanych kopert, da-

wnych i świeżych listów, zapalał cygaro i drzémał chwilkę w fotelu. Po tym spoczynku zabiérał się znowu do roboty. W towarzystwach ukazywał się tylko wówczas, gdy obecność jego była niezbędna. Za to z przyjemnością przepędzał godzinę lub dwie w teatrze. Słowem z wyjątkiem nadzwyczajnych wypadków, które jednak późniéj stały się powszednim chlebem, kładł się do łóżka wcześnie, zwykle przed północą.

Ten, ktoby sądził, że ład zewnętrzny, materyalny powinien iść w parze z porządném myśleniem, zdziwiłby się pewnie, gdyby zobaczył odmęt, jaki panował w pracowni Cavour'a; był tam chaos tak wielki, żem pewnego razu nie mógł znaleść swojego kapelusza a sam Cavour od trzech dni szukał jakiejś kartki zagrzebanéj w rozrzuconych papierach".

Po powrocie do Turynu moralny widnokrąg Piemontu wydał mu się zachmurzony wstrętnym systemem ucisku.

Do przyjaciela swego de la Rive pisał wtedy:

„...Od dwóch miesięcy wzdycham, powietrze nasiąkłe ciemnotą i przesądami, żyję w mieście, gdzie chcąc wymienić słowo wychodzące nieco z ciasnych ram, w jakie tu wtłaczają umysły, trzeba się ukrywać..."

Wraz z tym listem przesłał mu Cavour artykuł o Irlandyi i krytykę dzieła Chateauvieux o rolnictwie, dodając przytém, że czeka odpowiedzi „z rękami założonemi". Jakiś czas przebywał w Leri, popierając budowę kanałów wewnątrz kraju i projekta drogi żelaznéj między Szwajcaryą a Francyą. W jesieni tegoż roku (1844) założył na wzór klubów londyńskich i paryskich, w Turynie towarzystwo w h i s t o w e, które ze względu na czas i warunki ówczesne było istotną zdobyczą. Wkrótce potém wziął żywy udział w założeniu Towarzystwa rolniczego, które mieściło w sobie pierwiastki najbardziéj wolnomyślne, a którego właśnie celem głównym było dać sposobność do prowadzenia rozpraw politycznych. Warcholstwo i niezgoda stanęły mu jednak na drodze. Rosnąca ciągle niepopularność ojca, utrudniała synowi wszelkie przedsięwzięcia; wprawdzie nie pałano doń nienawiścią, ale bądź przez zazdrość, bądź z uprzedzenia przeciwko synowi kortezana, czynom jego podsuwano złe pobudki.

Wydana w Genewie i Paryżu a jaknajzaszczytniéj ze strony krytyki przyjęta praca jego o pauperyzmie, drogach żelaznych i reformach handlowych w Anglii, w których przebijało się uwielbienie dla Roberta Peel'a, wogóle nie były znane w Piemoncie; Cavour zaś nie należał do ludzi, ktorzyby sami swoją sławę głosili. Zdarzyło się, że kilku członków wspomnianego Towarzystwa z przyczyn niezale-

żnych od niego zaczęła ścigać policya, a wkrótce z kraju ich wygnano. Otóż, mniemano powszechnie, że ojciec Cavour'a spowodował to prześladowanie. Kiedy w r. 1847 na licznem zebraniu owego Towarzystwa, roztrząsano reformy przeznaczone do przedstawienia królowi Karolowi Albertowi, Cavour, który nic w połowie nie robił, wystąpił z wnioskiem, żeby zamiast tych reform żądać jasno i otwarcie konstytucyi. Śmiałość taka zdziwiła wszystkich, ale wnet powstał szmer i projekt odrzucono, z obawy, że król rozgniewany nietylko konstytucyi odmówi ale i proponowane reformy odrzuci. Wkrótce potém Cavour zapowiedział swoje wystąpienie z Towarzystwa, nie żywiąc wszakże gniewu, ani zemsty, uczucia te bowiem były mu obce. „Nie ma nic śmieszniejszego nad urazy w polityce, zwykł był mawiać. *Il n'ya rien de plus ridicule que la rancune en politique.*"

W r. 1847 założył wspólnie z Cezarem Balbo w Turynie gązetę „*Il Risorgimento*", a w r. 1849 przyjął tytuł dyrektora i redaktora odpowiedzialnego tegoż dziennika. Tym sposobem wystąpił Cavour na arenę publiczną i znalazł się odrazu między dwoma ogniami. Z jednej strony napadali nań konserwatyści, a z drugiej rewolucyoniści. Nie zniechęcał się tém jednak, lecz przeciwnie, prowadzona walka była dlań bodźcem.

„Istotnie — pisał w styczniu 1849 r. do przyjaciela swojego i spółredaktora Castelli'ego — gdybym puścił wodze dobremu humorowi, wypadki tutejsze bawiłyby mnie nadzwyczaj, gdyż farsa rozegrywana przed naszemi oczyma jest nieoceniona, a szczególniéj na prowincyi. Lada aptekarz, wiejski klecha, uzbrojony swoją „*Gazette del popolo*", czuje się w prawie wszystkich nas t. j. pana, mnie i wogóle wszystkich tych, którzy dla dziennika pracują, krytykować jako ciasne głowy. W Cigliano podczas ostatnich wyborów przyjaciele moi nie śmieli nawet wymówić mojego nazwiska, tak dalece nie jestem lubiany wśród wiejskich polityków. Jednak ten niezbyt pochlebny rezultat, wcale nie zdołał zniechęcić mnie do życia politycznego; sądzę zresztą, że jest to epizod nieunikniony, który należy przyjąć bez gniewu i obawy"...

Wprawdzie po takich utarczkach czuł niekiedy znużenie raczéj fizyczne, niż moralne; wówczas usuwał się na pewien czas do Leri, gospodarował z nowym zapałem i pracował zarówno latem jak i zimą od 5-éj rano. W dobrach zaprowadzał ulepszenia, jak dreny, sztuczny nawóz, hodowlę rasową, zniewalał swoich dzierżawców i sąsiadów, żeby go w téj mierze naśladowali, pisał artykuły w celu polepszenia losu włościan przez budowę zdrowych mieszkań i szkół, popierał z całych sił zakładanie banków rolniczych zaliczkowych, żeby drobnym

właścielom i dzierżawcom, których położenie było nader uciążliwe, przyjść z pomocą. Wskutku tego, pisano w gazetach, że hr. Cavour rzuca się na spekulacye, a kiedy w jednym roku dobra jego dały nie zwykle obfity zbiór, głoszono, że bracia Cavour, naśladując handlujących zbożem Żydów, robią zapasy w śpichrzach, żeby wówczas gdy głód zawita, sprzedać je cztery razy drożéj. W r. 1853, kiedy Cavour został ministrem finansów, pogłoski owe dały powód do nieprzyjaznéj dlań demonstracyi.

Mianowicie, 18 października wieczorem, zebrała się około Porta Palazzo gromada ludzi, która rosnąc w liczbę, udała się do pałacu Cavour'a, żeby doń szturmować. Karabinierzy i kilku oficerów gwardyi narodowéj rozpędziło hałastrę wówczas dopiéro, gdy ta wyważyła drzwi do pałacu a nawet wtargnęła na schody. Cavour znajdował się wtedy w ministeryum, gdzie go zawiadomiono o wypadku. W otoczeniu przeto licznych deputowanych, udał się do biura policyi i nie ukrywał zdziwienia, że policya, któréj minister spraw wewnętrznych St. Martino, wiedząc o zamierzonéj demonstracyi dał rozkaz niedopuszczenia jéj, nic w téj mierze nie zrobiła. Następnego dnia jeszcze, gdy szedł do ministeryum w towarzystwie La Marmory i Castelli'ego rozlegały się wrogie gwizdania.

W r. 1848 wystąpił Cavour pierwszy raz do walki parlamentarnéj; mianowicie podczas wyborów do pierwszego podalpejskiego parlamentu, wystąpił ze swą kandydaturą z miasta Vercelli, a prócz tego był proponowany na kandydata przez stronników swoich w wielu innych okręgach wyborczych. Wprawdzie nie spodziéwał się powodzenia i rzeczywiście upadł przy głosowaniu. Ogarnęło go zniechęcenie, chociaż był zbyt dumny, żeby dać to poznać po sobie i zbyt prawy, żeby się miał gniewać.

Z Leri, dokąd wyjechał podczas wyborów, pisał do adwokata Castelli: „...Przyjaźń pańska dla mnie czyni cię za surowym względem naszych ziomków, których nie można potępiać dlatego, że nie chcieli mnie wybrać na posła. Wielu z nich żywi przesądy arystokratyczne, których żadna osobista zasługa nie zdoła przeważyć. Zadużo patrzyłem na uprzedzenia, jakiemi się rządzi duch kastowy, zbyt wiele znosiłem (i jeszcze znoszę) pretensyi od naszych utytułowanych, żebym się miał oburzać na wprost przeciwne pretensye klas ludowych".

Było zatém dlań niespodzianką, gdy przy wyborach dopełniających wybrano go z 4-ch okręgów: z Turynu, Iglesias, Monteforte i Cigliano.

Dla męża takiego, jak Cavour, wystarczało raz dosiąść bojowe-

go rumaka, ażeby cugle utrzymać na zawsze i krzepko siedzieć na siodle.

Wolnomyślne dążenia Cavour'a różniły się istotnie od tendencyi znacznéj części pionierów liberalizmu; ogarniały one bowiem znacznie szerszy horyzont, aniżeli samo tylko wyswobodzenie Włoch. Młodzieńcze marzenia o wielkości i potędze wygasły w nim, a polityka nie była dlań—jak dla wielu—środkiem do osiągnięcia celów ambitnych, osobistych lub dodania blasku panującéj dynastyi. Ostatecznym bowiem jego celem, do którego dążył i któremu, jak misyonarz, poświęcił życie swoje, była cywilizacya, podniesienie moralnego i materyalnego poziomu narodu, który ze względu na swoje przyrodzone zdolności miał wszelkie prawo równać się z innymi narodami Europy.

Cavour był nieprzyjacielem wszelkiego kawałkowania ojczyzny, wszelkiego nieproszonego pośrednictwa. Przypomnijmy sobie jego subtelną politykę, gdy się zabiérano do zajęcia Toskanii a książę Napoleon wystąpił jako gorliwy rzecznik przed Napoleonem III-im i potajemnie umizgał się do Toskańczyków, jak kokietka bałamucąca dzieci wdowca, których mogłaby być macochą. Kierując się tąż samą zasadą jedności i niezależności, wyrzekł Cavour pamiętne słowa: „wolny kościół w wolném państwie“ i już w początkach swojéj politycznéj działalności, dowodził, że Rzym powinien zostać stolicą Włoch. Daleki od libertyństwa religijnego, nie miał wcale zamiaru osłabiać wpływu papiestwa jako papiestwa, podobnie jak nie napastował nigdy duchowieństwa jako duchowieństwa, lecz pragnął utrzymać je w pewnych granicach, gdy wychodziło po za sferę pracy kościelnéj i stawiało mu przeszkody. Z takiegoż punktu widzenia był i rojalistą. Nietylko bowiem wpojone zasady i osobiste przywiązanie do domu Sabaudzkiego na te przekonania jego wpłynęły; był monarchistą dlatego, że monarchią dziedziczną konstytucyjną uważał za najpewniejszą i najtrwalszą formę rządu. Ogarniało go nieraz zwątpienie co do osiągnięcia zamierzonego celu, gdyż naród włoski, z wyjątkiem Piemontu, a może i Toskanii, strasznie zdziczał w innych dzielnicach półwyspu. Obawiał się, że masy, doprowadzone głodem i bezładem do ostateczności, wybiorą nieodpowiednią chwilę do ruchu i obalą tym sposobem gmach przezeń wznoszony; jakoż obawa ta nie była płonna w obec potężnych a nieokiełznanych sił, jakie republikanie mieli w Mazzinim, Garibaldim, oraz innych przywódcach.

Piemont, dzięki wyższéj swojéj cywilizacyi, trzeźwemu duchowi narodu, oraz uczciwości swoich władców, posiadał niejaką przewagę nad innemi państwami włoskiemi. Przyjście Cavour'a do władzy stanowiło krok bardzo ważny: udzielono bowiem konstytucyą, zorganizo-

wano parlament i tym sposobem zaspokojono najgwałtowniejsze żądania narodu. Niemniéj jednak przewrót ten wywołał niezmierne komplikacye; Cavour'owi tedy przypadło w udziale zwikłane przędziwo rozplątać, zanim mógł usiąść do tkania. Na szczęście, miał wielu dzielnych pomocników, jakich rzadko który kraj tylu razem mógłby pokazać; jakoż dość wymienić takich, jak: Gioberti, Balbo, Salmour, d'Azeglio, Santa Rosa, La Marmora, Depretis i wielu innych, a wszystkich ożywionych tém samém dążeniem.

Drugą pomyślną okolicznością było niespodziewane prawie wstąpienie na tron Wiktora Emanuela, monarchy o wielkiém sercu, a przytém rozumnego i oględnego. Wiktor Emanuel posiadał niepospolitą znajomość ludzi i prawdopodobnie umiał lepiéj panować nad swojemi antypatyami, aniżeli nakazać milczenie swoim sympatyom. Przy obsadzaniu ważnego urzędu nie śpieszył się, wahał się dość długo, ale gdy się nareszcie przekonał o trafności wyboru i zdolnościach ludzi, którym urząd powierzał, obdarzał ich całkowitém zaufaniem i nie stawiał im drobiazgowych przeszkód. Stosunki Cavour'a z królem były dość oryginalne. W początkach swojego panowania Wiktor Emanuel nie lubił Cavour'a, przyznawał mu jednak wysokie zdolności polityczne i cenił duchową przewagę; popiérał więc wszystkie jego wielkie plany i działania nawet wtenczas, gdy się nie zgadzały z osobistemi poglądami króla lub sumienie jego obciążały, jak naprzykład, co do ograniczenia władzy duchownéj, trzeba bowiem dodać, że rodzina Sabaudzka odznaczała się gorącą pobożnością. Często też zdarzały się między królem a ministrem gwałtowne sceny, w których jednak Cavour zawsze się przy swojém utrzymał. Opowiadają, że podczas jednego z takich sam na sam, mianowicie gdy układano preliminarya pokoju w Villafranca, Cavour tak się uniósł, iż król zawołał: „spokojnie, spokojnie, nie zapominaj pan, że ja jestem królem“, na co Cavour wywiedziony z cierpliwości miał odpowiedzieć: „a przecież ja jestem królem i o tém wiedzą całe Włochy.“ Wiktor Emanuel zaś również gwałtownie: „cóż to ma znaczyć, pan jesteś królem?“ poczém jakoby odwrócił się doń plecami i opuścił gabinet. Jednakże Wiktor Emanuel był mężem o tyle sprawiedliwym, że musiał uwzględnić słuszne oburzenie Cavour'a, a chociaż uniesiony chwilowym gniewem, zaczął więcéj faworyzować giętkiego Rattazzi'ego, zachował przecież dla Cavour'a szczerą życzliwość. Świadczyły o tém łzy króla przy skonie ministra.

W pierwszych latach swéj karyery politycznéj należał Cavour do stronnictwa umiarkowanie-liberalnego. W r. 1850-ym w gabinecie Maksyma d'Azeglio otrzymał pierwszą ministeryalną tekę rolnictwa

i handlu, do których potém dodano i marynarkę. Ukazanie się „dyrektora Risorgimento“ na ławie ministeryalnéj, powitali przeciwnicy jego w dziennikach szyderstwem i lekceważeniem, których powód leżał nie w powątpiewaniu o zdolnościach nowego ministra, lecz w zawiści, nie mającéj zresztą żadnego donioślejszego znaczenia.

Ważniejszym daleko faktem było zachowanie się pewnego stronnictwa, które, choć nieliczne, zajęło wybitne stanowisko w parlamencie, pod kierunkiem zręcznego swego przywódcy; było to stronnictwo lewego środka, zorganizowane w r. 1849, podczas 3-go okresu prawodawczego, pod przewodnictwem Rattazzi'ego. Rattazzi uważał wejście Cavour'a do ministeryum, jako pierwszy krok do reformy większości parlamentarnéj. Z nowym ministrem nie łączyły go wcale stosunki osobiste, starał się więc do niego zbliżyć za pomocą przychylnych artykułów w jednym z organów swojego stronnictwa. Cavour na te zabiegi pozostałby zapewne głuchym, gdyby nie miał zamiaru zbliżyć się do lewicy, w któréj mimo różnicy poglądów w polityce i finansach zawsze znajdował podporę, gdy chodziło o sprawy handlowe lub duchowne. Okoliczności przyśpieszyły wykonanie tego planu. Gdy bowiem podczas obrad nad prawami, dotyczącemi wyborów i prasy, deputowani prawicy uparcie wstecz się cofali, Cavour porzucił ich stronnictwo, a przyłączył się do lewego środka w zamiarze dokonania przy pomocy Rattazi'ego połączenia z prawym środkiem i wzmocnienia tym sposobem partyi liberalno-konserwatywnéj. Faza owa w historyi parlamentu włoskiego znaną jest pod nazwą *Connubio*. Zbyt wiele trzebaby miejsca, gdybyśmy chcieli iść w ślad za Cavour'em w jego karyerze politycznéj i wyliczać teki ministeryalne, które mu kolejno a często jednocześnie były powierzane. Należy tylko podziwiać śmiałość, energię i wytrwałość, z któremi umiał łączyć umiarkowanie i roztropne ustępstwa, gdy chodziło o przeprowadzenie zasadniczych reform, przyczém nieraz miał przeciw sobie cały naród, jak np. podczas zaprowadzenia wolnego handlu, zniesienia jurysdykcyi duchowieństwa i klasztorów, co mogło go przyprawić o utratę tak mozolnie zdobytéj popularności. Z jednéj bowiem strony połączyli się osobiście interesowani w Ligę, zarzucając Cavour'owi, że olbrzymiemi krokami idzie naprzód, tak iż mu kraj nie może nadążyć, że handel i przemysł prowadzi do upadku; a z drugiéj znów przywódcy partyi krańcowéj Brofferio i Valerio domagali się w patetycznych, podniecających naród deklamacyach nietylko zniesienia przywilejów duchowieństwa, ale gdyby można, skasowania samego duchowieństwa i kościoła. Do tych wewnętrznych kłopotów przyłączyło się rozpaczliwe położenie Włoch południowych i państwa kościelnego, nurtowanych

przez sprzysiężenia i egzekucye na wielką skalę, oraz nader podówczas zawikłana polityka zewnętrzna, w któréj małe królestwo Sardyńskie, nietylko nie miało prawa zabiérać głosu, ale musiało być przygotowane, że się na niém te zewnętrzne stosunki odbiją. Nieporozumienia między Austryą i Piemontem wzmagały się tak, że prędzéj lub późniéj musiało przyjść do wojny, a kto wówczas zostanie sprzymierzeńcem drobnego państewka przeciwko potężnemu nieprzyjacielowi? Najpilniejszém przeto staraniem Cavour'a było nadanie krajowi właściwego stanowiska w obec Europy; dlatego to dążył tak usilnie, by Sardynia wzięła udział w charakterze sprzymierzeńca Francyi i Anglii podczas wojny krymskiéj.

Myśl ta powstała w głowie śmiałego ministra Farini'ego, zaraz po ogłoszeniu przymierza francusko-angielskiego przeciwko Rosyi, i niezawodnie roztrząsano ją poufnie z Cavour'em, który jednak, powodowany zwykłą sobie ostrożnością, nie chciał się naprzód wysuwać. O szczerości Napoleońskich sympatyi, nie był jeszcze wówczas przekonany, przychylność zaś Anglii uważał za pewnik; innemi słowy, jako mądry dyplomata wiedział, że wzrost państwa Sardyńskiego nie stoi na zawadzie polityce angielskiéj. Na to, żeby zrobić pierwszy krok, był za dumny i rozumny, więc użył pośrednictwa przyjaciela swojego Castelli'ego, który żył w przyjaźni z sir Hudsonem, posłem angielskim w Turynie. Mianowicie, podczas odwiedzin u posła, Castelli skierował rozmowę na przymierze i na sprzymierzeńców poszukiwanych przez Anglią. Sir Hudson zauważył na pół żartobliwie, że wcale nie byłoby od rzeczy, gdyby Piemont chciał wysłać do Krymu mały korpus pomocniczy. Castelli pojął, że myśl ta nie powstała w téj chwili, przy filiżance czarnéj kawy i dodał, że hr. Cavour prawdopodobnie chętnieby się zgodził na projekt, tylko wątpliwą jest rzeczą, czy parlament uchwali wydatki na ten cel niezbędne. Na to poseł angielski wyraził przekonanie, iż rząd jego przyjmie na siebie uzbrojenia i przy późniejszym obrachunku Piemont będzie traktowany bardzo życzliwie. Cavour słuchał sprawozdania z téj rozmowy milcząc, zamyślony, gdy jednak Casteli przyszedł do ostatniego punktu, odrzekl niechętnie: „Tegoby brakowało, żebyśmy się pozwolili oszukać! nie, nigdy! Zaciągniemy pożyczkę w Anglii i to na takich warunkach, żeby nasza interwencya była uwzględniona. Zechciéj pan przeto wrócić do Hudson'a i proś go, żeby mnie jutro rano odwiedził; jeżeli zaś nie zechce, to ja chętnie do niego pójdę.“ Przymierze zatém prawie już stanęło w duchu żądań Cavour'a, który odniósł zwycięstwo, mimo trudności, jakieby mu kraj i izby jeszcze czynić mogły. Zgody króla swojego, walecznego monarchy, był pewien.

Prawie wszystkie dzienniki zwalczały myśl wysłania do Krymu korpusu ekspedycyjnego. Mówiono, że w kraju jest dość do czynienia, że wojska piemonckie powinny służyć swojéj, nie obcéj sprawie, że kraj nie ma pieniędzy na takie awanturnicze wyprawy. Gdy Cavour na radzie ministeryalnéj przedstawił propozycye Anglii i wyraził przychylny dla sprawy pogląd, tylko jeden z obecnych był po jego stronie, mianowicie: król, który bystrym wzrokiem ocenił doniosłość polityki Cavour'a. Ministrowie La Marmora, Dabormida, Pallocapo i znaczna większość izby, byli przeciwni. Rattazi wahał się, w końcu jednak przeszedł na stronę Cavour'a. Pierwsze świetne rezultaty zmusiły opinią publiczną do milczenia.

(*Dok. nast.*) *Alfa.*





Z życia J. N. Kamińskiego.*)

Wprowadzamy szanownych czytelników w czasy bardzo smutne: Galicyę zalega przerażająca cisza, nigdzie żadnego ruchu, żadnego życia, ogólny upadek ducha i zniechęcenie. Rząd austryacki tłumi bezwzględnie już w zarodku każdy objaw chociażby najniewinniejszéj działalności, na jakiémkolwiek polu. Życia politycznego nie ma, są wprawdzie stany, którym wolno prosić, ale próśb ich nikt nie słucha, zupełna germanizacya ma objąć wszystkich i wszystko, w urzędach i szkołach panuje wszechwładnie język niemiecki, literatura wreszcie, gnębiona i prześladowana na każdym kroku, ściśniona kleszczami surowych i dziwacznych przepisów, nieomal obumiéra.

W tych czasach ogólnego zastoju i ciszy rozpoczął swoją działalność człowiek nieugiętéj woli i dziwnéj energii, którego nazwisko zna niewątpliwie każdy, ktokolwiek chociażby przelotnie spojrzał na karty historyi Lwowa w naszém stuleciu. Był nim Jan Nepomucen Kamiński, w jednéj osobie dyrektor teatru lwowskiego, artysta dramatyczny, pisarz i tłómacz. Zdawałoby się na pozór, że dość już o nim mówiono i pisano [1]), tymczasem mimo to wszystko, mimo nawet cennych ustępów o Kamińskim w dziełach omawiających historyę teatru lwowskiego, w dziełach pp. Estreichera i Pepłowskiego, brak nam dotychczas monografii, którąby zajęła się ścisłém i krytycznem zestawieniem dat, odnoszących się do jego życia, jak niemniéj wszechstronną oceną działalności zasłużonego męża w rozmaitych kierun-

*) Odczyt miany na dorocznem posiedzeniu zakładu Ossolińskich dnia 11 października r. b.

1) Wszystkie prace i artykuły o Kamińskim wylicza Estreicher w „Encyklopedyi“ Orgelbranda i Wurzbach w „Biographisches Lexikon“.

kach. Zanim praca taka się pojawi, pożądana jest bardzo każda nowa wiadomość, każdy przyczynek, rzucający światło na tę tak sympatyczną postać. A nie wątpimy, że znajdzie się jeszcze niejeden taki przyczynek, należy tylko zająć się tém i rozpocząć poszukiwania... Rzecz taką mamy właśnie pod ręką. W rękopisach zakładu Ossolińskich, w papierach po Tadeuszu Wasilewskim, wicemarszałku koronnym Galicyi, złożonych zakładowi przez syna, powodowanego prawdziwie obywatelską chęcią służenia sprawie publicznéj i nauce polskiéj, znalazł się memoryał Kamińskiego z r. 1829, w sprawie teatru polskiego we Lwowie. Treścią jego radzibyśmy się podzielili z czytelnikami [1]).

Znane są w ogólnych zarysach zasługi Kamińskiego około naszego teatru we Lwowie. „On to, mówi Pepłowski, stworzył scenę polską i wywalczył dla niéj egzystencyę prawną, wykształcił całe pokolenie artystów, złożył repertuar na owe czasy wyborowy, wszystkiego dokonał sam o własnych siłach, bez niczyjéj pomocy". [2]) Syn ubogiego ekonoma z Kutkorza, zaciągnął się już w 18-ym roku życia w szeregi pracowników na scenie: pierwsze kroki na niéj stawiał pod kierowniwctwem Bogusławskiego, gdy tenże przebywał jeszcze we Lwowie (1795—1799) [3]). Potém rozpoczął artystyczną wędrówkę po świecie, wiemy napewno, że był w Kamieńcu podolskim a skończył na Odessie. Tu mu się powodziło bardzo dobrze, sam powiada: wówczas „byłem pierwszy raz w życiu szczęśliwy; znalazłem prawdziwe prac mych uznanie" [4]). Do Lwowa wrócił dopiéro w pamiętnym roku 1809, na pierwszą wieść o zajęciu Galicyi przez wojska polskie. Niedługo jednak, jak wiadomo, przebywały one tutaj, w tym samym jeszcze roku objęła Austrya miasto napowrót. Kamińskiemu rozkazano natychmiast kraj opuścić.

„Słabość śmiertelna żony mojéj — pisze Kamiński we wspomnianym memoryale — przez pół roku trwająca, przeszkodziła uiszczeniu tego wyroku, a ja zyskałem czas wysłać kosztem swoim ś. p. Bullę, antreprenera teatru niemieckiego, do Wiednia, aby monarsze przełożył niesprawiedliwość zaprzeczania teatru narodowego. Przez całe pół roku nie grając, utrzymywałem aktorów. W tym czasie zjechał Hrabia Goes [5]) i ponowił rozkaz wyjazdu mego z kraju, zwłaszcza, że

[1]) W całości drukujemy ten memoryał i projekt teatralnego towarzystwa akcyjnego w sprawozdaniu zakładu Ossolińskich za rok 1890.

[2]) Pepłowski. Teatr polski we Lwowie, str. 91

[3]) Estreicher. Teatra, III, 163 i 462 (list Kamińskiego do hr. Ad. Zamojskiego, który potém kilka razy jeszcze będziemy cytowali).

[4]) Tamże, str. 463.

[5]) Hr. Piotr Goess był gubernatorem Galicyi od r. 1809—1815.

żona moja już do zdrowia przyszła. Oparłem się temu, dowodząc, iż jestem tutejszy i że teatr polski był już pierwéj pozwolonym, kiedy Bogusławski lat tyle, dawał spektakle; w tym właśnie czasie powrócił p. Bulla z Wiednia z wyrokiem monarchy do gubernium, którego treść była co do słowa następująca: „*Ich bin nich der Meinung die polnische Sprache, und das polnische Theater, aus Galizien zu verdraengen, Franz*“ [1]).

Mówiąc o wpływie tych słów na swoje losy, sprzeciwia się Kamiński sam sobie. Raz powiada, że mimo tych słów wydano mu nakaz wyjazdu [2]), drugi raz, że właśnie te słowa sprowadziły zmianę usposobienia rządu względem niego [3]). „Odtąd — zapisuje w memoryale—zaczęła scena być tolerowaną, ale kasacya bankocetli zabrała mi większą część majątku, którym w Odessie ze szczególnéj łaski i względów duka de Richelieu uzbiérał. Ten traf przywiódł mię do zupełnéj zguby; wszakże niespodziewanie zabłysły lepsze czasy; odzyskałem stratę a upadająca scena znowu się podniosła“.

Do ustalenia sceny polskiéj we Lwowie przyczynił się niemało pierwszy pobyt cesarza. Było to w r. 1817. Cesarz Franciszek przybył do Lwowa w towarzystwie swojéj małżonki, Karoliny Augusty. Kamiński, korzystając z nadarzającéj się szczęśliwie sposobności, zaprosił parę cesarską na przedstawienie „Krakowiaków“ i świetnością przyjęcia starał się wszelkiemi siłami przychylnie usposobić cesarza dla teatru polskiego. Salę teatralną wspaniale udekorowaną zapełniła publiczność po brzegi, artyści odśpiewali obok „Krakowiaków“ także odpowiednią kantatę i okolicznościowe śpiéwki na cześć cesarza i cesarzowéj. Cesarz dziękował Kamińskiemu ze swojéj loży wobec całéj publiczności „w najpochlebniejszych wyrazach“ a nazajutrz

---

[1]) „Jestem tego zdania, że nie należy wypiérać z Galicyi języka polskiego i teatru polskiego, Franciszek“.

[2]) Estreicher: Teatra, III, 464.

[3]) Estreicher zapisuje w swoich „Teatrach“ (III, 169) szczegół, którego dostarczyła mu prawdopodobnie tradycya, że Kamiński dla zyskania pozwolenia pobytu w Galicyi, starał się o audyencyą u ówczesnego gubernatora Goessa, ale zawsze nadaremnie. Postanowił więc w inny sposób zbliżyć się do gubernatora. Gdy pewnego razu Goess wyjechał na przechadzkę, przystąpił doń Kamiński, gorącą prośbą uzyskał jego względy a nawet zezwolenie na dalszy pobyt we Lwowie. O têm wszystkiém nic nie mówi Kamiński, ani w naszym memoryale, ani w powyżéj cytowanym liście do Zamojskiego i owszem, rzecz tę (jak widzieliśmy) inaczéj przedstawia; a sądzimy przecież, że gdyby ów wypadek z Goessem zaszedł rzeczywiście, to szczegół taki byłby Kamiński zachował w pamięci i byłby go zapisał w memoryale lub w liście, jak zapisał wiele innych podobnych szczegółów.

udzielił mu posłuchania [1]). O tém posłuchaniu właśnie mówi memoryał:

„Podczas jego pobytu we Lwowie, miałem to szczęście wyjednać sobie posłuchanie; przełożyłem stan teatru polskiego i prosiłem o zasiłek; ledwiem zaczął rzecz wnosić, przerwał mi monarcha tymi słowy: „*Ich glaube, mein Kind, fuer euch schon etwas gethan zu haben...*“ [2]) ja mu odpowiedziałem: „*Ihre Majestaet haben uns unter Ihren hohen Schutz genommen, aber...*“ [3]) tu przerwał mi monarcha (roześmiawszy się) temi słowy: „*aber kein Geld gegeben, nicht wahr?...*“ [4]) (dalej mówił) „*Es wuerde mich freuen, wenn das polnische Theater und durch dieses die Landessprache eine reine Lebenskraft schoepfen koennte — wenn Galizien so wie mein Boehmenland um ihr Nationales besorgt sein wollte — gut, gut, mein Kind, ich werde schon trachten, fuer euch etwas zu thun*“ [5]). (Tu sam wyjął mi prośbę z zanadrza, o której zapomniałem i raczył mi ją sygnować).“

Dodajmy od siebie, że na pokrycie kosztów przedstawienia danego w teatrze, dał cesarz Kamińskiemu ze swéj prywatnéj „szkatuły“ 1000 zł. r.“ [6]).

„Hrabia Skarbek z Bursztyna [7]) — opowiada dalej Kamiński — mając późniéj posłuchanie, poparł prośbę moją, któremu monarcha odpowiedział: „*Er war eben hier. Ja! ja! fuer euren Kamiński, muss ich schon etwas thun*“ [8]). W kilka dni wezwał mię hrabia Taffe i starał

---

[1]) Pepłowski, str. 79—80. Estreicher: Teatra, III, 465.

[2]) „Zdaje mi się, moje dziecko, że już coś dla was zrobiłem.“

[3]) „Wasza cesarska mość wziąłeś nas w swoją najwyższą opiekę, lecz...“ Odnosi się to chyba do słów cesarza, przesłanych Kamińskiemu przez Bullę, które przytoczyliśmy nieco wyżéj (na str. 6—7). Urzędową (że się tak wyrazimy) opiekę nad teatrem objął cesarz dopiéro w r. 1822. Na prośbę stanów, aby scenę polską obdarzył temi samemi przywilejami, jakie posiadała scena niemiecka, odpowiedział Franciszek I, że tak samo nie odmawia opieki scenie polskiéj, jak i niemieckiéj, jeżeli tylko dla sceny polskiéj znajdzie się zdolny kierownik. Zob. Pepłowski, str. 101—102 i 109 uw. 1.

[4]) „lecz nie dałeś pieniędzy, nieprawdaż?...“

[5]) „Cieszyłoby mnie, gdyby teatr polski stał się źródłem prawdziwéj siły żywotnéj narodu a z teatru czerpał tę siłę język krajowy — gdyby Galicya, jak moje Czechy, zechciała się troszczyć o swoją narodowość — dobrze, dobrze, moje dziecko, będę się starał coś dla was uczynić.“

[6]) Estreicher, Teatra, III, str. 466.

[7]) Ignacy, brat Stanisława, fundatora teatru lwowskiego, tajny radca i podkomorzy dworu cesarskiego, łowczy wielki koronny galicyjski.

[8]) „Właśnie tu był. Tak! tak! muszę już raz coś zrobić dla waszego Kamińskiego.“

się dowieść, jak miłoby monarsze było, gdyby Galicya pamiętała o tak ważnéj ustanowie, jaką jest teatr narodowy i że wszystko uczyni dla wzrostu jego; ale zasiłków pieniężnych dać nie może, raz, iż nie ma na to żadnych funduszów, z którychby je czerpał, powtóre, iżby téj łaski wszystkie prowincye austryackie dopraszać się miały prawo, i że w Czechach stany same utrzymują scenę" [1]).

„Podczas pobytu Xięcia Metternicha we Lwowie (w r. 1823), starałem się przez ś. p. Pillera, w którego domu mieszkał, znaleść sposobność szukać wsparcia dla teatru polskiego. Napisałem na prędce wierszyk na jego ozdrowienie (płonę, gdy pomyślę, jakiemi sposoby musiałem ratować się z biédy)."

„Zastałem przedpokój napełniony pierwszymi w dostojeństwie,— ale poufność p. Pillera z odźwiernym Xięcia Metternicha, w jednéj chwili dała mi do zrozumienia, iż nikt przypuszczonym nie będzie, a *ja*, w pół do trzeciéj, otrzymam to szczęście; ziściło się. Gdym wykład prośby mojéj ukończył, odpowiedział Xiążę: „*Sie sind mir willkommen. Ihr Streben ist ein edles Streben. Der Gedankenausdruck ist die Sprache—das Theater ist das Bild der Menschheit — das national Theater, wie Sonnenfels traeflich bemerkt, ist der Spiegel der Menschheit und der Nation zugleich; es veredelt das Herz und die Sitten; wer wird, wer kann als Mensch, und dadurch selbst als ein Glied einer grossen Weltgesellschaft, eine Hemmung in den Weg stellen; aber der Organismus der Nation muss aus sich selbst in die Fuelle des Lebens uebergehen, und es ist schwer diess einem einzelnen zu bezwecken*" [2]). (Odszedłem

---

[1]) Nie ulega wątpliwości, że to wszystko odnosi się do pierwszego pobytu cesarza w r. 1817, w liście bowiem do Zamojskiego wyraźnie mówi Kamiński (Estreicher: „Teatra", III, 466), że za drugim pobytem monarchy i Metternicha w r. 1823, był na posłuchaniu tylko u Metternicha. Nie znajdujemy téż nigdzie śladu, ażeby drugi raz kiedykolwiek miał posłuchanie u cesarza. I w naszym memoryale rozpoczyna Kamiński w ten sposób swoje opowiadanie o audyencyi u Metternicha we Lwowie w r. 1823, że widoczném jest, iż to, co poprzedza, stało się nie w tym samym roku, a więc nie w r. 1823, tylko w r. 1817. Z têm wszystkiem jednak wzmiankę o hr. (Ludwiku) Taaffem trzeba odnieść do r. 1823; Kamiński, pisząc memoryał znacznie późniéj, bo w r. 1829, mylnie mówił o têm, jako o fakcie, który zaszedł w r. 1817. Według szematyzmów zostaje hr. Taaffe gubernatorem Galicyi dopiéro w r. 1823, w roku zaś 1821 i 1822 jest we Lwowie „prezydentem" gubernium, czyli zastępcą gubernatora, przedtém nie ma go tutaj wcale. Możliwémby było tylko jeszcze jedno, że Taaffe przyjechał do Lwowa w r. 1817 w orszaku cesarskim, ale dowodu na to nie mogliśmy znaleść.

[2]) „Miłem mi pańskie przybycie. Usiłowania pańskie są szlachetne. Mowa jest wyrazem myśli — teatr jest obrazem ludzkości — teatr narodowy, jak trafnie mówi Sonnenfels, jest zwierciadłem ludzkości, a zarazem narodu: uszlachetnia serce i obyczaje: czyżby, będąc człowiekiem a zarazem członkiem wielkiego spo-

z czemsiś i z niczém). Z Wiednia otrzymałem na ręce konsyliarza Brzeżaniego list od tegoż Xięcia-Ministra (Metternicha), w którym życzy mi, abym nie ustawał w zamiarach moich i aby je naród przyjął do serca“ [1]).

Te rozmowy z cesarzem i z Metternichem, jakże są dla nas zajmujące! Słowa to tak uprzejmie, tak troskliwe o rozwój polskiego teatru, polskiego języka i polskiéj narodowości! Historya jednak kraju, co więcéj historya samego teatru, mówi o tém nieco inaczéj. Ileżto starań i trudów kosztowało, zanim teatr, nad którym cesarz objął w r. 1822 najwyższą opiekę [2]), otrzymał w r. 1825, za jego zezwoleniem, pierwszą subwencyą od stanów; jak uciążliwą była teatrowi polskiemu ta ciągła zawisłość od teatru niemieckiego, popieranego z góry i otoczonego łaską i względami, jak uciążliwém to opłacanie mu się tak znacznym haraczem—czwartą częścią czystego dochodu [3]). Późniejsze losy sceny polskiéj pouczają niestety, że miało tak pozostać jeszcze całe pół wieku. Memoryał nasz przynosi niejako echo tych czasów minionych, a tak nieponętnych.

Wśród walki z najniepomyślniejszemi okolicznościami, pracuje Kamiński na scenie energicznie i wytrwale, stara się stworzyć z teatru instytucyą narodową, o ile pozwalały na to niewesołe stosunki finansowe, zamiłowanie publiczności w dramidłach o strasznych tytułach i przerażającéj treści i wreszcie surowa cenzura. Sztuki o tematach narodowych, częste w nich aluzye do wypadków chwili bieżącéj, sam dźwięk polskiego języka, wykluczonego wówczas ze wszystkich innych instytucyi, pociągać ku sobie musiały [4]). Miał też ten człowiek dziwny dar zadzierzgania sympatycznych węzłów między sceną a publicznością; przemawiał do niéj przy każdéj sposobności, przemawiał wprost lub za pośrednictwem wtrąconych do sztuki okolicznościowych wierszyków i śpiéwek! Czyto chciał ją pouczyć o poważném zadaniu sceny, czyto zrobić wymówkę, że mało dba o teatr i pozwala mu przez swą obojętność upadać, czy wreszcie chciał uniewinnić

łeczeństwa ludzkiego, chciał i mógł tamować ktokolwiek jego wpływ: lecz organizm narodowy musi sam w sobie znaleść podstawę do rozwinięcia życia narodowego w całéj pełni, jednostce trudno tego dokonać.“

[1]) List ten zachował się w archiwum Wydziału krajowego. Porównaj Pepłowskiego, str. 111—112.

[2]) Porównaj to, co powiedzieliśmy na str. 271 w uwadze 3.

[3]) Pepłowski, 132.

[4]) Porównaj Pepłowskiego, 53, 78, 88, 99.

siebie w obec zarzutów, które go spotykały, umiał w każdéj chwili trafić jéj do serca i ująć ją sobie [1]).

Powodziło mu się zawsze nieszczególnie. Stosunkowo więcéj nieco sprzyjały mu losy w pierwszych dziesięciu latach zarządu teatrem, od r. 1809 do 1819, pomimo ciężkich warunków, wśród jakich rozwijała się scena polska. Rok 1819-ty był jednak zenitem powodzenia Kamińskiego,—odtąd nastąpił zwrot ku gorszemu. Od r. 1820 nieszczęści mu się coraz bardziéj, publiczność nie popiéra usiłowań dyrekcyi i nie uczęszcza do teatru—Kamińskiemu grozi ruina finansowa. W tym to właśnie roku musiał on po raz pierwszy wyjechać na ferye wakacyjne do Krakowa, i odtąd powtarza rokrocznie wycieczki te do grodu Krakusa lub na prowincyą. Mimo to repertuar teatralny utrzymuje się aż do r. 1825 na pewnéj wyżynie.

W memoryale spogląda Kamiński w ten sposób na swoję przeszłość: „Lat siedmnaście pod moim zarządem przechodził teatr polski zmienne koleje. Bogu tylko wiadomo, jak ja tych lat siedmnaście przeżyłem! Była to podróż woźnicy z ciężarem przez błoto i przekopy!—chwila pogody, a tygodnie słoty! Gdy mi kapitalik u w-go Kopestyńskiego na procencie umieszczony zniknął, uczułem, iż moi aktorowie są wielcy ludzie! Lejc wypadł z rąk moich, a bieguny karmione i kierowane niegdyś dłonią moją, dały mi poznać, iż mię w nic roznieść mogą! poszło wszystko w niepamięć — to, com w nich zdrowiem swojém wpoił, mieli za natchnienie, za datek *a priori.*“

Te nieporozumienia z aktorami wzmogły się jeszcze bardziéj od roku 1825. Rok ten odegrał bardzo ważną rolę w dziejach teatru lwowskiego. Długie starania Kamińskiego uwieńczył pomyślny skutek. Wtedy to głównie za „gorliwém wstawieniem się“ Tadeusza Wasilewskiego [2]), deputata stanowego, otrzymał nasz dyrektor od stanów 2 tys. m. k. [3]) rocznéj subwencyi z tém wyraźném zastrzeżeniem, że jest ona przywiązaną „*ad personam*“ samego Kamińskiego. Uchwała ta zyskała sankcyą cesarską. Było to jednak nieco zapóźno—Kamiński wpadł już w długi.

Subwencya ta zwiększyła natomiast zatargi z artystami. „Tu dopiéro podniosła głowę hydra“ — mówi Kamiński — ...niektórzy artyści „związali się na zgubę moję, żądali, aby ich gaża miesięczna 525 r. z. w. w. (reńskich złotych waluty wiedeńsk.) punktualnie wy-

---

[1]) Porównaj Chłędowskiego Kazim.: „Typy towarzyskie.“ „Gazeta lwowska“, 1879, nr. 279.

[2]) Memoryał i list Zamojskiego.

[3]) Monety konwencyjnéj.

płacana była; a zaległa natychmiast zmazaną została, inaczéj podadzą skargę do stanów, — w tém smutném położeniu, bojąc się utracić publiczną opinią, wyniosłem wszystko, co było w domu, na zastaw; zaspokoiłem jednych, lecz drudzy powstali mówiąc: czemu jedni są spłaceni, a drudzy czekać muszą? To zmusiło mię zastawić dekret [1]) i oddać się na łup — lichwie. Pierwéj, gdym jeszcze nie był przez Prześwietne Stany zasilany, wypłacałem wedle możności, a nikt się nie skarżył.“

Do tych nieprzyjemności z aktorami, przyłączyły się i inne. Do nieszczęścia mego należy i to—mówi daléj Kamiński,—że antrepryza niemiecka z rąk Bulli, Kratera (mężów światłych) przeszła w ręce Muellerów, Zimmermanów, Czabonów. Ci przybysze, nie mogąc sprostać scenie polskiéj, umyślili ją obalić, zaprzeczając jéj praw, które miała; zaczęli knuć spisek z malkontentami; odebrali jéj trzeci dzień w tygodniu w czasie kontraktów, oczerniając mię przed rządem, iż ja szukam zguby sceny niemieckiéj, że scena niemiecka upaść musi, pokąd ja polską zarządzać będę...“ [2]).

„Stąd to pochodzi, iż w kontrakcie Czabona z magistratem ten warunek stoi (który dawniéj miesca (tak!) nie miał): „*Sollten die Unternehmer des deutschen Theaters das polnische Theater nicht im Stande sein, selbst zu leiten; so muesten sie einen Mann stellen, der vom Gubernium oder von der Polizei dazu fuer faehig befunden wird...*“ [3]).

„Ta idea, aby scenę niemiecką z polską w jedno ciało złączyć, chociaż nigdy realizowaną być nie może; dotąd jeszcze zaprząta głowy nienawistne polskiéj scenie; która poddana w ten sposób niemieckiéj, trwałaby czas bardzo krótki i byłaby tylko śmiechu i politowania godną;—a raz upadłszy, jużby się nie dźwignęła!“

Jakże się bronić przeciw temu? co robić? Na inném miejscu [4]) radzi Kamiński zabezpieczać się wszelkiemi siłami przeciw tym zapę-

[1]) Nadający mu subwencyą stanową.

[2]) Skarżył się Kamiński na te ciągłe zatargi ze sceną niemiecką w podaniu do Stanów 13 grudnia 1826 r. Pepłowski, 125.

[3]) „Gdyby przedsiębiorcy niemieckiego teatru nie byli w stanie sami kierować teatrem polskim, to musieliby dać człowieka, któregoby gubernium lub policya uznały za zdolnego w téj mierze.“ Usunął to nadużycie dekret nadworny z 2 grudnia 1829 r. W jednym z ustępów powiada wyraźnie, że przedsiebiorcy teatru niemieckiego nie wolno utrzymywać pod swoją dyrekcyą teatru polskiego. Pepłowski, 132.

[4]) Mówi o tém w swoim projekcie teatralnego towarzystwa akcyjnego, dołączonym do memoryału.

dom germanizacyjnym. „Wszystkie kontrakty, powiada, umowy tak z aktorami, jak z niemiecką antrepryzą lub téż magistratem (aby ochronić scenę polską od ukrzywdzenia), powinny być zawierane pod powagą wysokich Stanów, — trafiało się bowiem często słyszéć antreprenerowi sceny polskiéj z ust antreprenera teatru niemieckiego te wyrazy: *„wenn diess nicht geschieht, so erlaube ich Ihnen gar nicht zu spielen“* [1]), łatwo wyobrazić sobie, jak gorzkie uczucie podobna mowa wzbudziła w antreprenerze sceny polskiéj, który niejako imieniem narodu przewodniczy scenie narodowéj.“

Na myśl o tém lekceważeniu kierowników sceny polskiéj, owłada dyrektora prawdziwe oburzenie. Dając mu też folgę, rozwodzi się długo nad tą sprawą w naszym memoryale: „Nie wyliczam tu wielokrotnych przeszkód i ucisków, których doznaje scena polska, jednakże nie mogę zamilczéć, jak do tego przyjść mogło, aby scena polska za to, iż w narodowym języku do narodu przemawia, opłacała haracz? Wszakże większa część Polaków nie rozumié języka niemieckiego,—masz ta część ludu pozbawioną być tych pożytków, które teatr niesie? czemuż lud polski nie jest zmuszony opłacać kazań, których słucha w narodowym języku? Wszakże sam Monarcha życzy sobie, aby język polski kwitnął; każdy urzędnik musi składać dowody, iż nim władnie, — gdzież się snadniéj nauczą języka, jeżeli nie w teatrze? gdzie nawet sama młodzież polska wyższego stylu mowy ojczystéj?“

„Nakoniec będziesz naród narodem, gdy przestanie mówić językiem swoim? już się dziwią, gdy Polak wdzieje polską szatę, nie możesz przyjść do tego, iż się krzywić będą, gdy przemówi po polsku?...“

Do tego wszystkiego i publiczność opuszczała zacnego bojownika w obronie sceny narodowéj, a tém samém wtrącała go w coraz gorsze położenie. Od roku 1820 do 1824 udział publiczności na przedstawieniach bardzo słaby — grywano często przed pustemi ławkami; pomyślniejszym nieco był rok 1825-ty, subwencya bowiem stanów zwróciła na teatr większą uwagę, zaraz jednak w latach następnych wraca publiczność do dawnéj obojętności. Dyrektor zadłuża się coraz bardziéj, musi uciekać się do melodramatów, pozwolić na to, aby repertuar stopniowo upadał [2]).

Im bliżéj było końca trzeciéj dziesiątki naszego stulecia, tém więcéj spostrzegał Kamiński, że niepodobieństwem jest pędzić daléj

---

[1]) „Jeżeli Pan tego nie zrobi, to nie pozwolę Panu wcale dawać przedstawień.

[2]) Porów. Pepłowskiego, str. 92—135,

w ten sposób swój dyrektorski żywot. Przemyśliwał, jakby sobie poradzić w tém położeniu bez wyjścia. Co postanowił, dowiédzmy się z własnych jego słów: „Widząc, pisze w memoryale, iż dłużéj w tym składzie rzeczy ostać się nie zdołam, nie chcąc na siebie ściągnąć pozoru winy: jakobym przez chciwość majątku, albo urazę osobistą najlepszych rozegnał aktorów, postanowiłem zrzec się antreprezy i wszelką ponieść ofiarę, aby tylko moje dwudziestoletnie prace nie zgasły!“

„Jestem przekonany, że kiedym jako prywatny lat dwadzieścia mógł utrzymać scenę polską; o ileż takowa łatwiéj nieutrzyma się, kiedy zyska wysoką opiekę!“

Wskutek tych rozmyślań i argumentacyi „do tego przyszło (pisze w liście do Zamojskiego), żem prosił obywateli, aby pod swój zarząd wzięli scenę nardową... Przedstawienie moje nie było daremnie użyte. P. marszałek Wasilewski, z wdzięcznością to wyznaję, sprawił, że obywatele postanowili komitet.“ Na prośby więc i przedstawienia Kamińskiego, grono poważnych obywateli powzięło myśl objęcia teatru pod swój własny zarząd; zajął się nią szczególnie Tadeusz Wasilewski. I rzeczywiście sprawa podźwignięcia sceny lwowskiéj znalazła w Wasilewskim gorliwego opiekuna. Długie tam musiały być między nim a Kamińskim narady i rozprawy; należało przedewszystkiém omówić wszechstronnie projekt mającego się utworzyć towarzystwa akcyjnego. Skończyło się na tém, że Wasilewski polecił Kamińskiemu, ażeby napisał i przedłożył mu memoryał o stanie sceny polskiéj we Lwowie. Tak to powstał memoryał który teraz właśnie wydobywamy z pyłu zapomnienia. Był to początek roku 1829. Dnia 18 marca tego roku przesłał Kamiński deputatowi napisany przez siebie memoryał i projekt towarzystwa akcyjnego wraz z następującym liścikiem [1]).

Jaśnie wielmożny panie!

Pozwoliłeś łaskawie, abym ci o stanie sceny polskiéj, z którą i los mój dotąd był ściśle połączonym, uczynił przełożenie.

Uprzejmą dobrocią twoją ośmielony przesyłam ci krótkie, pobieżne, o ile mi zatrudnienia moje dozwoliły, skreślenie tego wszystkiego, com tylko, wedle zdania mego, dla wiadomości twojéj za potrzebne mógł osądzić; i upraszam, aby przyłączone pismo, twojéj tylko jedynie j. w. panie wiadomości służyło.

Twoim obywatelskim cnotom, twojéj sprawiedliwości, jak i czu-

---

[1]) Rękopis zakładu Osolińskich, Nr. 2230, k. 3.

łemu sercu twemu los mój oddając, mam sobie za zaszczyt zostawać twoim j. w. panie nazawsze wdzięcznym i najniższym sługą.

18 marca 1829 r. J. N. Kamiński.

Memoryał przesłany Wasilewskiemu, poznaliśmy właśnie w najważniejszych wyjątkach. Jest to, jak sam Kamiński słusznie powiada, „Krótki i pobieżny“ przegląd dwudziestoletniéj jego działalności dyrektorskiéj, od r. 1809 aż do początku r. 1829. Przypomina wprawdzie z formy zewnętrznéj i kilku szczegółów znany już badaczom list Kamińskiego do hr. Adama Zamojskiego z r. 1844 [1]), kreślony w chwili podobnie krytycznéj, jak niniejsza; o ile jednak w całości zajmującym jest ten memoryał i jak ciekawe wiadomości zawiéra w sobie do dziejów teatru lwowskiego i do charakterystyki współczesnych stosunków, ocenili to już zapewne szanowni czytelnicy. Maluje on wybornie to życie Kamińskiego, pełne trosk i udręczeń wśród długów i kłopotów pieniężnych, wśród nieustającéj walki o prawa sceny polskiéj i języka polskiego. Napisany żywo i barwnie, z uczuciem człowieka, który wié, że od słów przezeń wypowiedzianych, zależy jego ratunek, wzbudzi prawdziwe zajęcie nawet u tego, kto zna Kamińskiego chociażby tylko z nazwiska. Świadectwem on jest nietylko wielce pożytecznéj działalności niestrudzonego dyrektora, ale zarazem nader ruchliwego usposobienia i téj przedsiębiorczości, jaką musiał rozwinąć, usiłując przez tyle lat i wśród takich warunków utrzymać się na raz zajętéj placówce.

Oddając memoryał Wasilewskiemu, myślał Kamiński zarazem o tém, jak uporządkować swoje prywatne stosunki wrazie zawiązania się nowego towarzystwa. Skoro się zrzekał zarządu teatrem na rzecz komitetu tego towarzystwa, chodziło mu przynajmniéj o to, ażeby (jak sam powiada) nie pozostał „z dziećmi bez kawałka chleba“. Sprawy téj dotknął w zakończeniu swego memoryału. Wykazał, wiele go kosztowały powiększające się rokrocznie zbiory i zasoby teatralne, na które składały się garderoba, dekoracye, partytury, muzykalia, biblioteka i role; wykazał, że wyłożył na nie w swoim czasie więcéj niż 30 tysięcy z. r. w. w. i że jeszcze w téj chwili były warte przynajmniéj 10 tysięcy. Zdaniem dyrektora szkodaby było, żeby poszły one na marne w ręce dłużników, wolałby je odstąpić na własność towarzystwu, w zamian za spłacenie jego długów, które wynosiły nie wię-

[1]) Daty wyraźnéj list ten nie posiada: Kamiński mówi w nim jednak o 35-letniéj pracy dla sceny, licząc więc od r. 1809, wypadłby rok 1844. Ten rok podaje także Estreicher, Teatra, III, 461 i 469.

céj, jak 7 tysięcy zł. r. Sobie pozostawiał natomiast zaspokojenie innego długu w ilości 5 tys. zł., część jego już spłacił, na zapłacenie reszty przeznaczał subwencyę stanową 2 tys. m. k. za rok 1830. Biedny jednak dyrektor! Przyznaje się (o tém wspominał już i przedtém), że dekret na tę subwencyą zastawił, nie mogąc inaczéj uiścić się niektórym artystom z należytości za rok 1829, subwencyą bowiem wypłacano mu nie z góry, ale miesięcznie.

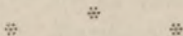
„Oto jest (kończy Kamiński memoryał) rzetelny i sumienny obraz stanu antrepryzy mojéj; z niego wnieść możesz j. w. panie, że ja wraz z żoną na to tylko pracujemy, abyśmy w nagrodę same zgryzoty odbierali; że oszczędność i poświęcenie się nasze musiały być wielkie, gdyśmy lat dwadzieścia w tym stanie wytrwali! kiedyśmy zagranicą uzbierany mająteczek i wszystko z klejnocików na utrzymanie sceny chętnie poświęcili. Przyszedł czas, że dłużéj wytrwać nie możemy, wolimy pracować najgorliwiéj za najmniejszą gażę, byleśmy z kasą i w tym względzie z aktorami i antrepryzą niemiecką nic do czynienia nie mieli“.

Do memoryału dołączył Kamiński projekt teatralnego towarzystwa akcyjnego. Dwudziestoletnie doświadczenie ciernistego zawodu kierownika teatru wspierało go w rozwinięciu tych myśli, które pisał dla użytku i pouczenia Wasilewskiego. Z cennych tych wskazówek, z liczb tych i obliczeń, skorzystał Wasilewski, skorzystali ci wszyscy, którym powstanie towarzystwa leżało na sercu. Projekt ten, chociaż już dzisiaj znamy po części dochody i wydatki sceny polskiéj we Lwowie z tych właśnie czasów [1]), przynosi w każdym razie bardzo zajmujące zestawienie ówczesnego jéj stanu finansowego, tym zaś, którzy znają bliżéj dzisiejsze stosunki naszego teatru, nasuwa ciekawe wnioski, wynikające ze wzajemnego porównania czasów tak odmiennych. Obok tego znajdzie się tu jeszcze niejedno z historyi lwowskiego teatru lub z życia Kamińskiego. Nie możemy nużyć szanownych czytelników wyliczaniem tych dat i szczegółów; kogo to będzie więcéj zajmowało, może sobie odczytać projekt ten w całości. Powiemy tylko, że na utrzymanie teatru liczy Kamiński rocznie 24 do 25 tysięcy zł., a zarazem proponuje, ażeby dla osiągnięcia téj sumy zebrać 100 akcyonaryuszów, składających rocznie po 100 zł. Doświadczenie uczy, że największa strata, jakaby mogła wypaść po skończeniu roku, wynosi 5 do 6 tys. Narażony na taką stratę jeden człowiek, znalazłby się w położeniu bardzo przykrém, akcyonaryusze jednak, jeżeliby ich było stu, utraciliby zaledwie 20 do 22 zł.; to też musia-

---

[1]) Pepłowski, str. 118 i 128.

łoby być pięć lat z rzędu nieszczęśliwych, ażeby postradali cały kapitał. „Ale i wtenczas, powiada Kamiński, zostałaby im chwała utrzymania sceny przez lat pięć". Następnie omawia swój projekt w szczegółach, przewiduje rozmaite wypadki, podaje przykłady. My poprzestaniemy już na tém.



Towarzystwo akcyjne rozpoczęło swe istnienie dopiéro pod koniec roku 1830. Tymczasem los gorzko doświadczał Kamińskiego. Wśród dziwnego zobojętnienia publiczności dla teatru, wśród coraz bardziéj rosnących długów, a co najgorsza wśród ciągłych sporów z artystami, oczekuje polepszenia swéj doli. Były chwile, w których położenie dyrektora stawało się rzeczywiście opłakaném, natychmiastowa pomoc konieczną. Wymownym tego dowodem następny list, pisany w marcu r. 1830 do Tadeusza Wasilewskiego z rozpaczą człowieka, który z rodziną nie ma co do ust włożyć. Wyborny to komentarz do naszego memoryału; oto słowa listu [1]).

Jaśnie wielmożny panie!

Wiem, że nadużywam dobroci twojéj, ale rozpacz wiedzie mię ku temu: Dnia wczorajszego pocieszony łaskawém przyjęciem i obywatelską chęcią przez jego xiążęcą mość [2]), wracam do domu i zastaję nader smutną scenę: Gospodarz wypowiada mi sądownie pomieszkanie, Żyd grozi zabiorem (tak!) ruchomości — pan Bensa zdefiniował, aby teatr zamknąć i oświadczył, iż już więcéj grać nie będzie — reszta aktorów żąda przynajmniéj po kilka reńskich codziennie — pan Smuhowski [3]) (tak!) żąda podpisania paszportu i wypłaty sumy — o moim domu już nie wspominam — nie uwierzysz j. w. panie, żem dnia wczorajszego z rodziną nie miał nic ciepłego w ustach! bo kilka złotych na kuchnią przeznaczonych, odebrali zgłodniali aktorowie pomniejsi — dziś na obiad Starszewskim i sobie sprzedałem Dykcyonarz włoski i Dworzanin (tak!) Górnickiego!... Zważ j. w. panie w jakich jestem okolicznościach... Imieniem ludzkości zaklinam cię j. w. panie, spraw, aby choć przy życiu utrzymać zgłodniałych... świat temu nie uwierzy, a przecież, tak jest w istocie — o 11-éj ośmielam się być u xięcia pana, z wykazem dochodu i wydatków — jak mi raczył rozkazać — ale o nę-

---

[1]) Rękopis zakładu Osolińskich Nr. 2230, k. 8.

[2]) Książę August Lobkowicz, gubernator Galicyi (1826—1832).

[3]) Smochowski Witalis, znakomity artysta dramatyczny; wybiérał się on wówczas do Warszawy na gościnne występy. Rozpoczął je tam w maju r. 1830. Pepłowski, str. 139.

dzy mojéj nie wspomnę, bo zdawaćby się mogło, iż ją dla interesu przesadzam. Wiedząc o życzliwości twojéj, jaśnie wielmożny panie, mam sobie za obowiązek donieść o téj ostateczności — skoro aktorów nie zasilę, bezwzględnych kredytorów cokolwiek nie uspokoję — przestawszy grać, wydam się na rozbój i najokropniejsze zakończenie mojego zawodu...

Polecając się wysokiéj łasce twojéj j. w. panie mam honor pisać się twoim najniższym sługą.

17-go marca 1830 r. J. N. Kamiński

W jaki sposób przyszedł w pomoc Wasilewski biednemu dyrektorowi, czy mógł mu jéj wówczas udzielić, na to dla braku wskazówek odpowiedzieć nie możemy. W każdym razie jednak odzywa się w ten sposób tylko do tego, do kogo ma się zaufanie i nie waha się wyciągnąć błagalnéj dłoni.

List ten świadczy zarazem, że Kamiński kołatał również gdzieindziéj o wsparcie dla instytucyi, która stała się celem jego trudów, prac i zabiegów, celem jego życia. Stan i położenie teatru polskiego we Lwowie przedstawił widocznie ówczesnemu gubernatorowi Galicyi, ks. Augustowi Lobkowiczowi, któremu niezwykłe przymioty zjednały powszechną i szczerą sympatyą. Książę przyjął dyrektora łaskawie i wiedziony (jak się list wyraża) „obywatelską chęcią“ zrobienia czegoś dla naszéj sceny, polecił mu przedłożyć wykaz jéj „dochodu i wydatków“. Szkoda, że na tém kończy się niniejsza wiadomość: niepodobna nam zbadać, o ile ks. Lobkowicz zajął się tą sprawą. Bliższe szczegóły przyniesie nam może przyszłość...

Towarzystwo akcyjne zawiązało się: 24 września 1830 r. odbyło się pod jego rządami pierwsze przedstawienie; nie miało jednak, jak wiadomo, powodzenia. Rozwiały się w nicość te świetne nadzieje, jakie łączono z jego powstaniem.

Dr. Bronisław Czarnik.





LECONTE de LISLE.

STUDYUM.

Sur ton sépulcre muet et les os consumés
Qu'un autre verse ou non les pleurs accoutumés,
Que ton siècle banal t'oublie et te renomme.
Moi, je t'envie au fond du tombeau calme et noir
D'être affranchi de vivre et de ne plus savoir
La honte de penser et l'horreur d'être homme.

I.

U pisarzy wielkiego talentu zdarza się niekiedy godny uwagi powrót cech pierwotnych człowieka; atawizm temperamentu prostego i surowego. Są to barbarzyńcy zabłąkani przypadkiem w wir społeczeństw cywilizowanych, którym oni przeciwstawią swoją pierwotność, swoją surowość, swoją osobowość dziką i ekscentryczną. Tak Byron jest to w gruncie rzeczy pirata, jak go tytułował Landor, sam centuryon rzymski, któryby za dawnych czasów stanął jak Spartak na czele zbuntowanych niewolników. Baudelaire— to mnich średniowieczny o wizyach piekielnych, tak jak Rosseti—to mnich średniowieczny o wizyach niebiańskich. Swinburne—to krwiożerczy Germanin, który przypadkiem się dostał na wytworny i zepsuty dwór jakiego cezara i przyjął odeń jego grecką ogładę i rzymską *Ars amandi*. A kiedy Richepin mówi: „Jam nie Gall ani Latyn, ale Tatar i czuję, jak kipi w mych żyłach krew barbarzyńska mych przodków,“ to może jest w tém nieco właściwej Richepinowi *boutade*, ale jest téż wiele prawdy.

Podobnież barbarzyńcą jest ten poeta, który dziś zarówno w narodzie, jak w akademii francuskiej — jest *par excellence* następcą Wiktora Hugo—Leconte de Lisle.

Leconte de Lisle ur. w r. 1818 na wyspie Bourbon. Koło roku 1835-go przybył do Paryża. Począwszy od r. 1857 wydał kolejno trzy tomy prac p. t. *Poèmes antiques*, *Poèmes barbares*, *Poèmes tragiques* [1]). W r. 1887 został członkiem akademii. W r. 1888 wydał jeszcze poemat p. t. *Apollonide*.

Doskonała forma, harmonijny i pełen barwy język, pewność słowa, bogactwo metafor, wyrazistość linii, plastyczność obrazów — oto są cechy zewnętrzne utworów Leconte de Lisle'a. Po za tém jest myśl i temperament. Myśl widoczna, jasna, logiczna, bez chwiejności, bez bojaźni wypowiadająca prawdy surowe i bolesne. Po za tą myślą — starannie ukrywany — widzimy temperament, podkład całego dzieła. Większa część jego utworów przedstawia nam tylko artystę bez zarzutu; mniejsza, bardziéj interesująca, odsłania nam temperament oryginalny i dziki. Kreol ten ma gwałtowne, pierwotne wybuchy gniewu, wycia straszliwe rannego ludożercy; rozpacze Kafra, który mściwie fetysza swego druzgocze, obawy koczownika, węszącego wszędzie krew i zabójstwo. Staje przed nami barbarzyńca, wtajemniczony we wszystkie filozofie i kosmogonie, nauki, sztuki, ale który barbarzyńcą być nie przestał. Dlatego z pogardą i nienawiścią patrząc na swoje stulecie i jego kulturę, wchodzi on myślą w przeszłość jak najdalszą.

I w przeszłości téj szuka tego tylko, co zgadza się z jego temperamentem. Z biblii wziął to, co było w niéj apokalipsą i piorunami Jehowy; z wieków średnich—stosy i inkwizycye, ze Skandynawii — bratobójstwa i odcięte głowy; z Galii starożytnéj czaszki służące bardom za puchary; z Grecyi—olbrzymie, barbarzyńskie siły cyklopów i nieruchome posągi; z Indyi—bogatą i okrutną naturę i bezustanny jéj ruch, idący przez mogiły do mogił.

Dwa są pierwiastki w tym temperamencie: drapieżność i pragnienie nicestwa. Są to dwa momenty w życiu ludożercy: krwawe gonitwy za łupem i leniwy sen po nasyceniu, ruch gwałtowny i nieruchomość absolutna. Stąd pisma Leconte de Lisle'a podzielić można na dwa szeregi: takie, w których słychać wycie głodnego wilka i takie, w których czuć tchnienie mogił. Jeżeli bowiem Byron jest lwem, to Leconte de Lisle jest wilkiem, i najlepiéj przekonamy się o tém, odczytując „Kaina“ obu autorów.

Leconte de Lisle jestto duch surowy i lodowaty; nie szukaj w jego lirze czułości i rostkliwienia. Ma on tylko struny miedziane, że-

---

[1]) Wydał nadto tłómaczenia Homera. Hezyoda, tragików greckich, Horacyusza.

lazne i spiżowe. Krwawa tragedya bytu — jest jedynym niemal widokiem, jaki oczy jego dostrzegają. W historyi występuje dlań jedno zwierzę najdrapieżniejsze—człowiek; w naturze inne zwierzęta, mniéj świadome, a również drapieżne. Historyą czytał, naturę widział. Nie z książek wziął on poczucie natury, z żywego przejął je otoczenia, w jakiém przebył dziecinne swe lata.

Wiemy, że urodził się na oceanie Indyjskim, na łonie bogatéj, egzotycznéj, afrykańskiéj natury, pod pionowemi promieniami słońca, które krew rozpala i raz popycha do boju z dzikiemi zwierzęty, to znowu pogrąża ducha w nieruchoméj, bezczynnéj ciszy marzenia.

W téj naturze dzikiéj i bogatéj daleko silniéj, niż na ubogiéj i ogładzonéj północy występują bezwzględne i ślepe, płodne i zabójcze jéj moce. A z drugiéj strony jest ona bardziéj majestatyczna, wspanialszą i całość jéj daje wrażenie nieskończonéj ciszy. Te olbrzymie lasy palmowe, ten bezmiar błękitów i oceanu, to bezchmurne niebo, ten żar podrównikowy — wprowadzają ducha w stan bezwzględnego prawie spokoju, zapomnienia własnéj jaźni, w senne majaczenia zewnętrznego świata, w ciszę słodką i nieruchomą.

Lecz, jeżeli od śmiechu znużon i rozpaczy,
O świecie hałaśliwym szukasz zapomnienia,
Wiedząc, że już twe serce ni klnie, ni przebaczy,
I chcesz użyć najwyższéj rozkoszy zdrętwienia!
Pójdź. Słońce wzywa ciebie w słowach swych płomiennych,
Pogrąż się w jego ogni żar nieubłagany
I wolnym powróć krokiem do swych miast kamiennych,
W świętych żarach nicestwa siedmkroć wykąpany.

Tak mówi Leconte de Lisle w swym wierszu p. t. *Midi*, a wiersz ten dokładnie nam odwzorowuje wrażenia, jakich doznawał w młodości swéj autor. Nieskończoność piekącego żaru afrykańskiego jest unieruchomieniem, a nieruchomość jest siostrą nicestwa. Ale jestto *immuabilité faite d'inquietude* [1]. Autor bowiem zna niepokój, zna męczącą potęgę, która żyje w piersi ludzkiéj i która ducha od ziemi odrywa. I ten niepokój, ten duch boleściwy, ta niemożliwość uciszenia jego pragnień natarczywych — jest nowym czynnikiem, wpływającym na unieruchomienie tego ducha, który chciałby latać. Nieruchomość ta w kierunku moralnym wytwarza stoickie zobojętnienie i nieczułość (*impassibilité*); w kierunku artystycznym — marzycielstwo i spokój olimpijski. Marzycielstwo u tego syna mórz podzwrotnikowych staje się źródłem żądzy unicestwienia ruchu, żądzy zdrętwienia, żądzy

[1] Wiktor Hugo w „Légendes des Siècles."

śmierci. Spokój staje się źródłem żądzy plastyki marmurowéj, pragnienia piękna idealnego i niezmiernego. Pesymistyczne swe marzycielstwo zaspakaja Leconte de Lisle w krainie egzotycznych Indyi wedyckich; spokój i harmonią odnalazł w marmurowych i nieskalanych postaciach Grecyi klasycznéj.

Tak więc nieruchomość dwie formy przyjęła u Leconte de Lisle'a: formę fakiryzmu i formę posągowości. Te dwa jéj kierunki, indyjski i grecki odpowiadają dwom cechom jego twórczości: metafizyce i plastyce, które już to wiąże on w sposób symetryczny, już to od jednéj do drugiéj nagle przeskakuje; jużto jednéj z nich tylko miejsce pozostawia.

Plastyka ma w nim znakomitego przedstawiciela, nikt nie jest lepszym odeń malarzem, czy to postaci ludzkich o formach muskularnych i idealnych, czy téż zwierząt dzikich i drapieżnych, czy roślin egzotycznych i jadowitych. Jedyną rozkoszą życia jest dlań poszukiwanie „drogi do Parosu“, cześć piękna.

Bo skoro historya i natura są o tyle straszne, że wywołują żądzę nieruchomości, to nie patrzmy w ich wnętrza, rozważajmy tylko ich zewnętrzne formy i wybierajmy te, które są najdoskonalsze.

Jeżeli poznanie historyi z jéj strony ludożerczéj i bratobójczéj połączymy z poczuciem natury, jako olbrzymiéj mogiły, w łonie któréj istoty w proch się rozsypują, to otrzymamy filozofią, która wskazuje nam byt, jako kaźń rozpaczliwą, i grób, jako miejsce upragnionego spoczynku.

Jeżeli więc jest jaka potęga, która nas na ten byt złośliwie skazała, to powinniśmy zaprzysiądz jéj nieubłaganą nienawiść i dążyć do jéj zniweczenia. Chwila, w któréj Leconte de Lisle całą potęgą swego surowego temperamentu powstanie, aby zaprotestować przeciw złudzeniu moralnemu i fizycznemu, które świat mimo jego woli i winy, gwałci i hańbi—będzie chwilą największego napięcia jego talentu: napisze on swe arcydzieło, które nazwie Kainem.

Ale to zło moralne jest nieuniknione. Byt to nieodwołalna *Ananke*, co nie baczy na tysiączne i indywidualne formy istnień, a ma na celu tylko własny potok swych przemian, druzgoczących jedno życie po drugiém, wyłaniających jedno życie z drugiego, aby nakoniec wszystkie byty pogrążyć w otchłani, skąd już nic nie wraca. Ale to zło moralne robi zwierzę drapieżném, a człowieka drapieżniejszym jeszcze. Jednak niewinném jest zwierzę i niewinnym człowiek: bogowie im każą pożerać się wzajemnie. Nic ich losu nie zmieni: niczém są cierpienia jednostek, w obec wszechbytu. Zamknijmy serca i patrzmy, jak się przed nami roztacza wir istot jednych za drugiemi. Żaden

twór nie istnieje jako twór oddzielny, ale jako jedno z ogniw powszechnego łańcucha. Żaden twór nie istnieje w formie nieodmiennéj, ale przelewa się z jednéj formy w drugą. Nie ma na ziemi nic, prócz wiecznego stawania się. Poety jest celem tym chwilowym postaciom form wiecznych, nadać formy stałe, nieoderwane jednak od ich treści wiecznéj.

Z tych pojęć wynikł u Leconte de Lisle'a: uniwersalizm, w którym każda indywidualność, zarówno jak indywidualność autora znika, i fenomenalizm, w którym zjawiska ujęte są w stadyum ich powstawania i w charakterze ich związku z całością. Jest to filozofia, będąca mieszaniną Hegla i Spinozy, Darwina i Spencera. Monizm, stawanie się, ewolucya, walka o byt — stanowią tło pojęć Leconte de Lisle'a.

Z drugiéj strony ten brak form określonych w stawających się i zmiennych tworach, wywołuje u autora żądzę złowienia, pochwycenia tych form w ich stanie najwyraźniejszym, najczystszym, najplastyczniejszym. Stąd jego plastyka nieporównana, czystość i wyrazistość wizyi, malarstwo i rzeźba bez zarzutu. Z téj miłości plastyki wynika jego cześć piękna i cześć formy, a z trudności ujęcia rzeczy niestałych w formy stałe wynika nadziemski, niedościgniony charakter piękna. Z walki zaś plastycznego ducha piękna z ewolucyjnym duchem bytu—wypływa u autora miłość skończonego, harmonijnego pogaństwa Hellenów i nienawiść względem niepostaciowéj semickiéj idei Jehowy; co jednak nie przeszkadza autorowi zwrócić się późniéj do aryjskiéj idei amorfizmu—nirwany.

Tak samo, jak istoty natury pozostają w nierozerwalnym związku ze sobą; tak téż i historya człowieka składa się z momentów oddzielnych, nieuchronnie związanych w jeden szereg fatalny przyczyn i skutków.

Odnalezienie drapieżnych momentów w historyi i powiązanie ich w tragiczny łańcuch z całością natury; jako wynik, niewiara w człowieka, nienawiść bytu, pragnienie mogiły; oddanie tych myśli i uczuć w formie doskonałéj pod względem dźwięku, barwy, wypukłości: oto streszczenie twórczości Leconte de Lisle'a.

Jest on historykiem, przyrodnikiem, filozofem i artystą. Ta wielostronność zbliża go do dawniejszych poetów, a najbardziéj do Wiktora Hugo. Jest on niby nowym Wiktorem Hugo zamrożonym, zmoderowanym.

Leconte de Lisle wydał kolejno trzy tomy poematów: *Poèmes antiques*, *Poèmes barbares*, *Poèmes tragiques*. Dzieło jego w zasadniczéj idei spokrewnione jest z „Legendą wieków“ i przed nią nawet było

pomyślane. Ma ono tę wspólność z „Legendą“, że przedstawia dzieje człowieka koleją wieków. Ma tę niższość, że koléj ta nie jest ściśle zachowana, że układ momentów historycznych jest czysto przypadkowy; tę jeszcze, że czasów nowożytnych autor nie dotyka, że historya jego kończy się na epoce wojen krzyżowych; tę jeszcze, że jest jednostronna, że jest tendencyjnie ujemna, że nie ma w niéj żaru Wiktora Hugo.

Ale ma tę wyższość, że historya jest u niego historyą, a natura—naturą, gdy u Wiktora Hugo jedno i drugie służy tylko za powód do dydaktyki i za tło do rozmyślań filozoficznych i moralnych.

Wieki średnie Wiktora Hugo — to dekoracye romantyczne; jego Kain nie ma w sobie nic biblijnego, a Kanut nic skandynawskiego. Kanut mógłby zastąpić Kaina, jak Kain Kanuta. U Leconte de Lisle'a, przejęcie się charakterem, ideami i wyobraźnią danéj epoki i rasy jest szczegółowém. Jego Kain jest hebrajczykiem, jego Mouça-al-Kebir—beduinem, graf de Kemper—duńczykiem, don Diego—hiszpanem, Mavromikhalis — neogrekiem. Tylko jego Grecya starożytna jest konwencyonalna, raczéj wygląda jak muzeum, niżli grupa żywych ludzi. Przytém jest to Grecya zawsze uśmiechnięta, zawsze spokojna, zawsze łagodna. Tak np. w jednym z najlepszych swych poematów („Helena“), maluje on bohatérów Iliady w sposób zbyt salonowy. Zdaje nam się, że zyskaliby dużo, gdyby autor, mający dane potemu, namalował raczéj ludożerców, do których byli podobniejsi ci ludzie. Tylko pisownią nazwisk greckich autor przerażał akademią: pisał *Akhilleus* zamiast *Achille*, *Klytaimnèstra* zamiast *Clytemnèstre* i *Kybelé* zamiast *Cybèle*. Po za Grecyą jednak autor trzeźwo zupełnie, z pewną naukową ścisłością maluje rzeczy i jeżeli są jakie wady w jego pracach, to wynikają one wprost z niedogodności wyboru tematów historycznych, t. j. obrazów niewidzianych, tylko wyobrażanych. Bezwarunkową wyższość Leconte de Lisle'a nad Wiktorem Hugo stanowi jego sztuka, jego wstrzemięźliwość w mówieniu, jego umiejętność ograniczania się do tego, co jest konieczném. Pod względem języka jest on kryształem, podczas gdy Wiktor Hugo jest wrzącym jego rozczynem. Wiktor Hugo pędzi jak koń niecierpliwy: słowo przypomina mu słowo, dźwięk przywołuje dźwięk, obraz wynika z obrazu; instynkt wyziera z każdéj jego genialnéj linii, ale frazeologia i deklamacya — wytwarza wiele rzeczy zbytecznych.

Leconte de Lisle— to koń maneżowy, nic do jego słów nie dodać, nic z nich nie ująć. On sam kieruje swym pegazem: dłoń jego pewna i mocna, zimna i nieugięta. Żadnych sprzeczności, żadnych nielogicz-

ności w nim nie ma. Wiktor Hugo był to marzyciel, widział świat w ogniu bengalskim, żył w olbrzymiém kłamstwie, miał tysiączne złudzenia, był wielki i naiwny. Baudelaire—to sensualista, który chwieje się między dogmatem i bluźnierstwem, który modli się do śmierci, a potém woła:

— *O, jamais ne sortir des Nombres et des Êtres!* albo:

— *Je préfère la douleur à la mort et l'enfer au néant!*

Leconte de Lisle nigdy w sprzeczności nie wpada, bardziéj niż malarzem, niż muzykiem, jest on logikiem. Widzi on wszędzie tylko Noc bez zorzy i w całém swém dziele jest jednostronnie, nieubłaganie, powiemy nieludzko konsekwentnym: żadnych marzeń nie ma, w żadne złudzenia nie wierzy, żadném kłamstwem uśpić się nie daje. Jest pesymistą, jest zawsze i wszędzie pesymistą. Nikt jednak nie ma prawa wymagać od pisarza, aby był czém inném niż jest. Jeżeli Leconte de Lisle doszedł w swym niepokoju do nieruchomości, jeżeli jego dzika i surowa natura znalazła zaspokojenie w pesymizmie dumnym i niedostępnym, to widzimy w tém pewien nastrój umysłu współczesnego, który po stoicku i obojętnie spogląda na świat, nie skarżąc się na zło, nie pragnąc dobra, i który, straciwszy wszystkie złudzenia, z lodowatym spokojem wyczekuje śmierci. *L'humanité virile est lasse de pleurer!*

II.

Najznakomitszym utworem Leconte de Lisle'a jest „Kain“. Jest to widzenie prorocze wieszcza Togormy, które stanęło przed okiem jego ducha, kiedy usnął znużony pracą przy młynie.

Pierwotne czasy ziemi ukazały mu się we śnie. Potomkowie Enocha znieprawili ją swą pychą i niewiarą. A olbrzymowie ci „niezłomniejsi nad cedry i wyżsi nad sosny“ zbudowali miasto z żelaza i miedzi, pieczarę i twierdzę niezdobytą, która się nigdy przed nikim nie ugięła. Na tém samém miejscu przed tysiącem lat złożono w grobie Kaina. Tu leżał on w mogile twarzą zwrócony ku niebu, by z wiecznym wyrzutem spoglądać na siedlisko Jehowy i gdy godzina uderzy powstać, i znowu zawołać: *Non serviam!* I aby wiecznie słyszéć co cierpią syny Adama

Niechaj agonia świata napełnia me uszy
I huczy w mojém sercu, jak potoku wiry!

I oto owa otchłań, owa przeklęta twierdza potomków Kaina — usnęła jak bestya nasycona. Była noc i tylko od czasu do czasu rozlegało się wokół chrapanie ludzi i zwierząt.

Pozwólmy mówić autorowi samemu:

Lecz oto z łona mroków rozdartych, od dzikiéj
Granicy puszcz, co huczą wrzawliwym cyklonem,
Jakiś jeździec straszliwy na rumaku wronym,
Z zaciśniętemi pięśćmi, z grobowemi krzyki,
Biegł przez góry i doły w galopie szalonym.
A jego jasne włosy, w wiatrach, jak rzemienie
Ulatywały z szumem, a koń biegł z tententem,
A za nimi z chrapliwym i długim lamentem
Biegło tłumem olbrzymim rozliczne stworzenie,
Które żyje na ziemi i nad firmamentem.
Orły i lwy drapieżne, psy i gadzin mrowie.
Głodne sępy, niedźwiedzie, wilki i wilczyce
I behemoty, grube jako twierdz wieżyce
Biegły i przeklinały w swéj ryczącéj mowie,
Enochu, twą ponurą i straszną stolicę.
Ale syny aniołów spały w ciszy głuchéj,
A wielki rycerz wołał, stanąwszy na murze:
Biada tobie, Enochio! biadać. pychy wzgórze!
Grodzie tego, co bunty knował od pieluchy,
I którego przed czasy przeklął Bóg w lazurze.

Rycerz ów, strażnik Gehenny, wysłaniec zazdrosnego Jehowy, zapowiada dzień pomsty Boga za nieprawości, gwałty, bratobójstwa i pychę rodu ludzkiego. Potop — już czuć w powietrzu:

Wówczas pod ciemnym szczytem twierdzy buntowniczéj
Podnosząc tułów, piersi i czoło i ramię
Pośród przekleństw i obelg zwolna wstał w swéj jamie.
Olbrzym, co go zrodziła na ten świat goryczy
Ta, przez którą zginęły syny twe, Adamie!
Stanął wyprostowany w pościeli granitnéj,
Gdzie minęły już nad nim sześciowieczne lata.
Jak usnął, by się więcéj nie zbudzić do świata,
I spojrzał w gęste mroki puszczy starożytnéj
I na piersiach spoczęła jego pięść kosmata.
Lice było zakryte brodą osiwiałą:
Lecz pod gęstemi brwiami błyszczało mu oko,
Jedną marą zajęte, otwarte szeroko
I w horyzont od wieku w wiek na wstecz patrzało,
Stając duchem przed świata młodzieńczą epoką!

A syny Enocha zebrali się na murach i wieżach, przebudzeni, ciekawi co im powié ich dziad zmartwychpowstały. Kto mię budzi, pyta Kain. Czy to ty mój bracie, którego zabiłem kamienną maczugą? Nie, ty wiész teraz, żem uczynił to oślepiony gromem Jehowy. Co się stało, to nieodwołalne.

Ty wiész jaka ręka prowadziła moją, ty nie masz żalu do mnie. Jam czuwał, jam zasłużył na ten sen przeklęty!

Milcz, rycerzu Gehenny! wycia zaniechajcie
Bestye, których za sobą on prowadzi mrowie!
Milczcie! Chwila nadeszła. Niech i ja przemówię,
Byście wiedzieli, czém wy jesteście. Słuchajcie,
Co mówi Mściciel Kain groźnemu Jehowie!

I opisuje zebranym ludziom i bestyom wszystkie cuda i rozkosze utraconego raju, dokąd powrócić było zawsze jego marzeniem, które potomkom swoim przekazał. W raju byłby on bóstwem, które znając słowo miłości, mogłoby, jak Elohim, tworzyć światy nowe, może lepsze od tego, co istnieje. Ale Jehowa przeklął go przed wiekami i kazał mu się urodzić na wygnaniu. Dla czego był on na wygnanie skazany? Cóż on zawinił? Czemu Bóg mu nie wyrwał serca, zanim w mężu zahuczy krwi potok gorętszy, zanim dojdzie do świadomości? Czyż to on, duch płaczący nad bezowocnością swych pragnień, jest twórcą ziemi i drzewa życia, zła i grzechu pierworodnego?

Czym ja utwierdził otchłań. czym zapalił słońca?
Czym ja ożywił prochy z ich ciszy samotnéj?
Czym ja był tym, co ciszę wiecznych snów roztrąca?
Czym powiedział bezwładnéj, nieruchoméj glinie:
Cierp i płacz! Czylim dał jéj zakaz z żądzą razem?
Nieuchwytną tęsknotę za szczęścia obrazem,
Marę nieśmiertelności w nicości godzinie?
Czym kazal chcieć i karał. że szła za rozkazem?
O nędzo! Czym ci mówił bezlitosny władco:

. . . .

Życie jest dobre! Chcę się urodzić! Lecz naco
Mi życie za tę cenę, jakiéj ty wymagasz.

Ale raduj się Jahweh. Ofiara twoja, Kain wygnaniec żyje i błąka się w noc ciemną po skałach Hebronu i więzieniem zowie swe ziemskie mieszkanie. Nieustannie go gryzie tęsknota i spogląda w niebo pełen rozpaczy. Oto zjawia się na błękitach Cherub z sześciu ognistemi skrzydły i wzywa Kaina, aby ten usnął. Bezpożyteczne, mówi mu, są te gniewy. Uchyl kark, poddaj się losowi, Klęknij. Ale Kain nie chce się ugiąć. Nikczemnik — woła — niech całuje stopę, co go depce! Ale ja nie uklęknę. Zduś mię, nie zegniesz. Żądza sprawiedliwości mię pali. Cierpię, choć nic nie zawiniłem. Zło króluje na ziemi, więc pocóż się rodziłem? I oto dowiedział się, poco na świat przyszedł. Jak zwierzę w przepaść, wpadł w zastawioną sieć Jehowy. Był bratobójcą. Krew ulubieńca Ewy dotąd dręczy Kaina, ale on mu przebaczy.

Nie budź mię! Ja obwołam zgrozę mego bólu
Przed tym, któremu cisnę w twarz wszystkie me gniewy!
Syny aniołów, dumo Kaina, ty plemię,
W którém płyną krwi mojéj potoki niesforne,
I wy potomki Seta, klęczące i korne.
Słuchajcie mię! Olbrzymy. pyły. słuchajcie mię.
Słuchajcie mroki czasów bez granic wieczorne!
Słuchaj mię Elohimie! Oto jest mściciela
Proroctwo...

I zapowiada mu, że choć on potopem i stosami i torturą twór swój, człowieka, unicestwić zapragnie, ten z paszczy wód i ognia, jak Lewiatan wyjdzie odrodzony. A nie będzie to już duch nieugięty, ale nędzny, pełzający, służalczy. Lecz obudzi się kiedyś i znów przypomni sobie, kto jest ten, co go na przekleństwo bytu skazał.

Boże piorunów, Boże wichrów, wojen Boże!
. . . .
Boże groźny, zazdrosny, kryjący oblicze!
Boże, coś kłamał, zowiąc dobrém swe stworzenie!
Ożywicielu prochów, kiedyś moje tchnienie
W twojéj glinie ofiarnéj wstanie buntownicze,
Ty powiész jéj: Ubóstwiaj! Ona odpowie: Nie!

Oporność ludzkiego ducha będzie rosnąć bezustannie, aż się stworzenia uwolnią od twego łańcucha. Aż nadejdzie dzień, kiedy sklepienie niebios będzie zwalonêm, a kto Cię tam szukać będzie, nie znajdzie wcale.

I dzień ten będzie mego zwycięstwa zwiastunem,
I w dzień ten w odzyskanym, wyśnionym Edenie,
Słońce ujrzy w mém sercu Abla odrodzenie,
A ty umrzesz, śmiertelnym okryty całunem
I padniesz bezpotomny w wiekuiste cienie!

Kain przestał mówić. Widziadła znikły. I Togorma nie widział już ani mężów Enochii, ni męża Gehenny, ale wkrótce, z mroźnego sklepienia jął padać deszcz straszliwy: rozpoczął się potop. Nadszedł dzień pomsty: twory ginęły.

I w końcu. kiedy słońce, niby puste oko,
Które nie widząc patrzy w rozdarte otchłanie,
Ostatnie pogrążyło pary w oceanie;
Kiedy świat pod ostatnią potu nieb osoką
Zamienił się w powszechne cmentarne posłanie;
I kiedy szczyt najwyższy wód zalały piany,
Togorma zbladł i zatrząsł się od stóp do głowy,
Widząc, jak mściciel Kain, wieczny wróg Jehowy

Szedł z podniesioną ręką. przez mroczne tumany.
Ku potwornéj zbawienia arce potopowéj.

A tu się kończy widzenie Togormy.

W taki sposób wybucha Leconte de Lisle całą nie opętaną mocą swéj nienawiści metafizycznéj przeciw téj Potędze nieznanéj i fatalnéj, którą błąkającym się przed trzydziestu wiekami po pustyniach Syryi gromadom koczowniczym, podobało się nazwać Jehową.

Jego Kain jestto postać potężna i surowa, dzika i nieugięta. Jest to olbrzym, jest to huragan, jest to rycząca bestya. Ale nie jest to człowiek.

Leconte de Lisle dzieli z Wiktorem Hugo tę wspólność, że „twórcą dusz“ nie jest. Nie wchodzi on wewnątrz, maluje tylko formy, w które idee swe wlewa. Kain—nie jest człowiekiem, jestto pewna potęga żywiołowo-społeczna, w krańcowéj, monstrualnéj formie, idąca drogą prostą i niezmienną, jak kula armatnia. Jestto magdeburska, żelazna dziewica o wzroście Polifema i duchu Prometeusza. Powstaje on z w o l n a jak zapadły wulkan, który nagle ożył. Staje w granitach, wyprostowany, jak wieża Babelu i mówi głosem wolnym, wielkim, niby gromem, który wichry w puszcze unoszą. Zagłusza wszystko, żaden szmer słów jego nie przerywa. A kiedy skończył, otchłanie powtarzają potężne echa jego głosu. A tak przemawiałby Memnon egipski, gdyby się jego dźwięki w słowa wiązały.

Zważmy teraz mechaniczną, że tak powiemy, stronę tego dzieła. Kain mówi zwolna, ale myśl jego pędzi galopem; myśl jego pędzi, ale on sam stoi nieruchomy, a tak samo galopem pędzi koń rycerza Gehenny, który nagle zatrzymuje go, jak to czynią nomady stepowe. A zarówno myśl Kaina, jak i koń wysłańca Jehowy—pędzą w niezłamanéj i niewygiętéj linii prostéj.

Wszędzie niemal znajdziemy u Leconte de Lisle'a to zjawisko. Nie zapomnijmy, że i Kain stoi w y p r o s t o w a n y. Godne przytém uwagi, że autor opisawszy wspaniale olbrzymie formy Kaina, zapomina o nich niemal zupełnie, i zmienia go w czystą intelektualną istotę: tu skłonność plastyczna, bez przejść, ustępuje skłonności metafizycznéj.

Jeżeli jednak Kain nie jest człowiekiem, to jako idea jest on imponujący. Żadna z postaci analogicznych tak daleko w oporności swéj nie idzie. Faust Goethego kończy na kompromisie. Kain Byrona przed zbrodnią zuchwały, po zbrodni staje się chwiejnym. W ostatniéj chwili, gdy z ciałem Abla się żegna i gdy Adam mu rzecze: Pokój z nim! Kain smutno pyta: ale zemną? Jestto niewątpliwie bardziéj ludzkie, niż grube sofizmata Kaina Lecontowego, ale za-

razem wskazuje różnicę stanowisk obu autorów. Byron bierze sprawę czysto osobiście, dla Leconte'a zaś indywiduum niemal nie istnieje. (Za to odrodzenie Abla ma szerokie znaczenie). Daléj od Kaina idzie Manfred. Cierpliwość go męczy.

Patience, patience! Hence—that word was made
For brutes of burthen, not for birds of prey!

Złym duchom zaprzecza władzy nad sobą: „Wy nie macie mocy nademną! Wy posiąść mię nie możecie! Wam nie wolno mię upokorzyć i wy mnie nie upokorzycie!

— Jakto—woła późniéj — więc zbrodnie mają być karane przez inne zbrodnie i przez większych zbrodniarzy!

Ale Kain Leconte'a—to nasz współczesny. Jestto fanatyk bez wiary, walczący do ostatniego momentu, który przez wichry Potopu z podniesioną ręką idzie jeszcze ku Arce. Jest to przedstawiciel pokolenia, które wszystko stawia na kartę, bo nie ma nic do stracenia. Tylko u Swinburne'a znajdujemy tak rozpaczliwe, tak fanatyczne idee (*Hymn of Man*, *Mater dolorosa*, *Mater triumphalis*). Kain to zrozpaczony, który w agonii pokochał agonię i chce, aby umarłemu jeszcze huczała mu w sercu, jak potoku wiry. Jeżeli jednak głębiéj się wpatrzymy w tę intelektualną i materyalną walkę, jaką toczy Kain z Nieznaném, to przekonamy się, że jego proroctwo odzyskania raju, jest tylko formą, w jakiéj przedstawia Nirwanę. Czémkolwiek bowiem jest Jehowa — wyobraża on prawo nieugięte i konieczne, prawo niezmienne i wieczyste.

Prawo to nieuniknione pozwala nam tylko wybiérać tę lub ową formę konieczności, któréj przemiany my zowiemy postępem. Ale przemiany te—ów postęp—może istnieć tylko, dopóki zło istnieje. Postęp, to znaczy walka, to znaczy życie. Spokój — może istnieć jedynie tam, gdzie życia jeszcze nie ma, albo tam, gdzie już się skończyło; tam gdzie pierwiastki są jednoznaczne. Pierwiastki są jednoznaczne w niezapłodnionéj komórce i w trupie; dopóki życie trwa, trwa różniczkowanie, trwa walka jednych cząstek z drugiemi. Odzyskanie Raju, upadek Jehowy— są to pojęcia identyczne z zakończeniem walki, postępu i życia, ze zniknieniem człowieka, z unicestwieniem bytu. Aby nieugięte prawo natury przezwyciężyć, trzeba z niém zlać się, t. j. przestać istnieć. Tak więc buntowniczy okrzyk Kaina jest tylko formą modlitwy do Nirwany a zwycięskie wejście do Edenu jest spokrewnione ze śmiercią.

Podobne zjawisko znajdujemy w innym jeszcze, jak „Kain", dodatnim utworze Leconte'a: w „Çunacepie" (na tle indyjskiém). Tu

młodzieniec na ofiarę bogom skazany, odkupionym zostaje przez miłość, która jest siłą twórczą, jak śmierć—siłą niszczącą. Ale jakże ta miłość jest podobną u Leconte'a do śmierci! Jestto również spokój niemy, nieruchomy, bezczasowy.

Raz tylko jeden zawył Leconte, a kiedy nasycił swój gniew i swoją rozpacz, legł wygrzewać się na słońcu, jak „*un vieux roi de pythons, l'aboma caraïbe*“ i zwrócił się ku nieruchomym Indyom fakiryjskim i nieruchoméj Grecyi posągowéj. Jeszcze są u niego niesłychanéj energii i olbrzymiéj namiętności fragmenta, ale żaden nie dochodzi do takiéj potęgi, jak „Kain.“ A jeżeli energią dyszéć będzie każde jego słowo, to dzięki temu, że autor ją wyspecyalizuje w kierunku artystycznym: całą bezowocną w czynie swą siłę przeleje w sztukę. Skonstatowawszy zło na świecie i poznawszy, że jest ono nieuniknione, zatrzyma się zawsze tam, gdzie forma się kończy: będzie malował tylko zewnętrzną stronę świata. Nie złudzi go jednak „Maja—potok ruchomych widziadeł“, wié on że:

> Błyskawica, marzenie, myśl, ułudna wieczność.
> Życie nieustające i niewyczerpane.
> To tylko nieskończony wir pozorów próżnych.

I że nigdy się nie kończy „*Ce long rugissement de la Vie éternelle.*“

Jakim sposobem autor „Kaina“ mógł w publiczności francuskiéj uchodzić za *impassible*—jestto rzecz niepojęta. Nigdy Wiktor Hugo nie doszedł do tak krańcowego, tak monstrualnie logicznego, tak surowo nieugiętego wyrazu oporności. Wiktor Hugo był to człowiek, a człowiek nie jest logiczny, bo mu nieraz serce rozumować nie pozwala. Ale Leconte—to nie człowiek, to szkoła (jak mówi Aicard). Leconte nie walczy ze złem konkretném, jak Wiktor Hugo, ale ze złem metafizyczném i dlatego trudniéj mu miéć wiarę w zwycięstwo. Oto, zdaje się, tajemnica popularności Wiktora Hugo, który tysiącem węzłów spokrewniony jest z tłumem; gdy Leconte de Lisle stoi od tego tłumu, jak najdaléj. Przytém Hugo posiadał to, co nam jest niedostępne: naiwną wiarę w dobroczynność Potęg przyrodzonych i nadprzyrodzonych. Leconte de Lisle jest pesymistą: u niego natura jest złem, człowiek jest złem, Bóg jest złem.

Ale człowiek ma prawo szukać pociechy w swojém cierpieniu. Pociechę tę znajdzie w Miłości—w Pięknie—w Religii.

Jahweh jest okrutny, bogowie są okrutni. Ale dopóki „ród ludzki płakać będzie w czasie i wieczności“, dopóty bogowie nie kłamali.

Wszystkie religie były prawdziwe, bo wszystkie dawały po-

ciechę. Wszystkie miały racyę bytu, ponieważ zaspakajały pewne potrzeby. Wszystkie były rzeczą żywą, ponieważ istniały w czasie i przestrzeni. Wszystkie pomarły, ponieważ taka jest kolej rzeczy ludzkich. Leconte de Lisle bynajmniéj w próżnych bluźnierstwach nie tonie. Wszystkie wiary sądzi on z punktu naukowego i maluje je jako rzeczy żywe i we wszystkich szczegółach godne szacunku.

W *Dies-Irae* żałuje upadku religii. — „Światła wyżyn gasną i znikają. Noc schodzi na ziemię. Słońce Ormuzda zmarło na obłokach. Zmierzch był na popiele bogów.

— „Duch już nie spływa na naród wybrany; nie uświęca już silnych i sprawiedliwych. W wyschniętéj głebie nieruchoméj Azyi słońca bezpłodne palą zmarłe ziarna.

— „Pustelnicy, siedząc w trzcinach nadrzecznych, słuchają spóźnionego szmeru czystéj fali. Płaczcie myśliciele! Wasza mądrość owdowiała: Wisznu już nie zasiada w lazurowym lotosie.

— „Harmonijna Hellada, złotowłosa dziewica, któréj świat rozkochany postawił ołtarze, leży, niema na zawsze, nad brzegiem mórz świętych, na boskich członkach swoich białych bogów.

— „Nie ma już rozpalonego węgla na ustach proroka! Adonaj! wichry głos twój uniosły. A Nazarejczyk blady, z pochyloną głową, po raz ostatni wydaje okrzyk boleści!

Tu więc religie Persów, Żydów, Hindusów, Greków, Chrześcian są równouprawnione i jednako żałowane.

Religia grecka szczególniéj porywała Leconte'a.

W niéj bowiem, oprócz saméj idei Boga, znajduje się jeszcze twórczy pierwiastek piękna, formy, plastyki, t. j. tego, czego brak chrystyanizmowi, który w oczach Leconte de Lisle'a jest poniżeniem cielesnéj natury człowieka. Ta sprzeczność bezforemnéj idei religijnéj semickiéj i plastycznéj idei greckiéj, wywołuje w nim walkę, która przechyla się zawsze na korzyść bogów greckich.

H y p a t y a poddaje Leconte'owi myśl zwycięstwa brzydoty nad estetyką. Mówi on do pięknéj filozofki:

Śpij, o biała ofiaro, w naszych duchów głębi,
W twym całunie dziewiczym, w twych wieńcach z lotosu,
Śpij! Brzydota wieczysta ziemię dzisiaj gnębi,
A myśmy zatracili drogę do Parosu!
Bogowie w proch upadli, ziemia dzisiaj niema!
Żaden głos już nie zabrzmi z nieb twych sfery pustéj,
Śpij, ale harmonijne w wieszcza tchnij poema,
By świętość głosił Piękna natchnionemi usty!

W innym utworze taż sama postać zaprzecza, jakoby bogowie umarli, ale zmienia ich w idee humanitarne, estetyczne, wiecznie żyjące w człowieku.

— „Nie wierz Cyrylu! Bogowie żyją w mém sercu. Nie tacy, jakiemi ty ich widzisz, nie odziani w formy próżne, podlegający w niebie ludzkim namiętnościom. Nie tacy, jak ich tłum uwielbia, ale tacy, jak ich widziały podniosłe dusze—nie mające mieszkania w gwiaździstéj przestrzeni — siły wszechświata, cnoty wewnętrzne, harmonijny układ nieba i ziemi, czarujący myśl i oko i ucho, ideał dostępny mędrcom, który nadaje blask widomy pięknu duszy [1]).

W *Poèmes barbares* [2]) skandynawski kapłan, Runoia, zapowiada w gniewie apostołom nowéj wiary, że panowanie ich nie wieczne, że po dwudziestu wiekach rozczarowane niebieskiemi obietnicami ludy, powrócą znów do bogów pogańskich.

Chant alterné (w *P. antiques*) jest to rozmowa dwóch dziewic, gdzie równowaga obu ideałów—pogaństwa i chrześciaństwa zachowaną jest w momencie statycznym:

I. Jam bogini ateńska w tkaninach przezroczych,
Twój lud mię stworzył dłonią swą. Hellado biała!
Bogów do mych całunków wezwałam uroczych;
Jam w duch śmiertelnych miłość nieśmiertelną wlała.
II. Pokorna, cicha, długą szatą osłonięta,
Ze wschodu idę, z krzyża mistycznemi godły.
Na twych piaskach zrodzonam, Galileo święta,
Pod łzą męczeńską Boga idę, głosząc modły.

I. Upojone me czoło bosko się uśmiecha,
Z ócz mych niepokojące błyskają płomienie.
Roskoszy! moja warga miodem twym oddycha,
A wdzięczne moje ciało złocą twe promienie.
II. Pobożny smutek, w którym życie moje płynie,
Jest jakoby łagodny cień dla serc ranionych,
Gdy duch mknie do Małżonka w nadziemskiéj krainie,
Ja niebiańsko osładzam ciężar dni minionych.

I. Nigdy ciało me żadnym pasem nie owite,
Wolném jest moje łono, biały skarb Parosu!
Weselną jońską nutą śpiéwam Afrodytę
I depcę białą stopą kwiat róż i lotosu.
II. Szczęsny, komu pobożna myśl ma jest weselną!
Szczęsny, co idzie klęknąć przed mój ołtarz święty—
Niebo jest wielką księgą, każdemu czytelną,
Jeżeli tylko kochał, jeśli płakał zgięty.

---

[1]) Hypathie et Cyrille. — [2]) Runoia.

Pogaństwo daje przedewszystkiém pogodę ducha, podczas gdy chrystyanizm jéj pozbawia. Renan objaśnia to w taki sposób, że, jak mówi, duch pogański żyje w skończoności i stąd wypływa jego harmonia i symetrya; duch zaś chrystyanizmu rwie się w nieskończoność i stąd jego rozdwojenie i paradoksalność [1]. Téj utraconéj harmonii i pogody żałuje Leconte de Lisle, témbardziéj, że nowa wiara posiada jeszcze jeden żywioł, który łamie pozostałą w człowieku symetryę. Jestto dogmat, litera katechizmu, teokracya.

Przeciw kapłaństwu walczy autor z równą energią, jak przeciw Jehowie. I nie zawsze umié w tym kierunku miarę zachować. Pomieszczone np. w „Kainie“ dwie czy trzy strofy przeciw księżom wydają się nam niestosownemi. Łatwo bowiem widzieć dysproporcyą między ogromem sprawy, jaką toczy „Kain“, a maleństwem antyklerykalizmu. W ogóle zdaje się nam, że Leconte de Lisle zbyt wiele sił zużył na tę walkę, którą przytém prowadził w sposób wcale nie głęboki, jak pierwszy lepszy dziennikarz (*Siècles maudits*, *Holocauste*, *Acte de charité*).

Protestem przeciw literze katechizmu jest wizya apokaliptyczna p. t. *Bête écarlate*.

Człowiek, nocą, pomiędzy żwiry i pokrzywy
Dumał i pod czarnemi rozmyślał oliwy,
Obok głazów Kidronu, nad ryb pełnym stawem
Siloa. — A na błoniu od sęków chropawém
Jedenastu głębokim snem odpoczywało.
A wicher puszczy ryczał swą pieśń rozszalałą,
Żałobną — i noc całą napełniał swém wyciem.
A Człowiek owinięty wełnianém okryciem,
Bez ruchu stał pod głazem i o zmroku toniach
Zapomniał i rozmyślał, skrywszy oczy w dłoniach.

Owóż duch go uniósł w samotne niebiosa i pokazał mu wieki przyszłe, i Człowiek poznał, że narodziły się dni jego marzeń. I naprzód widział, jak jedni za drugiemi ginęli krzyżowani, w męczarniach i jękach, rzymscy niewolnicy. A potém krzyż zatryumfował i oto, po chwili krótkiéj zjawiła się olbrzymia, apokaliptyczna bestya szkarłatna: „o tysiącu głowach, i która na morza i lądy rozlewała arsenał potworny swych żelaznych szponów.“ I z paszczy téj bestyi wychodzili mężowie niezliczeni, a każdy z pastorałem, z infułą, z krzyżem w ręku, a jéj imieniem na ustach.

A mężowie szli w tłumy — porywali ludzi, rzucali ich w turmy, prowadzili na stosy, łamali im członki, wieszali ich żywych, dręczyli

[1]) Renan, „Etudes d'histoire réligieuse.“

i torturowali. A winą ludzi tych było, że odważyli się myślėć i wątpić. Jęki i lament napełniały ziemię całą. A cóż było w niebie? I tam były tłumy olbrzymie, co się wiły w boleściach, skazane na męczarnie wieczyste w czeluściach piekielnych, mężowie i niewiasty ludów dawnych i nowych, starcy i drobne dziatki—cała ludzkość niemal potępiona na wieczność za to, że sakramentu nie znała. A nieliczni wybrańcy, w jasnéj aureoli, z samolubną pogodą ze swych rajskich siedzib spoglądali na nich.

I Człowiek się obudził ze snu, oniemiały,
Siny, drżący i zimnym potem mokry cały
Od rozpaczy i wstrętu na widok tych mroków
Piekła — téj nienawiści — i tych krwi potoków,
I tych wieków boleści — tych ludów spodlonych
I téj bestyi szkarłatnéj — i tych krwi spragnionych
Jéj synów, co potworni szli z jego imieniem —
I téj wieczności tortur. — I człowiek z westchnieniem
Głębokiém, upadając na ziemię bez siły,
Zrozpaczywszy o świecie, zapragnął mogiły.
A właśnie pod murami Syonu sklepienia
Pochodnia Judaszowa zabłysła śród cienia.

Zarówno Jehowa, zło najwyższe, jak i litera dogmatu, mają w nim wroga nieprzejednanego. Znać nieraz, że chciałby, aby to, co było powiedziane, nie było złudzeniem. Z żalem odzywa się do Chrystusa:

— Nie, Ty nie byłeś ani chlebem niebieskim, ani wodą żywą! Niezręczny pasterzu, oto jarzmo twe zdjęte. W naszych sercach wyczerpanych—Bóg znów stał się człowiekiem, a człowiek został zapomniany! Trupie od dwudziestu wieków wiszący nad nami, czas powrócić do twéj opróżnionéj mogiły! Twój smutek i twoja krew mroczą nasze uroczystości! Zmężniała ludzkość, jest już płaczem znużona!

Ale ma téż Leconte de Lisle dla Chrystusa obrazy [1]), których autorem mógłby być angielski *primitif* Rosseti, lub neapolitańczyk Giacomo.

Postaci złotowłosa, ciszą osłonięta,
Błądząca w nimbie ognia ponad jezior wody.
Chwała Ci! Ludzkość trumnę twą czci i pamięta,
Żeś ty jéj Bóg ostatni, Esseńczyku młody!

---

[1]) W pierwszém wydaniu poezyi Leconte de Lisle'a (*Poèmes et poésies*) znajduje się obszerny poemat „Passion" — życie Chrystusa w duchu czysto katolickim. Rzecz ta w późniejszych wydaniach została opuszczona.

Albo w innem miejscu:

Bo ty siedzisz na równych tobie ojców łonie,
Złotowłosy, w niebiańskiej lazurowej zorzy,
A dusze jak gołębi rój, w mistycznem gronie,
Lecą pić świeżą rosę z twojej wargi bożej.

Do ascetów zaś mówi:

Chwała wam, zrozpaczeni kochankowie nieba!

III.

W „Legendzie wieków“ Wiktor Hugo przedstawia kolejny rozwój idei sprawiedliwości, w której tryumf wierzy. Francya pewnego dnia zawołała: „Wolność! Wolność — to dusza, to nieśmiertelność.“ I odtąd kiedy mi Niemiec się modli: „Witaj mi, nicestwo“! i kiedy mi Anglik mówi: „Bóg cię stworzył człowiekiem, a ja cię robię małpą“; „wątpię — powiada Hugo — o ich mądrości i wpadam w marzenie“ (*France et Ame*). Jest w legendzie poświęcenie kobiety, „gliny idealnej“; są prorocy, którzy zapowiadają odzyskanie raju; są królowie, pomazańcy Boga; są błędni rycerze, którzy bronią słabych i uciśnionych; są tłumy pokrwawione, które walczą o wolność; są biédni, którym pomoc nadpływa z niebios; są dzieci, które szczebiocą, jak ptaszki o świecie; jest trąba sądu ostatecznego; jest „święta zagadka, dyament rodzący się z węgla.“

Nic podobnego nie znajdziesz u Leconte de Lisle'a. Jest w *Poèmes barbares* dłuższy utwór *Corbeau*, gdzie kruk tysiącletni, duch będący mieszaniną Kaina, Hioba i Buddy w pesymistyczny sposób opowiada staremu mnichowi dzieje ludzkości. I, jak mówi Lemaître: *Poèmes barbares c'est l'histoire parcourue à vol de corbeau.*

O ile w *Poèmes antiques* panuje nieruchomość, o tyle w *Poèmes barbares* widzimy ruch gwałtowny, galop, rzezie, zabójstwa. Słusznie też autor nazwał ten tom barbarzyńskim; nasycił w nim on w całości swe barbarzyńskie popędy.

Mimo gorącego pragnienia sprawiedliwości („Kain“), nie ma on wiary w jéj ziszczenie. Owszem, bohatérowie jego w swém okrucieństwie kierują się zazwyczaj jakąś zasadą metafizyczną: najczęściej występują w obronie pogwałconéj ortodoksyi.

Oto winnica Nabota, którą odbiera mu sąsiad jego Achab, oskarżywszy go przez żonę swą Jezabel o odszczepieństwo, za co zostaje zabity (*La Vigne de Naboth*). Później ukazuje nam autor Egipt, Syryę, Persyę również w barwach rozlewu krwi i śmierci. Idą następ-

nie „Wieki średnie“, którym autor przekleństwo rzuca (*Siècles maudits*). Norny opowiadają swą pesymistyczną legendę: pierwiastkowe zwycięstwo dobrych Azów nad potęgami zła, narodziny Baldera i ostateczne zwycięstwo zła nad dobrem (*La légende des Nornes*). Bard Temrah zabija się, widząc upadające w obec nowéj wiary, swe bogi. Angantyr—śmiertelnie ranny, córce swéj Hervor miecz oddaje, aby go pomściła. Hialmar na polu bitwy ranny, wzywa kruka, aby jego serce wyrwane zaniósł kochance do Upsali, „gdzie rycerze piją jasne piwo.“ Brunhilda zabija Sygurda za to, że ten nie ją kochał, ale Gudrunę. Graf de Kemper ścina głowę swéj żonie za to, że go zdradziła. Na ziemi Cymbrów orężni apostołowie nowéj wiary mordują pogan, wiernych swoim bogom. Pobożna dama, która w czasie głodu karmiła nędzarzy, nie mając już dla nich chleba, chce im drogę do niebios otworzyć i podpala las, w którym czekają jéj jałmużny (*Acte de charité*). Heretycy płoną na stosach (*Holocauste*), Hildebrand, papież, każe boso i półnago stać na zimnie i słocie cesarzowi Niemiec (*Les deux glaives*). Mahomet Almanzor pławi się we krwi niewiernych; Muza-al-Kebyr giaurów morduje; Mavromikhalis wznosi stosy szkieletów tureckich. Don Pedro aragoński przez powiernika zabija żonę swą, ośmnastoletnią Blankę francuską. Tenże don Pedro zabija brata swego, don Fadrigue'a, i, gdy ucztuje z kochanką, pies zabitego głowę swego pana rzuca mu na talerz. Don Ruy Diaz de Vivar zabija w gniewie don Iniga. Tenże don Ruy Diaz de Vivar zabija jednego z wrogów swéj rodziny i głowę jego na półmisku ojcu przedstawia.

Jednem słowem, bohaterowie Leconte de Lisle'a nie czynią nic więcéj, tylko mordują się nawzajem, a jeżeli zamknięci w klasztorach nie mordują się, to opisują zabójstwa, jak Kruk, co opowiada mnichowi dzieje świata, lub don Guy, który w swych *Parabolach* opisuje siedm grzechów głównych i ich przedstawicieli z X w.—papieży, królów, rycerzy, zakonników, mniszki, czerń i mieszczaństwo.

Ludzie ci są ślepi w okrucieństwie, jak żywioły. Zdaje się, że mają tylko krew, mięso i kości, a nie mają wcale nerwów; każde ich postanowienie jest proste, naturalne i niezłomnie idzie do celu: wewnętrzne głosy nic im nie mówią. Są to posągi kamienne lub spiżowe, obdarzone ruchem, których władze umysłowe redukują się do tego, żeby swe pragnienia, w czystéj myśli zrodzone, bezpośrednio w formy cielesne przyodziać: tu metafizyczny kierunek umysłu autora wprost przeléwa się w plastykę. Żaden promień nie pada na te karty ponure. Idea wiecznego oporu ciała przeciw głodowi, rozumu przeciw „Niewiadoméj“, uczucia przeciw niesprawiedliwości, występuje

w formie bardzo ogólnéj (Kain—Chiron—Niobe—Kruk); idea wolności nigdy nie staje się konkretną; on protestuje tylko przeciw teologicznéj zasadzie myślenia. Walczy z ortodoksyą, z egzaltacyą ascetów, z poniżeniem cielesnéj strony człowieka, z egoizmem kapłaństwa, z niewolniczą wiarą. Raz tylko jeden (w *Le Soir d'une Bataille*) i zdaje się dla okrasy wyłącznie, wspomina [1]) wolność.

W utworze *A l'Italie* wzywa on Włochów, aby się uwolnili od jarzma papieskiego, ale nie w imieniu jakiéjś zasady nowożytnéj, tylko dla wskrzeszenia bogów rzymskich.

Sacre de Paris jest jedyną jego pracą, gdzie stoi na gruncie współczesnym. Jestto wspaniały, choć nieco retoryczny, hymn do Paryża z czasów wojny 1870 r.

Ville auguste, cerveau du monde, orgueil de l'homme.
Ruche immortelle des esprits.
Phare, allumé dans l'ombre, où sont Athènes et Rome.
Astre des nations. Paris!

woła z uwielbieniem poeta, wzywając Paryż do obrony przeciw barbarzyńcom.

Historyczne temata mają tę niedogodność, że zaledwie jesteśmy w stanie wejść w logikę innych ras i epok, i tę jeszcze, że nowsze badania mogą w zewnętrznéj dekoracyi znaleść luki i błędy i rzecz historyczną zmienić na niehistoryczną; że pod względem szczegółów wiedza dokładniejsza może przewyższyć dawniejszych autorów. Tak Jean Lahor i Lacaussade malują Indye lepiéj od Leconte'a; Lafenestre i Anatole France odtwarzają Grecyę prawdziwszą; Belgowie, jak Giraud i Verhaeren lub Anglicy, jak Swinburne i Rosseti, dają nam wieki średnie dokładniejsze. Po za tém jednak przedmiot historyczny może być zupełnie stosowny do wyrażania myśli nowożytnych, i Leconte mimo pozornego pogrążenia w przeszłości — pozostaje wszędzie współczesnym. Dlaczego autor od swoich czasów w ubiegłe ucieka, objaśnia nam to poniekąd sonet *Aux modernes:*

Wy żyjecie nikczemnie — bez celu — bez marzeń.
Starsi, bardziéj spróchniali od ziemi bezpłodnéj,
Skastrowani w kołysce przez ten wiek wyrodny
Od wszelkich pragnień silnych i głębokich wrażeń.
Próżnia jest w waszych mózgów, jak i serc istocie,
I skalaliście świat ten nędzą stuwiekowy
Jadem tchnień tak zepsutych i krwi tak niezdrowéj,
Że tylko śmierć się lęże w tém ohydném błocie.

[1]) Także w mocno retorycznym Talion.

Jest to może sąd zbyt surowy. Niektórzy ze współczesnych szukają lekarstwa na kastracyę. Przytém autor własnych ideałów nam nie przedstawia, a to, co w historyi człowieka znalazł, może tylko wzbudzić w nas: „*La honte de penser et l'horreur d'être homme*“

Nie lepsze są zwierzęta. Natura w swém okrucieństwie jest również ślepa, jak człowiek. Jedyną jéj zasadą jest mnożyć swe istoty, pozostawiając im samym troskę o istnienie. To téż autor maluje nam same sceny gonitw za łupem, żądzy krwi i wzajemnych pożerań się. Rzadko kiedy koliber szmaragdami swych piór miga w powietrzu; albo kondor powoli szybuje w obłokach, unosząc się nad Kordyliery, „kędy wiatr nie sięga, w dal od czarnego globu, po nad gwiazdę żyjącą i usypia w zamrożonym eterze z szeroko otwartemi skrzydły“, lub albatros „władca obłoków“ w czasie burzy.

Tranquille au milieu de l'epouvantement
Vient, passe et disparaît majestueusement!

Zazwyczaj staje przed nami pantera „królowa Jawy, czarna myśliwa“, chytra, głodna krwi młodéj gazeli i czyha na nią z nerwowo wytężonėm okiem. Albo jaguar centkowany, nieruchomy leży za krzakiem i nagle, skokiem szalonym, rzuca się na kark nierozważnėj antylopy.

Albo orzeł z wyżyny chmur błyskawicznėm okiem dostrzega owcę, na którą spada jak wicher: dzieci jego nie umrą dziś z głodu. Lub boa-dusiciel nieruchomą linią spiralną obwinął palmę wysoką i czatuje, aby nagłym rzutem swych piersi otoczyć gazelę lub antylopę, którą ujrzał zdaleka.

Albo znowu widzimy zwierzęta smutne, zamyślone, rozpaczające.

Czasami słoń myśliciel, król lasów dziewiczych,
Przechodzi i na ścieżkach znika tajemniczych,
Posiwiały współcześnik plemion zaginionych
Z melancholią wspomina o wiekach minionych.

Albo pies się zjawia wyjący żałośnie o północy — przedstawiciel rozpaczy istot na byt skazanych.

Gdy się błąka po niebie księżyc mgławo jasny,
Jakaż boleść nad brzegiem czarnych fal zwierciadła,
Każe rozpaczać duszy w waszéj formie strasznéj,
Dlaczegóż tak jęczycie, ponure widziadła?

A czasami całe gromady bestyi ryczą, wyją i rozpaczają:

Orły i lwy drapieżne, psy i gadzin mrowie,
Głodne sępy, niedźwiedzie, wilki i wilczyce,

I behemoty grube, jako twierdz wieżyce
Biegły i przeklinały w swéj ryczącéj mowie,
Enochu, twą ponurą i straszną stolicę!

Autor z zamiłowaniem opisuje olbrzymie postaci świata zwierzęcego; ich potężne muskuły, ich mięsiste wargi, ich wielkie bary, ich ruchome ogony, ich ostre pazury, ich czerwone ozory, ich dymiące mordy, ich wycia straszliwe i bolesne, ich skoki zwinne i gwałtowne, ich nieruchomość senną i leniwą. Żyje ich uczuciami i przenika się ich duchem. Oto wilk, król Harzu, stoi, o północy, pod cieniem świerków i jodeł, i duma smętnie i krwawo: człowiek mu zamordował jego samicę i drobne szczenięta.

Ozór wywiesił z krwawéj mordy, parą bucha,
Nie liżąc krwi, co w kroplach po brzuchu mu kapie,
I ostry łeb podnosi w górę, mruczy, chrapie,
I nienawiścią kipi w nim drapieżna jucha.
Człowiek, wieczny morderca jego silnych ojców,
Jego królewskiéj suki i szczeniąt mruczących,
Co im sączyła mleko z wymion swych gorących,
Nie ustaje w zabójstwie! Zemsta na zabójców!
I żarem węgla łysnął mu wzrok energiczny
I jeży, niby gwoździe, sztywną sierść—i głuchy
Wydając ryk, przyzywa dawnych wilków duchy,
Co lśnią we mgle księżyca lśniącéj i magicznéj [1],

Myśl zbrodniczości ludzkiéj powraca w formie ogólniejszéj w wierszu p. t. „Las dziewiczy“, do którego autor mówi:

Jako mrówki wędrowną płynące drużyną,
Które depczem i palim, a które wciąż płyną,
Przyniosą tobie fale władcę nowych czasów,
Człowieka bladéj twarzy, niszczyciela lasów!
. . . .
Lecz ty możesz bez żalu śnić, będziesz pomszczony!
W głuszy nocy, gdzie zejść masz zrąbany, spalony,
Czas na popiół twój — rosę krwi i łez przyniesie
I ty wskrześniesz z naszego popiołu, o lesie! [2]).

Tu więc natura odnosi ostateczne zwycięstwo nad jéj deformatorem i dręczycielem. Ale i on jest niewinny. Ta sama natura postanowiła prawo wieczne wzajemnego pożerania się istot. Święty głód pcha stworzenia w mord bezustanny. Człowiek zabija wilka człowiek rąbie las; las unicestwia człowieka, rekin pożéra człowieka. Do rekina woła Leconte:

---

[1]) Incantation du loup. — [2]) La forêt vierge.

Nie, ty niczém się od nas nie różnisz, potworze,
Straszliwszy, okrutniejszy, lub rozpaczniéj party:
Ciesz się — jutro ty pożresz człowieka, a może
Jutro téż przez człowieka zostaniesz pożarty.
Święty głód jest wzajemnych mordów wiecznêm prawem
W głębi mroków i w niebios świetle tajemniczém.
Ale człowiek i rekin, zbójca z łupem krwawym
Są jednako niewinni przed śmierci obliczem [1].

Nie ma wcale autor téj wiary w dobroczynność potęg natury, jaką wyznawali np. Wiktor Hugo i Shelley, dla których zło w naturze niemal nie istniało; błąd, którego ojcem był, zdaje się, Rousseau. Panteizm ostatecznie opiéra się na złudzeniu, podobnie jak każda wiara. Panteizm Leconte de Lisle'a widzi przedewszystkiém zło w naturze, nie usprawiedliwia go, ale je wyjaśnia. Osobnik nie istnieje dla niego, istnieje tylko powszechność; osobnik łączy się z powszechnością, jak stworzenie ze Stwórcą, a stąd o ile szczegóły są u niego jasne i dokładne, o tyle całość olbrzymia, nieforemna i mglista (patrz *Vision de Brahma*). Ale mędrzec nie zwraca uwagi na przemijające formy świata, nie liczy on już znaków na niebie i nie ciekaw jest widzieć przyszłych światów

Wié on bowiem, że Maja, wieczne kłamstwo świata,
Drwi z tego, co na ziemi płacze, chodzi, lata,
I że w tysiącznych formach ta płodna ułuda
Przed czasami wszechbytu wymarzyła cuda [2].

Życie bowiem — jest falą, gdzie wpada ciężkie ciało [3], a mogiła, „to spokojna otchłań, gdzie leży próżnia tego, co było czasem, liczbą i przestrzenią".

Czas — Liczba — i Przestrzeń (Rozciągłość) to ponura Trójca, która jak trzy widma śmiertelne ściga twory istniejące.

Rozciągłość — i Liczba — i Czas
Z czarnego upadły sklepienia
W toń mórz nieruchomą i ciemną.
Całunem milczenia i mroku
Noc wokrąg zaléwa zupełnie.
Rozciągłość — i Liczbę — i Czas
Jak ciężka i niema ruina.
Duch w senną pogrąża się próżnię
W toń mórz nieruchomą i ciemną.
I mrocznie pcha wszystko wraz z sobą
Wspomnienie, marzenie, uczucie.

[1]) Sacra-fames. — [2]) Çunacépa. — [3]) Ibid.

Rozciągłość — i Liczbę — i Czas.
W toń mórz nieruchomą i ciemną [1]).

Wśród tworów jest jeden—człowiek, który myśli, któremu przeto Trójca ta jest źródłem wszelkiego cierpienia, a wyzwolenie od niéj jest wyzwoleniem od cierpień:

Boska Śmierci, gdzie wszyscy zuikniem pogrążeni,
O przyjmij dzieci swoje w twe gwiaździste łono.
Uwolnij nas od Czasu — Liczby — i Przestrzeni
I zwróć ciszę przez życie groźnie naruszoną. (*Dies irae*).

A więc idź do zimnéj mogiły, gdzie człowiek ostatecznie się chroni i tam, bez żadnéj troski o niebo i ziemię, odpocznij, nieszczęśliwy, na wieczność (*Requies*).

Śmierć bowiem powszechna podobną jest do morskiéj toni, spokojna, albo gniewna, nigdy nieustająca, wydyma się, huczy i wyje i płynie od brzegu do brzegu, przez skały olbrzymie, rankiem i wieczorem. Cnoto, myśli, cierpienie, zgryzoto, nadziejo, miłości, która wszechświat obiegałaś skrzydłem, i cóż się z wami stało? Co się stało z duszą? Co się stało z milczącym umysłem umarłych? Śmierć nas oczekuje, śmierć oczekuje wszystko: wszystko sném jest marnym. Ale śmierć i od tego snu wyzwala. Jeżeli próżne szczęście ziemskie jest znikomém, jeżeli dzień cierpienia jest wiekiem bez końca, to, skoro stopa nasza wstąpiła w otchłanie, cierpienie i szczęście staje się marą mary.

Tu następuje szereg utworów, jak: *Fiat nox*, *Dies Irae*, *Solvet seclum*, *Aux morts*, *le voeu suprême*, *L'illusion suprême*, *Anathème*, *La dernière vision*, *Le dernièr souvenir*, *Mort d'un lion* i wiele innych, które są jednym hymnem do śmierci. I odczuwa autor z rozkoszą, jak „z godziny na godzinę, z roku na rok wpływa w świat niemy, czarny, nieruchomy“. Nietylko on, cały ród ludzki zginie: *Tu te taîras*, *o voix sinistre des vivants!* woła do ostatnich potomków człowieka (*Solvet Seclum*).

Oto znów Kain z grobu powstaje i znów wzywa Jehowę, mówiąc mu, że skończyły się czasy (*Fin de l'homme*). Nawet szatan woła ze smutkiem:

„Monotonne dni, jak deszcz straszliwy, zbierają się w méj wieczności, nie zapełniając jéj wcale. Potęga, duma, rozpacz, wszystko jest próżnością i gniéw mi cięży i walka mię nudzi“ — i chce zatracić swą nieśmiertelność (*La tristesse de Diable*). Nawet Chrystus „nie

[1]) Villanelle (pisane pod Równikiem w noc ciemną).

wierząc, że jest bogiem i zgrozy pełen, że jest człowiekiem“, zrozpaczywszy o świecie zapragnął mogiły (*Anathème*, *Bête écarlate*).

A tak szli trzéj mędrcy indyjscy ku Bhagavatowi, który ich przyjął w swe łono pełne miłości.

O Bhagavat! Bhagavat! treści istot treści,
Źródło piękna, w którém się odrodzenie mieści!
Światło, co dajesz żywot i śmierć blaski swemi,
Oni ciebie ujrzeli i stanęli niemi!
Jak od wiatru się chyli trawa śród równiny,
Tak pod twym tchem mistycznym chylą wzrok braminy,
I serce szybkiém biciem piersi im rozsadza,
Jak lew, co kraty łamie, gdy się wyswobadza.
Z tchnienia Boga zrodzona fala ognia żywa
Niewidzialnemi prądy w piersi mędrców wpływa,
Wchodzi w mózg i z śmiałemi ich łączy się duchy,
W przestwór nieskończoności prowadząc je głuchy;
Jak słońce, co wyniosłe miłuje wyżyny,
Tyś się uśmiechnął, widząc te mężne braminy,
I sam ty, dóbr rozdawco, duchu po nad duchy,
Sam, wszechpotężny, zdjąłeś z nich bytu łańcuchy,
I w łonie twém bez granic, w światła oceanie,
Oni trzej się złączyli w jestestw pierwostanie,
W początku ich i końcu, w błędzie i próżności,
W otchłani ich nicestwa i rzeczywistości,
Które na wieki chłonie promieńmi płodnemi,
Niewidzialna nam Maja, stworzycielka ziemi —
Wspomnienie i nadzieja, rozum i marzenie,
Jedyne, i wieczyste i święte złudzenie.

Nirwana, nirwana! oto wrażenie, jakie nam zostaje po przeczytaniu dzieła Leconte de Lisle'a. Jeden okrzyk protestu, długie, kontemplacyjne milczenie wobec zła i gwałtów bytu i długa, stoicka modlitwa do śmierci. Wiecznie skarżył się człowiek na zło bytu. Ale nigdy skargi te nie doszły do siły tak intensywnéj, jak za naszych czasów. Cała poezya XIX w. jest jedną skargą na istnienie. Byron i Heine, Leopardi i Baudelaire—wszyscy jedno tylko mówią: wszystko jest próżnią oprócz cierpienia. Pominąwszy umysł taki jak de Banville'a, który żyje w czarodziejskim pałacu szczęścia, najbardziéj optymistyczni, jak Wiktor Hugo i Shelley—widzą Elizeje w dalekiéj, bardzo dalekiéj przyszłości. U Wiktora Hugo—Bóg, jak u Byrona—szatan, a u Shelleya—człowiek ma być twórcą téj utopii. U Wiktora Hugo dobro ze złem w harmonijną antytezę się układa; u Shelleya dobro ze zła wypływa; u Baudelaire'a zło wynika z dobra. U Leconte de Lisle'a—zło występuje samo, dobra nie ma wcale. Dla czego byt? A jeżeli byt, to dla czego zło? Dla czego głód i walka? Dla czego

wzajemne pożeranie się istot? Dla czego pragnienie bytu? Dla czego złudzenia i rozczarowania? Dla czego tajemnica i niewiadomość?

Byt jest złem, byt jest przemiennem złudzeniem-byt jest zagadką. Byt musi być dobrem — byt musi być ustaloną rzeczywistością—byt powinien być rozwiązaną tajemnicą.

Takiém, w kategorycznéj formie postawioném, zdaje się być hasło współczesnego człowieka. Podkładem jego jest krańcowe napięcie pragnienia dobra i zniecierpliwienie bezowocném jego wyczekiwaniem.

Wiemy, że zło istnieje, że istnieje ono od początku czasów; żeśmy mieli setne, a coraz w sile swéj rosnące iluzye, co do jego zniweczenia i co zatém idzie, mieliśmy rozczarowania. Wiemy, że otacza nas tajemnica, że od stu wieków pragniem ją rozwiązać, że zaledwie rąbek jéj odkryliśmy: więc im większą widzimy noc przed sobą, tém czerwieńszą chcemy zapalić pochodnię. Wierzyliśmy, że usuniemy zło i że rozwiążemy zagadkę. A oto zło się odradza, a Sfinks zmartwychwstaje.

Więc wołamy: dość cierpień! Zmężniała ludzkość, płakać już nie chce! Cierpliwość—to dobre dla bydła, lecz nie dla ptaków drapieżnych (Byron). Serca ludzkie są czasem, tak jako ule zbyt wielkie; pszczołom w nich za przestrono, stają się gniazdem jaszczurek (Mickiewicz). Jaszczurką dzisiejszych serc ludzkich, co cierpieniem wyolbrzymiały w owém pragnieniu dobra, jest pesymizm.

Pesymizm jest to tylko rozpaczliwe pragnienie dobra. Jest on o tyle twórczy i płodny o ile nią być może negacya, zniszczenie, mogiła. Drogi jego są czarne, jego źródłem jest rozczarowanie, jego siłą jest rozpacz.

Rozczarowanie teologiczne staje się w nim kultem szatana, miłość człowieka—żądzą rozlewu krwi i zniszczenia, pragnienie życia—modłą do grobu.

Po co życie, jeżeli umrzéć musimy? A jeżeli umrzéć musimy, to czemu nie zaraz? W ten sposób bojaźń mogiły sprowadza pożądanie mogiły, a hasło: *Memento vivere* jest może stokroć pesymistyczniejszém niż *Memento mori*.

Śmierć jest więc dobrém, ale myśl o niéj jest cierpieniem. Śmierć jest więc złém. W myśli o śmierci jest gniew na ślepotę potęg, które nas na ten byt znikomy skazały; jest pobudką do oporu przeciw tym potęgom złośliwym i nieznanym. A opór jestto walka, a walka — to życie. I w ten sposób pragnienie mogiły prowadzi do pragnienia życia.

Nadto zaś opór ten napełnia nas dumą, podnosi naszą godność, staje się nam rozkoszą. Z rozkoszą myślimy o mogile, o naszéj opor-

ności, o naszém cierpieniu. Kain pragnie śmierci, ale chce i w mogile jeszcze odczuwać agonię świata.

Fakir opinający się gwoździami wpada ostatecznie w mistyczną miłość owéj tortury. Ci którzy głód znoszą, mają chwile, kiedy suchość ich gardła i próżnia żołądka sprawia im wrażenie dziwnéj słodyczy. W cierpieniu jest pewna rozkosz; przyzwyczajamy się doń tak, że gdyby nam je odebrano, czulibyśmy brak jego dotkliwie. Tumulijczyk oddycha powietrzem malaryczném, jakby zupełnie czystém. Wszyscy jesteśmy potrochu i jak więzień Chillonu: przykro nam więzienie opuścić. Takie, zdaje się, powody kierują tymi, którzy pragną śmierci, myślą o niéj bezustannie i pozostają przy życiu: do ich grona należy Leconte de Lisle.

Miał on jednak, mimo swéj pozornéj niewiary, wiarę, a bóstwem jego była — Sztuka.

Jeżeli treść zewnętrzna bytu jest nam nieznaną, a o ile znaną, jest ohydną, to jéj zewnętrzna forma jest piękną — i zniechęcony do działania umysł może się karmić kontemplacyą widoku natury. Natura jest niema i ślepa, a sztuka jest wymowna i jasnowidząca. Natura jest bezwiedzą, a sztuka świadomością. Natura i sztuka, stoją jako dwie przeciwniczki. Sztuka—to człowiek, który zwycięża ślepe moce natury; sztuka powstaje z natury, jak dyament z węgla.

Kultura — jak powiada ktoś — jest n a t u r ą człowieka, a jako taka jest ślepa i bezlitosna. Ale o ile człowiek naturę poskromi i uczyni ją sobie podległą, o ile jego kultura stanie się jego s z t u k ą, o tyle będzie ona jasnowidząca i pełna miłości. Wtedy, jak mówi Kain, nastąpi dzień radosny.

I dzień ten będzie mego zwycięstwa zwiastunem.
I w dzień ten w odzyskanym, wyśnionym Edenie,
Słońce ujrzy w mém sercu Abla odrodzenie...

Bo z czémże, w gruncie rzeczy, walczy Kain, jeżeli nie z nieświadomością natury, w imieniu samowiednego pragnienia celowego postępu człowieka?

Sztuka więc jest dla autora — jeśli tak wyrazić się można, baryerą, która go powstrzymuje od rzucenia się w przepaść. A jeżeli w jego dziele przeważa nuta mogilna — to dla tego, że widzi on zawsze człowieka w stanie natury, że człowiek staje przed nim, jako wieczny ludożerca; że przeto gardzi nim i nie wierzy weń. Dla wybrańców zatém tylko śmierć jest ucieczką. Sonet do umarłego poety najlepiéj pod tym względem charakteryzuje i streszcza ducha tego pisarza.

Ty, coś błądzącém okiem szukał wciąż słonecznych
Świateł, barw nieśmiertelnych i czystych konturów,
I żywych ciał o blasku promiennym lazurów,
Śpij cichy, w mrokach nocy pogrążony wiecznych.
Widzieć — czuć — i rozumieć? Wiatr—pył—dym—czcze mary!
Kochać? Jad leży na dnie złotéj czary w winie.
Jako Bóg, co znudzony porzuca świątynię,
Idź i rozléj Swą istność w wszechświatów bezmiary.
Czy nad twym niemym grobem i kością spróchniałą
Ktoś łzę uroni zimną, czy jéj nie uroni,
Czy twój wiek cię zapomni, czy uwieńczy chwałą,
Ja zazdroszczę ci w trumnie twych zamkniętych powiek,
Że swobodny od życia straszliwéj agonii,
Nie znasz hańby myślenia i zgrozy, żeś człowiek.

Jeszcze na jeden punkt zwrócić musimy uwagę. Autor sam jest nieobecny w swém dziele: nigdzie nie daje on czytelnikowi spowiedzi swego serca i ran swych nikomu nie pokazuje. Miłość występuje u niego czasami osnuta mgłą wspomnienia, jużto w krainach podzwrotnikowych (*Le parfum imperissable*, *Les roses d'Ispahan*, *Sous l'épais sycomore*), już to znowu w śnieżnéj Norwegii (*Epiphanie*); najczęściéj jednak jest ona czystą dekoracyą. I jakkolwiek w swych *Poèmes tragiques* jest on otwartszy, to jednak nigdzie w otwartości nie idzie tak daleko, jak Byron, ani nawet jak Baudelaire.

Choćbym w nieméj méj dumie, w méj trumnie bez sławy,
Miał na wieki utonąć, o tłumie ciekawy,
Nie chcę, byś ty kupował mą radość i smutek:
Nie oddam moich cierpień na twe szydne śmiechy,
Nie zatańczę na bruku dla twojéj uciechy,
Z ciżbą twych komedyantów i twych prostytutek!

Leconte zbyt gardzi człowiekiem, aby go uważał za godnego swéj spowiedzi, staje się więc nieosobowym i, jak to się dzieje zazwyczaj — układa z tego odpowiednią teoryę. W przedmowie do jednego z pierwszych wydań swych utworów, powołuje się na nieosobowość Indyan i Greków, twierdząc przytém (mowa w Akademii), że od czasów Dantego, poezya, opuściwszy drogę nieosobowości, zeszła na manowce, że jedynym ratunkiem jest powrót do tradycyi Greków. Jestto oczywiście paradoks, zależy bowiem wprost od temperamentu autora wybór przedmiotów osobistych lub nieosobistych. Kierownikiem zaś nieosobowości w utworach może być zarówno obojętność (Leconte de Lisle), jak analityczne rozdwojenie ducha (Baudelaire), jak wreszcie sympatya (Shelley). Żadnego prawa postawić tu nie można. Tak czy inaczéj, jednak Leconte de Lisle

napisał dzieło, w którém jest wszystko, prócz niego samego. I Jean Aicard, wspominając o tém, powiada:

— O, dumny człowieku! idziesz w nieśmiertelność bez własnéj duszy.“ Poczém mówi: „Leconte de Lisle — to nie człowiek, to szkoła.“

Rzeczywiście, — jakiekolwiek braki wywołuje specyalizacya, w danym kierunku doskonali ona przedmiot lub istotę wyspecyalizowaną. Leconte de Lisle wyspecyalizował się, jak większość współczesnych: człowiek w nim znika, zapatrzony w swoją marę, którą nazywa Sztuką, Pięknem, jéj całą swą energię poświęca.

Całą swą buntowniczość, swe barbarzyństwo, swą nieruchomość, swój pesymizm wlał on w słowo. W jego słowie człowiek nie ma duszy; jest on tylko marmurem albo gliną, którą artysta dłutem swém urabia. Ale za to Leconte de Lisle jest mistrzem słowa, zarówno pod względem formy, jak treści, i energia jego jest w tym kierunku zdumiewająca. Emil Michelet powiada o nim: wielu poetów ma w sobie pierwiastki płci obojéj, on jest tylko męski.

I na tém polega jego potęga. Podstawą téj potęgi jest równowaga ducha, do jakiéj żaden ze współczesnych poetów, zdaje się, nie doszedł. Bourget z tego powodu mówi: u Leconte de Lisle'a refleksya i natchnienie znajdują się tak harmonijnie połączone, że w naszych czasach, kiedy chorujemy na refleksyę, można Leconte de Lisle'a za największego poetę uważać.

Zdaje się jednak, że przyznawszy nawet Leconte'owi to pierwszeństwo, gdybyśmy zbadali źródło téj równowagi, znaleźlibyśmy je w stosunkowéj prostocie jego umysłu, który da się sprowadzić do kilku pierwiastków, bardzo niezłożonych.

Widzimy w nim bezustannie przeskoki ze stanu gwałtownego ruchu w bezwładność i naodwrót. Widzimy w nim wycie i milczenie, zniecierpliwienie i zobojętnienie; Brahmę, który jest Wszystkiém i Nirwanę, która jest niczém; nadmiar życia i pragnienie mogiły; barbarzyńskie, gwałtowne krwi rozlewy i nieruchomość fakirów i posągów; dzikie zwierzęta i kamienie; czyste mięso i czystą myśl; plastykę i metafizykę, a wszystko to da się sprowadzić do dwóch wizyi mechanicznych: ruchu galopowego w linii prostéj i nieruchomości. Lecz galop prędko męczy Leconte'a: w większości dzieła swego pozostaje on nieruchomy, zdaje się, że wyraża on unieruchomienie ruchu. Porównałbym go do agawy, która raz w życiu z hukiem rozkwita, a potém zostaje zawsze piękna, zawsze wspaniała, ale milcząca i bez kwiatu. Kwiatem Leconte'a jest „Kain“, gromki okrzyk boleści w niebo rzucony. Reszta utworów są to tylko piękne, zielone, soczy-

ste i mięsiste liście agawy. Ta nieruchomość jest źródłem jego nieosobowości, jego *impassibilité*, jego konsekwencyi, równowagi, jaka panuje w nim między refleksyą a natchnieniem.

Walka tych dwóch żywiołów trwała z daleko większą siłą w Baudelairze, z którym Leconte dzieli pewne cechy wspólne. Obaj wystąpili z utworami późno, jako ludzie już dojrzali, sformowani i doświadczeni [1]). Obu zajmowała przedewszystkiém sprawa sztuki, sprawa najtreściwszego wyrażenia rzeczy; obaj byli pesymistami. Ale pesymizm Baudelaire'owski jest bardziéj złożony; Baudelaire w swoją myśl i w swoją formę wlał całą swą newrozę, analizę melancholiczną, psychologię subtelną i chorobliwą; Leconte de Lisle pozostaje zawsze w dziedzinie czystéj myśli, myśli logicznéj, oderwanéj zupełnie od swéj indywidualności.

Jego geniusz plastyczny, jego poczucie ciała — nadało jego poematom formę doskonałą i jakkolwiek życie w nich jest tylko mechaniczne—żywą. Mało może znajdzie on takich, co go pokochają; ale wielu, którzy go będą podziwiali i uwielbiali.

A. Lange.



---

[1]) Baudelaire ur. w r. 1820 wydał swe dzielo w r. 1857; Leconte ur. w r. 1818, koło 1858 r. również wyszly jego pierwsze poezye.



TENDENCYE POLITYKI HANDLOWEJ
Ks. BISMARCKA
WOBEC ROSSYI.

Każda rozprawa, roztrząsająca politykę handlową pewnego kraju, daje dogodną i ponętną sposobność do zapuszczania się w dziedzinę ogólnych teoryi ekonomicznych, o wolnéj wymianie i polityce protekcyjnéj. Wypisujemy ogólnik ten na czele, ażeby uprzedzić czytelnika, że my tym torem nie pójdziemy. Nie kusząc się o rozświetlenie i ocenę zagadnień i zapatrywań spornych, poruszających umysły najpoważniejszych uczonych, zakreślimy sobie skromniejsze zadanie i przedstawimy tendencye polityki handlowo-ekonomicznéj ks. Bismarcka wobec Rosyi, tak jak się uwydatniają na podstawie rozmaitych przystępnych nam materyałów i urzędowych aktów.

I.

Mimo rozległego a przytém ścisłego na sprawy publiczne poglądu, brakło byłemu kanclerzowi rzeszy niemieckiéj w początkach urzędowania, w chwili, gdy zajął we wrześniu 1862 r. najwyższe w Prusach stanowisko, jasno wytkniętego programu polityki handlowéj. Dopiéro po latach wielu pod wpływem kłopotów około utrzymania równowagi między dochodami państwowemi a wydatkami, przybrały poglądy jego ekonomiczne wyraziste kształty.

Inne też zgoła a naglące zadanie zajmowało Bismarcka w pierwszych czasach jego działalności jako prezesa ministeryum pruskiego. Było niém usunięcie dualizmu w rządach pogrzebanego na zawsze w r. 1866 związku niemieckiego, czyli innemi słowy, wypchnięcie

Austryi z Niemiec i ujęcie hegemonii nad pomniejszemi państewkami niemieckiemi przez Prusy. Wszystko, cokolwiek Bismarck przedsiębrał, zmierzało do urzeczywistnienia owego wybitnie politycznego programu. Nawet w tych wypadkach, gdzie mu przyszło wypowiedzieć zdanie swe w sprawach natury ekonomicznéj, nigdy z oka nie spuszczał względów politycznych, usiłując mu nadać rozstrzygającą wagę. Jako przykład przytoczymy memoryał z 25 grudnia 1862 roku, spisany przez Bismarcka, przedewszystkiém dla ówczesnego króla a późniejszego cesarza Wilhelma, który po śmierci swojego brata, Fryderyka Wilhelm IV, rządy kraju sprawował. Pismo zatytułowane: „*Promemoria* o względach przemawiających za zobowiązaniem się Prus podług życzenia wyrażonego przez rząd francuski, do ścisłego przestrzegania traktatu handlowego z 2 sierpnia 1862 r.“ rozbiéra pytanie, czy Prusy, stanowiąc tylko część związku celnego niemieckiego (*Deutscher Zollverein*) mają samodzielnie, bez oglądania się na inne państwa związkowe, przystąpić do wykonania ugody, zawartéj z Francyą [1]). W związku celnym niemieckim panowały bowiem przy układach zasady *liberum veto*, wyzyskiwane przez Austryą w celu szachowania wzmagającéj się potęgi Prus. Wobec tego radzi Bismarck królowi uchwycić dłoń podaną przez Francyą do handlowego na razie aliansu, bez względu na unią celną, gdyż taki samodzielny krok przyczyni się do politycznego podniesienia Prus. Jeżeli Prusy, pisze Bismarck, od czasów Fryderyka Wilhelma I (1713—1740) aż do r. 1815 niezaprzeczenie więcéj miały wpływu na bieg europejskich wypadków, aniżeli obecnie (t. j. 1862 r.), to nie mogę objawu tego przypisać wyłącznie osobistemu znaczeniu Fryderyka Wielkiego, lecz przeważnie téj okoliczności, że skrępowane traktatami związkowemi, nie mają swobody akcyi i siłę swą straciły wchodząc w zakres polityki, kierowanéj przez Austryą i innych swoich przeciwników.

Na inném miejscu memeryału wypowiada Bismarck przekonanie, że dotychczasowe stosunki ze związkiem niemieckim nie były dla Prus „źródłem wzmocnienia, lecz sparaliżowania sił“. Jakkolwiek wywody Bismarcka w tym wypadku bez praktycznego pozostały wyniku, albowiem wśród długich rokowań dyplomatycznych z czasem wszystkie państwa związku celnego do francuskiéj ugody handlowéj przystąpiły, to jednak wykazuje ów memoryał, w jakim stopniu u ministra poglądy polityczne przeważały wszelkie inne. Gdy późniéj

[1]) Heinrich von Poschinger. Aktenstücke zur Wirthschaftspolitik des Fürsten Bismarck. 1890, str. 5 i n.

w r. 1879 pewien deputowany opozycyjny, wytykał w parlamencie brak konsekwencyi w polityce handlowéj Prus, wyparł się ks. Bismarck odpowiedzialności i odparł, że nie jego wtedy było zadaniem „trudzić się ugodami handlowemi i wpływ wywierać na ustanawianie ceł“, że skupiając siły swe na polu polityki ścisłéj, użył ugody handlowéj francuskiéj, jako broni przeciwko hegemonii Austryi w Niemczech i jéj antypruskiéj agitacyi, uprawianéj w państewkach unii celnéj.

Czasy, w których Bismarck objął ster władzy, nie były pod względem rozwoju bogactwa krajowego niepomyślne. W teoryi i praktyce ekonomicznéj mężów stanu świeciła wtedy najsilniéj gwiazda Ryszarda Cobdena z Manchesteru; wolna wymiana zdawała się być nienaruszalnym dogmatem. Było to szczęściem dla Bismarcka, że umiał się poddać prądowi i z nim płynąć. Przy uroczystém zamknięciu posiedzeń sejmu, wygłosił 13 października 1862 r. słowa, powołując się na zawartą ugodę handlową z Francyą, że „polityka dążąca do przeprowadzenia wolnéj wymiany jest państwu pruskiemu przez jego interesa i tradycye z góry wytknięta“. Następnie przy innych okolicznościach w podobny przemawiał sposób; a w 1879 r. piękny dał do owych występów komentarz, że dawniéj o sprawach gospodarczych co prawda „rozprawiał“, lecz tendencyi żadnych ekonomicznych urzeczywistnić nie pragnął, bo ich wcale nie miał. Zaufany powiernik księcia żelaznego p. Henryk Poschinger poucza nas (*Fürst Bismarck als Volkswirth*, 1889, str. 25 w uwadze), że ustęp śmiały o wytkniętéj tradycyą polityce wolno-handlowéj Prus, w mowie mianéj przy zamknięciu sejmu, został Bismarckowi wprost nadesłany z ministeryum handlu, dla włączenia go do mowy pożegnalnéj. Bismarck sam przyznawał się z humorem i naiwną szczerością, dozwoloną tak wysoko postawionemu mężowi, jak małym trudem przychodził do owych inkryminowanych przez przeciwników zapatrywań. W poufnéj rozmowie wyjaśnił rzecz anegdotą o Rotszyldzie, którą sobie przypomiał z czasów, gdy był jeszcze posłem pruskim w radzie związkowéj we Frankfurcie. Otóż naczelnik znanego domu bankierskiego pytany był raz o zdanie swe co do handlu skórami rosyjskiemi i poradził sobie w ten sposób, że udał się do odpowiedniego urzędnika, zatrudnionego w swym kantorze i zagadnął go słowami: „Jakie jest m o j e zdanie o skórach rossyjskich?“ Tyle więc pewna, że Bismarcka istotnie poczytywać nie można za przekonanego zwolennika polityki ekonomicznéj Prus w siódmym dziesiątku bieżącego stulecia; brał w niéj bierny jedynie udział, zajmując się głównie sprawami ścisłéj polityki.

Uregulowaniem stosunków handlowych z Rosyą wtedy dopiero się zajął, gdy ją sobie pozyskał na polu czysto polityczném. Ze świe-

żo ukończonego dzieła Henryka Sybla o założeniu państwa niemieckiego, dowiadujemy się, jak dziwnie szczęśliwe dla siebie pociągnienie na szachownicy politycznéj wykonał Bismarck, zawierając w r. 1863 konwencyą graniczną z Rosyą. Była to przysługa ze strony Prus bez większego znaczenia, prawie iluzoryjna. Lecz ogólne usposobienie opinii w Europie, nadało temu platonicznemu objawowi sympatyi Bismarcka dla Rosyi takie znaczenie, że według Sybla i słów ks. kanclerza wygłoszonych przed kilku laty w parlamencie niemieckim, wtedy i tym właśnie krokiem położona została podwalina do obecnéj wielkości Niemiec, która urzeczywistniona być mogła jedynie przy współdziałaniu przychylnego zachowania się Rosyi w czasie starć z Austryą, a zwłaszcza z Francyą.

Po zawarciu konwencyi uważał Bismarck, że nadszedł czas sposobny do zawarcia traktatu handlowego z Rosyą, któryby otworzył szerokie pole zbytu dla wyrobów przemysłu niemieckiego; a to wszystko w myśli potwierdzenia idei wolnéj wymiany w miejsce idei protekcyjnych Kankryna, znamionujących politykę ekonomiczną Rosyi. Z jednéj strony zapewniał kierownik polityki pruskiéj izby handlowe w kraju, że postara się o usunięcie przeszkód dla handlu lądowego z Rosyą, spowodowanych wypadkami 1863 r., a z drugiéj rozpoczął urzędowe układy z Rosyą o zawarcie ugody handlowéj. Ciesząca się względami Bismacka „*Provincial-Correspondenz*“ już w numerze z 22 lipca 1863 r. donosiła o odnośnych układach z Rosyą. Nie dopiął jednak celu przyszły kanclerz. Rozprawiano, targowano i układano się bez żadnego rezultatu praktycznego. W następnym roku podniosła się w kołach kupieckich ożywiona agitacya za zawarciem ugody. Zarazem memoryał, nadeslany rządom niemieckim od stałego wydziału zjazdu handlowego niemieckiego, dał Bismarckowi sposobność ponowienia swych zeszłorocznych usiłowań. W liście pisanym 20 listopada 1864 r. do ministra finansów Bodelschwingh'a i ministra handlu hr. Itzenplitz'a porusza on pytanie, czyby nie było na czasie, przyłączyć do poselstwa pruskiego w Petersburgu odpowiednią osobistość fachowo wykształconą dla badania stosunków ekonomiczno-handlowych Rosyi. Głównem obok tego zadaniem owego wysłannika miało być wpływanie na decydujące sfery w Rosyi, by je usposobić przychylnie do otwarcia granic swych dla produkcyi pruskiéj. W liście tym inne jeszcze ważniejsze stawia Bismarck swym kolegom zagadnienie: ułożenie całkowitego projektu do ugody handlowéj z Rosyą, ale w tym celu, aby przy ewentualnych układach pełnomocnicy niemieccy od razu z całym gotowym materyałem stanąć mogli przed dyplomatami ruskimi. Obawiał się bowiem bezskuteczności układów, gdyby

dopiéro w czasie obrad spisywano i uchwalano jeden paragraf po drugim.

W odpowiedzi na propozycyą Bismarcka oświadczyli ministrowie Itzenplitz i Bodelschwingh, że się co do obu punktów zgadzają. W kwietniu r. 1865 wyznaczono radcę Keller-Holl na rzeczoznawcę ekonomicznego przy poselstwie petersburskiém, a w maju hr. Itzenplitz przedstawił Bismarckowi żądany projekt ugody handlowéj. W opracowaniu tém unikano zasadniczo ustanawiania ceł wartościowych, opartych na ocenie wartości importowanych wyrobów. Ułożono natomiast skalę stopniowo zmniejszających się ceł, która po latach kilku zrównać się miała z wysokością taryfy autonomicznéj Prus. Po dwu tygodniach zwrócił Bismarck ministrowi handlu nadesłany projekt, a zarazem przesłał mu list, w którym również „ze względu na stosunki ruskie“ przeciwko cłom wartościowym się oświadczył.

Przebija się w owéj zniżającéj się skali taryfowéj tendencya wolno-handlowa; oczywiście w tym przypadku byłby Bismarck nietylko biernie, lecz chętnie i z całego serca zapisał się pod sztandar wolno-handlowców, gdyż otwarcie granic Rosyi dla wyrobów niemieckich i pruskich byłoby niepomiernie zbogaciło przemysł niemiecki i handel. Rosya przeciwnie, z powodu nierozwiniętych naówczas środków komunikacyjnych, nie byłaby mogła wyrównać bilansu handlowego na swoją korzyść, gdyż jedynym w tym celu środkiem były rolnicze produkta, stawiające dla wywozu znaczne trudności.

Obok tych tajnych prac przygotowawczych w łonie ministeryum, szły oświadczenia Bismarcka w sejmie, celem przygotowania opinii i wpływania na Rosyą. Słyszymy w izbie pruskiéj 7 kwietnia 1865 r. skargi jego na „błędny“ system protekcyjny w Rosyi i życzenia, aby stan ten się zmienił, a nastały ożywione stosunki handlowe między Rosyą a Niemcami. Do zajmujących przyszło oświadczeń ze strony hr. Bismarcka, przy sposobności interpelacyi postawionéj 25 lutego 1867 r. w sejmie pruskim, z powodu stosunków granicznych na wschodzie monarchii. Mówił wtedy o „niewykonalnym“ układzie z 3 maja 1815 roku, uznającym jedność celną ziem byłéj Rzplitéj polskiéj w granicach z r. 1772, i głosił słuchaczom charakterystyczne, lecz w jego ustach mało zastanawiające zdanie o traktatach międzynarodowych, które mają walor, i takich, które go nie mają. Rosya, według słów Bismarcka wypowiedzianych naówczas, sama szkodzi finansom swym, wspierając systemem protekcyjnym pośrednio i mimo woli przemytnictwo, które według jego obliczeń ujmę roczną dla skarbu na 30 do 40 milionów rubli sprawiać miało. Wyraził téż nadzieję, że pozyskać zdoła z czasem Rosyę dla polityki wolnéj wymiany i przeko-

na ją „o pożyteczności zasad (*Principien*) swoich a szkodliwości jéj własnych“. Z energią, wzbudzającą niejedną wątpliwość, podniósł Bismarck przy sprawie praktyczno-ekonomicznéj abstrakcyjne hasła, mające chwilowo pokup. Któż obliczyć zdoła jakie perspektywy, nietylko wyłącznie natury ekonomicznéj, otwierały się przed wzrokiem bystrym i daleko sięgającym Bismarcka, u którego względy polityczne nad innemi przeważały, gdy uwagę swą zwrócił na przedsiębiorczość szczepu niemieckiego.

Układy ponawiane często przez Bismarcka, w celu zawarcia ugody handlowéj, do skutku nie doprowadzały. Na wiadomość o rewizyi taryfy celnéj, zamierzonéj przez Rosyą, przesłały Prusy główne swe życzenia (21 września 1867 r.), zastrzegając sobie na późniéj wyrażenie szczegółowych dezyderatów. Następnie w listopadzie 1867 r. zebrała się komisya ruska, a owocem jéj obrad był ukaz z dnia 5 lipca 1868 r. ogłaszający nową taryfę celną.

II.

Inne zupełnie znamię, choćby tylko zewnętrznie rozpatrywane, mają dążenia ekonomiczno-polityczne Bismarcka wobec Rosyi, po zapoczątkowaniu nowéj ekonomicznéj ery ceł ochronnych dla przemysłu i rolnictwa krajowego. Nie spostrzegamy tu znajomego nam prezesa ministeryum pruskiego z przed r. 1870, gdy z ujmującą uprzejmością i względnością dla Rosyi, pragnął wbrew jéj własnéj woli pozyskać ją dla jedynie zbawczych „zasad“ ekonomicznych. „Zasady“ one porzucono między stare nieużyteczne graty, a z jasną świadomością starano się urzeczywistnić myśl obrony energicznéj zagrożonych podstaw gospodarstwa krajowego, i obciążono wysokiemi opłatami napływającą na targi miejscowe produkcyą zagraniczną.

W nerwowe teraz wprawia Bismarcka rozdrażnienie uwaga posła Richtera, że parlament niemiecki, jakkolwiek pragnie zmiany polityki protekcyjnéj ze strony Rosyi, nie zezwoli jednak nigdy na żadne środki represyjne wobec tego państwa. Ks. Bismarck odpowiada na to Richterowi (5 grudnia 1876 r.), że jedynym środkiem skutecznym wobec Rosyi są właśnie cła dokuczliwe— represyjne. Według jego zdania, mogą Niemcy wtedy tylko wpływ jakiś wywrzéć na Rosyę, jeżeli wezmą odwet na dowozie ruskim, wynoszącym około 300 milionów marek, a składającym się głównie ze zboża i drzewa. Skoro się jednak odmawia pozwolenia konstytucyjnego na użycie „ceł wojennych“ (*Kampfzolle*), powinno się, zdaniem Bismarcka, wyrzec wogóle wszelkiéj nadziei zmiany stosunków handlowych, i nie zaprzątać

napróżno parlamentowi i kołom rządowym tyle cennego czasu. W każdym razie, zgodzić się można z Bismarckiem, że wystąpienie posła Richtera pod względem taktycznym nazwać zręcznem nie można, bo wytrąciło rządowi broń, chociaż w istocie tylko fikcyjną, dającą się użyć przy ewentualnych układach ekonomiczno-handlowych.

Nie zapomniał ks. kanclerz w mowie ówczesnéj zaznaczyć dobitnie różnicy między spornemi sprawami politycznemi a ekonomicznemi w stosunkach międzynarodowych. Podniesienie różnicy téj wytłómaczyć sobie trzeba rozwagą dyplomaty, starającego się zawsze i wszędzie wolny zachować sobie odwrót, jak i również zamiarem złagodzenia niedobrego wrażenia, jakieby sprawić mogły w niejednych sferach zalecane przez kanclerza cła „wojenne,“ mające umyślnie dokuczyć przeciwnikowi. Lecz właśnie rozróżnianie podobne warunków politycznych, zmieniających się co chwila, i ekonomicznych, większą względnie się odznaczających ciągłością rozwoju, stało się powodem, że w optymistycznem złudzeniu zdołano sobie utworzyć przypuszczenie, jakoby ks. Bismarck jeszcze przy wygłoszeniu téj mowy stał na stanowisku polityki wolnéj wymiany. Przekonamy się niebawem, że żelazny kanclerz odtąd coraz jaśniéj i wyraźniéj przyznawać się począł do nowych poglądów ekonomicznych.

W tydzień potém przemawiał Bismarck znowu o skuteczności represyjnéj polityki handlowéj w obec Rosyi i zganił postępowanie niebaczne opozycyi parlamentarnéj. Gazeta zaś berlińska „*Post*“, zasilana często moralnie przez otoczenie ks. kanclerza, omawiając w numerze z 7-go grudnia 1876 r. ostatnią mowę Bismarcka, wypowiedziała swoje przekonanie, że Niemcy sposobić się powinny na rozległy system polityki odpornéj w obec ekonomicznéj konkurencyi zagranicy, jeżeli wśród krajów rozwijających się pomyślnie pod systemem ceł protekcyjnych, nie zechcą nadal tworzyć wyzyskiwanéj ze wszystkich stron oazy wolno-handlowéj.

Równocześnie ze zwrotem tym zarysowuje się otwarcie nieprzychylne usposobienie Bismarcka-ekonomisty w obec Rosyi. W mowie, wygłoszonéj 25-go lutego 1878 r. w parlamencie, zaleca książę nałożenie znacznéj opłaty na wszystkie produkta ruskie, wchodzące do Niemiec, bo takim argumentem dotknie się Rosyę o wiele mocniéj, aniżeli utartym materyałem uczonych teoryi ekonomicznych.

Zastanawiając się nad istotną przyczyną rozpoczęcia obrony kraju pod względem ekonomicznym i zwalczania zagranicznéj produkcyi, zapewne nie ocenilibyśmy dość subtelnych pobudek osobistych ks. Bismarcka, gdybyśmy za taką pobudkę uważali przejęcie się głębokie materyalnym upadkiem kraju. Wzgląd ten był ważnym bardzo,

lecz właściwy bodziec do reformy dały kłopoty finansowe rządu. Najpierw odbyły się nad sprawą reformy taryfowéj narady ministeryalne w Heidelbergu od 5 do 8 sierpnia 1878 r., w których uczestniczyły prawie wszystkie rządy rzeszy niemieckiéj. Następnie 28 października rozesłał Bismarck z Friedrichsruh okólnik poufny do pełnomocników pruskich, uwierzytelnionych u poszczególnych dworów i państewek niemieckich, w celu przygotowania materyału do rewizyi taryfy celnéj. Finanse rzeszy na pierwszym tam stoją planie. Dochody z ceł granicznych napełnią skarb niemiecki, nie obciążając — według okólnika—w sposób dotykalny konsumcyi wewnętrznéj. Dla zapobieżenia w danym razie agitacyi pewnych grup zawodowych w kraju, pragnie książę na wszystkie bez wyjątku artykuły dowozowe nałożyć w miarę ich wartości opłaty celne. Podobny system, równą miarą w skutkach swych udzielający się wszystkim zawodom, nie stanowiący żadnego przywileju dla kogokolwiek, postawi w uprawnionym egoizmie narodowym jednolitą całość produkcyi niemieckiéj w nieco lepszéj sytuacyi na targach miejscowych, od współzawodniczącéj produkcyi krajów postronnych. W dalszym téż rozwoju rzeczy, gromadził w koło siebie żelazny książę głosy i hufce stronników pod sztandarem owego „uprawnionego egoizmu narodowego", gdyż dość posiadał znajomości natury ludzkiéj, by uznać, że skargą czułą nad niedomagającemi finansami rzeszy, nie pociągnie za sobą opinii publicznéj w narodzie i parlamencie, nieodzownie mu potrzebnéj dla wykonania zwrotu nowego w polityce ekonomicznéj. W ściśle urzędowych aktach wzgląd ten natomiast przeważa stale. W piśmie wystosowaném 12-go listopada 1878 roku do rady związkowéj, mówi Bismarck, że „finansowe położenie rzeszy, jak i poszczególnych państw związkowych, wymaga powiększenia dochodów państwowych szerszém wyzyskaniem źródeł pozostających do rozporządzenia rzeszy." Na możliwość, że wniosek jego nie będzie przyjęty, był książę przygotowany, a w rozmowie poufnéj odezwał się: „wtedy kanclerzem nie będę, wtedy niechaj zobaczą, jak sobie z deficytem poradzą."

Na szczególną uwagę zasługuje ta okoliczność, że przy pierwszych próbach wybadania sytuacyi, występują na jaw głównie cła na wyroby przemysłu, mniéj zaś na produkty rolnicze. Miara owa różna traktowania interesów i potrzeb rolnictwa i zawodów przemysłowo-fabrycznych, uwydatniła się także w projekcie taryfy celnéj, przedstawionym parlamentowi niemieckiemu 4 kwietnia 1879 r. Podnosić się zaczęły z tego powodu głosy, przypominające Bismarckowi upośledzenie najważniejszéj gałęzi produkcyi krajowéj i smutne nader położenie

rolnictwa; a baron Thüngen pisał kanclerzowi, że jego taryfa celna, ochraniając przemysł, rolniczą natomiast produkcyą tylko okruchami zbywa. Z wielką łatwością, wzbudzającą pewne zdziwienie u stojącego na uboczu spostrzegacza, przyznał żelazny książę słuszność Thüngenowi i dał wyraźne pozwolenie do ogłoszenia odnośnego swego listu, datowanego 14 kwietnia 1879 r. Przekonał się więc świat naocznie, że naczelny kierownik polityki niemieckiéj, jest za podwyższeniem opłat wskazanych w projekcie taryfy, dotyczących rolniczego dowozu zagranicy. Przypuścić można, że kiedyś, na podstawie lepszych materyałów, będzie można wykazać, iż owe wstrzymywanie się powściągliwe z protekcyą celną dla rolnictwa, a potém dobrowolne poddanie się obcym racyom, wytlómaczyć trzeba liczeniem się z opiniami panującemi w znacznéj części prasy i w kołach wpływowych kapitalistów. Obrona produkcyi przemysłowo-fabrycznéj sferom tym nie była w téj mierze niesympatyczną, co produkcyi rolnéj chłopów i ziemian. Stąd téż dzienniki chwiejnego usposobienia, jak np. „*National-Zeitung*“ względnie łagodnie się obchodziły z zapowiedzianą przez kanclerza reformą taryfową. Lecz odrazu zmieniła gazeta swe zachowanie po ogłoszeniu odpowiedzi, wystosowanéj do Thüngena o potrzebie większéj ochrony dla rolnictwa krajowego. Sięgnęła do arsenału swéj znajomości historyi pruskiéj, skąpo widocznie w owéj chwili zaopatrzonego i zawołała z bólem patryotycznym w sercu: „I z przeświadczeniem... możemy wypowiedziéć, że w całym przebiegu historyi pruskiéj nigdy dotąd pismo podobne, jak Thüngenowskie, w tak bliskim nie stanęło związku z wywracającém wszelkie podstawy prawodawstwem.“ Poczęła wyrzekać nad „zdetronizowaniem nauki“, nad „uciskiem miast i stanu kupieckiego na korzyść chłopów“ i t. d.

Owa ewolucya ekonomiczna ks. Bismarcka, w kierunku energiczniejszéj protekcyi państwowéj dla rolnictwa, nabiéra dla nas tém większego znaczenia, że musiała z konieczności w skutkach swych zadać cios dotkliwy rolnictwu Rosyi, w tych mianowicie dzielnicach, które produkta swe do Prus zbywały. W lutym już 1879 r. zaznaczał Bismarck w rozmowie poufnéj, szkodliwość dowozu ruskiego dla producentów niemieckich. Rolnik ruski, opłacający według niego znacznie mniejsze koszta produkcyi, może tańszém zbożem zarzucać targi niemieckie, a nęcony przytém widokiem niemałéj obniżki opłaty przewozowéj na kolejach, przy przesyłaniu wielkich transportów od razu, z ogromnemi zasobami na targ występuje. Zboże dostające się w ten sposób bez żadnéj słusznéj i naglącéj potrzeby do Niemiec, przyczynia się równocześnie do obniżki cen produkcyi niemieckiéj, za-

tém cło na dowóz ruski tyle miało według Bismarcka sprawić, ażeby wstrzymany został import tych produktów, które, nie mając zapewnionego w Niemczech zbytu, przez długi czas składy zbożowe zapełniają.

Przy przeprowadzeniu nowéj polityki ekonomicznéj, staczano walkę zaciętą w prasie i w parlamencie. Szczególniéj zagrożonym się czuł stan kupców i wielkich pośredników handlowych; z miast portowych, których dobrobyt w znacznéj części polegał na handlu produktami rolniczemi, liczne nadchodziły skargi. Bismarck téż nie zaprzeczył temu, że interesy tych grup zawodowych pogorszą się z nastaniem polityki protekcyjnéj, lecz nie uważał w tém nic niepokojącego i wybitnie dla kraju szkodliwego, gdyż sądził, że skorzystają na tém szerokie masy ludu rolniczego, stanowiącego, jak to Bismarck powtarzał, nietylko liczebną, lecz i moralną podstawę Niemiec, a zwłaszcza Prus, mimo całego nowożytnego rozwoju handlu i przemysłu; natomiast, że korzyści, wypływające z ożywionego ruchu handlowego służą stosunkowo nieznacznéj tylko liczbie ludzi.

Krótko przed uchwaleniem ceł zbożowych miał ks. Bismarck długą bardzo mowę w parlamencie (21 maja 1879 r.), uzasadniającą krok rządu przesileniem rolniczém. Względnie do zajmowanego stanowiska politycznego, przyjęto w izbie i prasie mowę tę z zapałem lub goryczą, a „*National Zeitung*", wiernie zwykle stojąca przy sztandarze Bismarckowym, odezwała się złośliwie, że uściskiem bratniéj dłoni chłopskiéj okupiony ma być głos chłopów przy wyborach. „Nie na czele narodu swego stanął dzisiaj książę-kanclerz — pisała narodowo-liberalna gazeta, — lecz jako wódz 20 milionów ludzi niby upośledzonych, według słów jego, i nieuwzględnionych i wezwał ich do wywalczenia sobie praw przynależnych." Jakiémkolwiek będzie stanowisko historyka, rozpatrującego przejścia polityki handlowéj i ekonomicznéj Niemiec owych czasów, nie będzie można odmówić kanclerzowi, że gruntownych zasięgnął informacyi o istotném położeniu zarobkowości krajowéj i że mowy jego wiele cennego i ścisłego dostarczają materyału. W sposób przystępny i prosty uzasadnia nałożenie opłaty granicznéj na produkty rolnicze krajów ościennych. Obecne złe położenie rolnictwa spowodowane jest przeciążeniem właścicieli ziemi różnolitemi ciężarami. W kilku słowach dał pogląd na rozwój wzmagającego się od r. 1861 opodatkowania ziemi i przytoczył na tém ogólném tle szczegółowe dane, co do ciężarów publicznych w stosunku do dochodów w kilku majętnościach ziemskich. Następnie postawił pytanie, czy jest słuszne, aby tym ciężarom, tak znacznym, jedynie krajowa produkcya podlegać miała, a zagraniczne współzawodnictwo

żadnego nie dostarczało równoważnika. Zapewniał, że podniósłby się wielki krzyk oburzenia, gdyby choć tylko drobna jaka gałąź zarobkowości przemysłowéj, np. garbarstwo, znalazła się w położeniu podobném, jak rolnictwo. „Czy rolnik krajowy, pytał książę, ponieważ liczebnie w ludności przeważa, ponieważ o wiele jest cierpliwszy, nie ma miéć równego prawa do sprawiedliwego i równego traktowania?“ Pragnie więc kanclerz odebrać produkcyi zbożowéj zagranicznéj ów, przez niego tak nazwany, przywiléj nieponoszenia ciężarów, równających się podatkom ciążącym na rolnictwie niemieckiém. Było to objawem łatwym do zrozumienia, że kłopoty finansowe państwa mniéj absorbowały siłę oratorską kanclerza, aniżeli znajdujące oddźwięk w masie ludności względy etyczne, ratowania od zagłady stanu rolniczego, téj najgłówniejszéj podwaliny monarchii. Będąc sam właścicielem wielkich posiadłości ziemskich, wspomniał też Bismarck o własnych doświadczeniach. „U nas na wsi na tém obecnie stanęło, że młynarze, trzymający dzierżawą młyny nasze i wiatraki, żyta od nas nie biorąc, a trudniąc się zarazem piekarstwem, sprzedają nam dla własnéj naszéj konsumcyi chléb z ruskiego żyta upieczony. Ja sam jem we Friedrichsruh chléb ruski.“ W dalszym toku mowy swéj objaśniał książę posłów parlamentu, że mąka ruska, dowożona w wielkich ilościach, stłumiła i zniweczyła do szczętu prawie drobny przemysł młynarski, znajdujący się w pobliżu kolei żelaznych, a tém samém wystawiony wprost na szkodliwe oddziaływanie mąki dowożonéj z pod Kijowa i Niżnego Nowogrodu.

Podniesione ze stron wielu obawy, że handel zbożowy ruski po zaprowadzeniu ceł niemieckich, z pominięciem drogi na miasta eksportowe niemieckie, obierze drogę na Libawę i inne porty ruskie, uważał Bismarck za płonne. W pamiętnéj swéj mowie agrarnéj po kilka razy zaznaczył, że transport płodów rolniczych, mianowicie z porzecza Wisły i jéj dopływów z nieodzownéj konieczności położenia geograficznego będzie musiał obiérać drogę na terytoryum pruskie. Daléj przywiódł na poparcie swego poglądu dla rozproszenia obaw, ogarniających koła kupieckie w Królewcu, względy natury finansowéj, że ani w Libawie, nie nadającéj się zgoła na wielki port handlowy, ani w Rydze, nie ma dostatecznych kapitałów na zakupno zboża ruskiego. Ponieważ zaś takowe znajdują się w Gdańsku i Królewcu, więc też i nadal zatrzymają miasta te w swych ręku handel zbożowy Rosyi, mimo nieprzyjaznéj polityki celnéj, zastosowanéj w obec tego kraju. Wnioski z tych uwag wysnuł kanclerz następne: „Zboże ruskie ma więc przymusowy niejako kurs, ściśle wyznaczony kierunek zbytu, skazujący je na drogę do niemieckich portów nad Baltykiem położo-

nych. Mamy tu więc środek, by cłami represyjnemi przyczynić się do otworzenia granicy ruskiéj."

Ledwo minęły dwa dni po téj mowie, a książę zabrał znowu głos w parlamencie i ponownie uspokajał umysły, że jest niemożliwém, aby handel zbożowy Libawy [1]) mógł odebrać dawną potęgę ekonomiczną miastom portowym Prus. Pracował niestrudzenie nad przeprowadzeniem swego dzieła, agitował bezustannie, odpowiadając w celach propagandy słowami dziękczynnemi z osobna na różne listy, przesyłane ze wszystkich stron kraju z oświadczeniami zgody na nowy program ekonomiczny. W kole zaś osób zaufanych powtarzał 24 maja t. r. krótko: „potrzebuję pieniędzy, potrzebuję szybko pieniędzy."

Widzimy go znowu 27 maja przemawiającego z za stołu rządowego, by przeprowadzić uchwałę parlamentu ceł na drzewo. W tym wypadku prawie wyłącznie projekt rządowy skierowany był przeciw produkcyi leśnéj Rosyi. Znowu zwalczał, z lepszém przyznać trzeba powodzeniem, aniżeli przy rozprawach nad przewozem zboża, opinią, jakoby wielkie masy drzewa ruskiego, skazanego dla swych rozmiarów głównie na transport wodą, ominąć łatwo mogły naturalny spław Wartą, Wisłą i Niemnem. „Cieszy mię, odezwał się wtedy, że poseł Schlutow—z opozycyi—nie odświéżył dawnego straszaka o ominięciu granic pruskich przez wyjmowanie drzewa z Niemna pod Kownem i przekładanie takowego na wagony kolei, wiodącéj do Libawy. Drzew tak znacznéj objętości niepodobna wcale wyjmować z rzeki, a kto zna brzegi kowieńskie, gdzie wypadałoby drzewo dźwigać pod górę z jakie 100 do 150 stóp, przyzna, że transport ten nie opłacałby się. Przytém wielkie kłody i drzewa nie nadają się do przewozu koleją, z konieczności skazane są na drogę wodną i z tego powodu mają ruch przymusowy na nasze porty, a nawet zasobne w lasy okolice Wilii pójdą spadkiem téj rzeki do Niemna, a nie do Dźwiny.

Następnie wraca Bismarck do ulubionéj swéj myśli, wyjawionéj już 1876 r. w czasie utarczki parlamentarnéj z Eugeniuszem Richterem, użycia przeciwko Rosyi „ceł wojennych." „Cło nałożone na drzewo wybornie nadaje się, mówi on, jako środek represyjny przeciw Rosyi, i proszę o to, ażeby mi uwierzono, że rządy związkowe nie mają w sprawie dotyczącéj dobra Niemiec téj lękliwości, która się oba-

---

[1]) Rozwój handlowy Libawy poucza nas, że przypuszczenia Bismarcka były mylne. Por. Mertens, „Das Zufuhrgebiet Rigas." Riga, 1890; zestawienie statystyczne na str. 120 i uwagi ogólne na str. 122. W mowie z 24 maja 1879 roku odezwał się Bismarck lekceważąco o Libawie, że wielkich portów handlowych improwizować nie można. Uwaga w zasadzie słuszna, mylna jednak w zastosowaniu praktyczném do specyalnego wypadku.

wiać każe, by nam nie odpłacono pięknem na nadobne i nie skierowano przeciwko nam ceł równie dokuczliwych". Z drzewa sprowadzonego do Niemiec, według obliczeń kanclerza, przeważna ilość pozostaje w kraju. Główny transport idzie na Fordon Wisłą, potém kanałem bydgoskim do Noteci, Warty i Odry, a stamtąd dalszemi spławami sztucznemi i naturalnemi do Elby i Magdeburga, gdzie się centralne ognisko handlu drzewem znajduje. Napływ ten drzewa do Magdeburga przyprawił już o zupełny upadek kwitnące dawniéj gospodarstwo leśne górzystych okolic Harzu; obawiać się należało, zdaniem Bismarcka, by wobec sprowadzonéj temi stosunkami wielkiéj obniżki cen drzewa niemieckiego, nie zaprzestano w Niemczech po spieniężeniu lasów, zakładać na nowo zagajników.

Jedném słowem, umiał ks. Bismarck przytaczać tak w tym, jak i we wszystkich wypadkach wiele przyczyn i względów, by pobudzić do czynu „uprawníony egoizm narodowy" ziomków swoich, i sprawa powiodła mu się jak najzupełniéj.

Z podobnie zmienioną polityką zmniejszyły się także widoki zbliżenia się ekonomicznego Rosyi i Niemiec. Widzimy także, że nietylko wyłącznie dla Niemiec, przeminął w dniach naszych czas, gdzie tendencye wolnéj lub ułatwionéj wymiany starały się zlać rozmaite kraje w jednę ekonomiczną całość. Natomiast wszędzie, z wyjątkiem może jedynéj Anglii, zaczyna się życie ekonomiczne cofać do krajowych ognisk, zaczyna się indywidualizować i oddzielać protekcyjnemi ustawami od współzawodnictwa obcych. Oczywiście jestto tylko faza jedna w rozwoju ogólnym życia ekonomiczno-społecznego ludów, gdyż wiele się równocześnie gromadzi pierwiastków rozkładowych, które kiedyś zwalczą system seperatyzmu ekonomicznego, panującego obecnie.

W pamiętnym tylu utarczkami parlamentarnemi miesiącu maju 1879 r., Bismarck wygłosił w mowie jednéj (z 2 maja) poglądy swe na traktaty handlowe. „Droga ugód handlowych jest czasami bardzo korzystna, zachodzi jeno pytanie przy każdym układzie: *qui trompe-t-on ici?*—kto jest oszukanym? Z reguły jeden z dwojga, i dopiéro po długim szeregu lat poznaje się, kto nim był... co gorsza, bieg naszéj machiny państwowéj pod względem opłat publicznych zbyt mało zależy od rządu samego, ażeby tenże w danym razie mógł popiérać życzenia kraju przeciwko zawartéj ugodzie i wbrew jéj, w sposób podobny, jak się to w wielu sąsiednich państwach dzieje. Pobór opłat publicznych u nas i administracya cała jest kwestyą *publici juris* a stąd odstąpienie dozwolone lub niedozwolone od punktów zawartéj ugody u nas nigdy nastąpić nie może, kiedy u sąsiadów na-

szych, Francyi nie wyjmując, która najwięcéj jest do naszych stosunków zbliżona, korzyści traktatów na mocy dozwolonych urzędnikom wpływów w drodze administracyjnéj mogą być uchylane... Czy mieliśmy korzyści z ugód handlowych lub nie, jest sprawą nader trudną do rozstrzygnięcia. To jednak widzimy, że znaleźliśmy się w położeniu ekonomicznie niezdrowém, gorszem, aniżeli ościenne państwa protekcyjne... Podług urzędowych wiadomości, które mam przed sobą, nie znajdowała się nigdy dotąd pomyślność materyalna w zachodnich prowincyach Rosyi, które głównie interesowane są sprawą wywozu zboża i drzewa do Niemiec, w takim rozkwicie, jak dzisiaj, gdy reszta Europy przebywa przesilenie ekonomiczne. Wymieniono mi przykłady o niebywałem podniesieniu się wartości gruntów, tak, że obecny dochód roczny wynosi tyle, co cena zakupna z przed laty 20, skoro kolėj pobudują w bliskości... Waluta jest w Rosyi niska, a mimo to wypełnia swoje zadanie, i pieniądz niemiecki napływa za zboże i drzewo w takiéj ilości, jak nigdy przedtém. Krótko mówiąc, owa osławiona Polska, owa Rosya, co przebyła ciężką i kosztowną wojnę... postępuje w dobrobycie—według mego sądu kosztem producentów niemieckich i skutkiem naszego dotychczasowego prawodawstwa. We wszystkich podobnych sprawach równie nie wysoko mniemam o doniosłości abstrakcyjnéj wiedzy, jak przy sądzeniu innych przejawów organicznych. Nasza chirurgia od lat 2000 postąpiła świetnie; nauka lekarska, odnosząca się do procesów wewnętrznych ciała ludzkiego, w które oko ludzkie wejrzéć nie może, żadnych nie ma do zapisania postępów, stoimy przed tą samą zagadką co dawniéj. Z podobnemi trudnościami ma do walczenia ocenienie organicznych przejawów życia państwowego. Abstrakcyjne doktryny nauki żadnego nie są zdolne zrobić na mnie wrażenia, sąd mój tworzę sobie na podstawie doświadczeń poczynionych w praktyce życia. Widzę prosperujące te kraje, które się bronią ekonomicznie, równocześnie widzę kraje otwarte na roścież produkcyi zagranicznéj, cofające się wstecz“...

„Podług mego wrażenia, znajdujemy się od czasu, gdyśmy zbytnio obniżyli taryfę, od którćj winy i swéj nie wyłączam osoby—w położeniu człowieka, któremu krew stopniowo ubiega. Proces osłabienia wstrzymany został osławionemi miliardami francuskiemi o lat kilka, bez nich już o lat pięć wprzódy bylibyśmy się znaleźli na tym punkcie, na którym stoimy dzisiaj.“

Staraliśmy się uwydatnić tendencye ekonomiczno-handlowe ks. Bismarcka w zachowaniu się jego wobec Rosyi. Doprowadziliśmy

rzecz aż do ostatecznego wyjaśnienia się sytuacyi polityką protekcyjną kanclerza niemieckiego pod koniec ósmego lat dziesiątka. Nie zapuszczamy się w przedstawienie dalszego przebiegu, z tego głównie powodu, że zasady, które panowały przy układaniu wspomnianych uchwał reformy taryfowéj, nie doznały zmiany od owych dni aż do obecnéj chwili i nigdy nie znalazły tak wyrazistéj interpretacyi autentycznéj jak w roku 1876 i następnych latach z ust obecnego pustelnika z Friedrichsruh.

W.





ROMANS SOCYALISTYCZNY.

Edward Bellamy: *Looking Backward, or, Life in the year 2000.* Londyn u Williama Reeves, 1890, dwudziesta trzecia edycya.

Czytając wogóle daleko więcéj, aniżeli jakakolwiek inna społeczność, społeczność angielska czyta także daleko więcéj utworów beletrystycznych. Zdumiewająca twórczość na niwie powieściowéj iść musi w parze z nadzwyczajném pod tym względem spożywnictwem. Nietylko, że Anglicy czytają tak wiele powieści, ale wszyscy czytają jakby z urzędu, te które tym lub owym sposobem wypłynęły na wierzch, stanęły na pierwszym planie. Jest to rodzaj epidemii, któréj się nikt nie ostoi. Nie ma człowieka umiejącego czytać, coby w danéj chwili nie czytał powieści, którą znać trzeba. Z klubów i wykwintnych salonów dostaje się ona niebawem do czytelni publicznych, do izby robotnika, na kozieł dorożkarza; staje się przedmiotem ogólnéj rozmowy i komentarzy bez końca. Trudno nieraz określić, dla czego ta a nie inna powieść narzuciła się tak despotycznie uwadze powszechnéj i bardzo często się zdarza, że istotna wartość moralna albo estetyczna nie znajduje się w bezpośrednim stosunku z tém szaloném powodzeniem, co mnoży edycye i z wczoraj nędzne życie prowadzącego pisarza robi naraz bogacza. Gdy masa wyrokuje, można nawet być z góry przekonanym, że nie poważne, wewnętrzne przymioty, ale raczéj zewnętrzne, te co działają na wyobraźnię i uczuciowość, wydają wyrok ostateczny. Na chlubę społeczności angielskiéj powiedzieć można, iż zdarza się już czasami, że i te pierwsze uwzględniane bywają. Tak się stało, gdy przed dwoma laty *Robert Elsmere*, powieść pani Humphry Ward, podnosząca wielką sprawę swobodnéj myśli w walce z dogmatyzmem, zaprzątnęła wszystkich czytelników. Jest to jednak wyjątek i w szeregu ostatnich kilku lat widzilіśmy berło powodzenia

dzierżone z kolei przez sensacyjne opowiadania p. Hughes Conway, jak *Called Back* albo *Dark Days*, przez pseudo-naukowe powieści w rodzaju Juliusza Verne, jak *Salomon's Minn* albo *She*, których autorem jest Rioles Haggard i nakoniec przez powieści o francuskim, zmysłowym nastroju np. *As in a looking glass*, Philipps'a. Żadne aprioryczne wywody nie są w stanie orzec, dla czego ta bogobojna, moralna i obdarzona wysokim zmysłem praktycznym publiczność często nieusprawiedliwiony, a nawet po prostu niedorzeczny wybór czyni: duch społeczny wieje jak i gdzie chce. Arystarchowie krytyki przyznają potulnie, że nie są w stanie nadać mu żądanego kierunku i że nieraz publiczność sama wskazuje im jako posiadającą wysoką wartość powieść, która w ich oczach na żadne szczególne nie zasługiwała wyróżnienie.

Powieść, która obecnie znajduje się na porządku dziennym i która fantastycznćm swém powodzeniem zaćmiła wszystkie inne, *Looking Backward*, Edwarda Bellamy, znajduje na usprawiedliwienie swoje tę okoliczność, iż odpowiedziała myślom, planom i projektom zaprzątającym więcéj, aniżeli jakiekolwiek inne, także i angielskie umysły. Mówimy tu o socyalizmie, o reformach socyalnych i następstwach, jakich przeprowadzenie onych wywrzéć nie omieszka na społecznym ustroju. Naczytaliśmy się już dużo dogmatycznych traktatów w tym przedmiocie i nie zawadzi sprowadzić to arcyżyciowe zagadnienie ze sfer metafizycznych do codziennéj rzeczywistości. Dzięki żywiołowi imaginacyjnemu, romansopisarz jest w stanie nadać interes i najsuchszym nawet doktrynom. Tego przynajmniéj od powieści socyalistycznéj oczekiwać ma się prawo i nie dziwota, że publiczność angielska z prawdziwą chciwością rzuciła się na strawę podaną sobie we właściwéj porze.

Dotąd jedynym utalentowanym powieściopisarzem angielskim, który obrał sobie jako specyalność obronę interesów masy ekonomicznie upośledzonéj jest p. Walter Besant. Większość czytelników czytała, albo zna przynajmniéj ze sprawozdań jego słynną powieść *All sort and condition of men*, gdzie autor zakreślił plan wzniesienia dla proletaryatu londyńskiego pałacu, w którymby mógł znaleść wszelkiego rodzaju rozrywki i godziwe rozkosze. Stała się, z okazyi téj powieści, rzecz mniéj wprawdzie wyjątkowa w Anglii aniżeli w innych krajach, ale zawsze dość rzadka: myśl rzucona przez powieściopisarza została podjęta przez publiczność i wprowadzona w czyn. Tak jak romanse Dickensa wywołały reformę zakładów szkolnych, a romans Karola Read reformę więzień, tak w myśl fantastycznego pomysłu p. Waltera Besant, wzniesiono w najuboższéj dzielnicy Londynu wspaniały

pałac dla ludu i widzieliśmy królowę, otwierającą go osobiście i cały kwiat uprzywilejowanego towarzystwa, sypiącego hojnie fundusze na ufundowanie i podtrzymanie téj jedynéj dotąd w świecie instytucyi. Zachęcony szybkiém i niezaprzeczoném powodzeniem p. Walter Besant w każdéj ze swych następnych powieści podejmował tę lub ową stronę zadań socyalnych, jak np. *swectingsystem*, organizacyę biur stręczeń i t. d. zawsze znajdywał wierne sobie zastępy czytelników.

Miał naśladowców, ale żaden z nich nie posiadał talentu tak giętkiego, ażeby wcielić w ramy powieściowe tezę reformatorską i zlać w jedną harmonijną całość utwór fantazyi i plan całkowity organizacyi prawodawczéj. W długim już katalogu wydawniczym p. Williama Reeves, którego specyalnością są wydawnictwa szkoły socyalistycznéj, nie znajdujemy żadnego utworu powieściowego, któryby dotąd był wart bliższego uwzględnienia. Pierwszym jest dopiéro ta powieść p. Edwarda Bellamy: „Spojrzenie w przeszłość“, czyli „Życie w roku 2000“. W ciągu sześciu miesięcy rozeszła się w więcéj, aniżeli pół miliona egzemplarzy i coraz nowe, tańsze edycye popularyzować ją będą. Jest ona powieścią, czytaną dla rozrywki, a jednocześnie dziełem propagandy socyalistycznéj, rodzajem apostolstwa nowego zakonu. Warto przypatrzéć się bliżéj obu tym obliczom janusowéj głowy.

O osobistości autora nie jesteśmy w stanie dać czytelnikom najmniejszéj informacyi. Wiemy, że jest Amerynikaninem ze Stanów Zjednoczonych, że napisał uprzednio kilka powieści, co przeszły niepostrzeżenie i że dopiéro przedostatnia z nich „Proces dr. Heidenhoffa“ zwróciła nań uwagę i pozyskała mu taki rozgłos, iż najzdolniejszy z sędziów, W. D. Howell, mógł znaleść w nim spadkobiercę Nataniela Hawthorne. Ale rozgłos stał się sławą po napisaniu *Looking Backward* i fala jéj odrazu przesunęła się po Atlantyku i objęła w swe ramiona wybrzeża wszech-Anglii. Istnieje tak ścisła wymiana płodów duchowych pomiędzy narodami anglo-saksońskiego szczepu, że społeczności angielskiéj nie przyszło na myśl, krytykując usterki téj powieści, widzieć w niéj utwór obcy i wyrzekać się z nim solidarności. Przeciwnie, przyjaciele i przeciwnicy traktują ją jako kwiat, albo jak chwast, ale wyrosły na gruncie wspólnym narodowym. Mówiono o niéj w ten sposób w niezliczonych artykułach krytycznych, na mityngach ludowych i mówiono także w książęcych salonach Lady Egerton, która—*signum temporis* — użyczyła swojego pałacu w tym roku do dyskusyi o kwestyach socyalistycznych. Tylko ci co znają świat arystokratyczny brytański i co są w stanie pojąć, jaka doza tradycyi, wielkości rodowéj, magnackiéj fortuny i uprzywilejowanego stanowiska

skupia się w tego rodzaju osobistości, zdadzą sobie sprawę o postępach czynionych przez idee reform społecznych wśród fortecy, co się zdawała być raz na zawsze dla nich niedostępną.

Powieść p. Bellamy nie pozyskała sobie takiego rozgłosu i nie wzięła szturmem milionów czytelników ani uprzednią działalnością autora — był on nieznany, ani pięknością formy, zewnętrzną szatą — jest ona purytańskiéj prostoty i najzupełniejszéj bezbarwności, ale jedynie i wyłącznie oryginalnością pomysłu. Autor przenosi nas w świat przyszłości i epoką jego opowieści ma być rok 2000. O naszéj epoce, o naszych stosunkach, zwyczajach, prawach, instytucyach, o całym naszym organizmie społecznym jest tam mowa, jak o świecie przedpotopowym, jak o przodkach dalekich, dziwnie zacofanych, ograniczonych, jak o barbarzyńcach. Daje nam tedy autor wizyę przyszłości, pozwala ocenić czém będzie ludzkość za wiek jeden z małym okładem, i czyniąc przeciwstawy pomiędzy owym co ma nastąpić, a tym wśród którego my istotnie żyjemy, dochodzi do najsurowszéj najnieubłagańszéj krytyki cywilizacyi téj naszéj, z któréj tak jesteśmy dumni. Socyalistyczne ideały, które cała ludzkość zachowawcza uważa za niepodobne do urzeczywistnienia i za prowadzące jedynie do chaotycznéj anarchii, przedstawione tu są nietylko jako fakty istniejące ale jako konieczne źródło nadzwyczajnego postępu, jako przesłankę iście rajskiego bytu. Ta mieszanina fantazyi z realizmem, humoru z powagą, wiedzy z prozelityzmem, czyni utwór ten wysoko oryginalnym.

Obrawszy sobie autora za przewodnika, przenikniemy do „Życia w 2000 roku“. Jedną tylko jeszcze zrobić wypada uwagę. Ci z czytelników, co są obeznani z literaturą angielską naszego stulecia, gotowi przypuszczać, że pomiędzy powieścią p. Bellamy a słynną fantazyą Bulwera *The coming Pace* istnieje podobieństwo. Przeciwnie, nie ma najmniejszego. Bulwer ograniczył się do przedstawienia form zewnętrznych, jakie przybierze życie indywidualne i społeczne pod wpływem wielkich wynalazków nowoczesnych, opatrzył ludzi w skrzydła któremi latają, zniósł czas i przestrzeń i t. d. Obecny autor ogranicza się do organizacyi społeczeństwa takiego, jakiém się stać musi, jeżeli teorye i aspiracye socyalizmu wejdą w czyn. Być może, że i jego świat jest fantastycznym ale posiada daleko więcéj prawdopodobieństwa, aniżeli ten, który nam Bulwer zapowiadał, i naukowy charakter jest tak dalece posunięty, że bardzo często wydaje nam się, iż nie zwykłą powieść, ale traktat ekonomiczny czytamy. Pod tym względem jest to, bez zaprzeczenia, najbardziéj oschła, najbardziéj pedantyczna powieść, jaka kiedykolwiek napisana była. Jeżeli mimo tych usterek i takiego nastroju rozpowszechniła się w tak olbrzymim zakresie, to widocznem

jest, iż udało się autorowi zaciekawić czytelników przez ucieleśnienie teoryi, których nigdyśmy dotąd nie widzieli w innéj formie, jak w formie artykułów kodeksu, a zatém nieosobistéj, nie łatwo zastosowalnéj.

Fikcya, która posłużyła autorowi do skreślenia obrazu ustroju społeczeństw w r. 2000, jest wcale udatna. Na wstępie znajdujemy krótką przedmowę w imieniu wydziału historycznego uniwersytetu w Bostonie, datowaną w dniu 28 grudnia 2000 roku i dowiadujemy się, że ludzkość obchodzi w uroczysty sposób drugie *millenium* swego bytu historycznego i że rozmaici uczeni wydali z téj okazyi prace wykazujące rozwój społeczeństw. Ponieważ mimo nadzwyczajnych przewrotów i postępów, jakie zajść miały w ciągu ostatniego stulecia, są ludzie, co już w dalszy postęp nie wierzą, zatém autor przedsięwziął pokazać ich możliwość przez historyczny pogląd, przez rzut oka w przeszłość. Skoro w ciągu jednego wieku ze stanu barbarzyństwa, w jakim się człowieczeństwo znajdowało jeszcze w roku 1887-ym, doszło do wcale znośnego stanu, jaki jest ugruntowany w r. 2000, to *a fortiori* można stąd przypuścić daleko większy i dalszy szybszy rozwój w następnych okresach historycznych. Praca, którą znaleźć mamy w następstwie, ma tedy dla swéj publiczności XXI-go stulecia mieć cel historyczny, a zarazem dać im popęd do czynnéj akcyi reformatorskiéj.

Samo opowiadanie prowadzone jest przez Juliana West, należącego do klasy bogaczów miasta Bostonu i który w r. 1887 jest trzydziestoletnim młodzieńcem. Bohatér jest nawskroś przejęty zasadami i sposobem widzenia rozpowszechnionym pomiędzy uprzywilejowanemi klasami XIX-go stulecia, a mianowicie zarozumiałości, pychy, egoizmu, pogardy dla klas robotniczych. Niechęć do tych ostatnich jest u niego właśnie w téj epoce żywsza jeszcze niż zazwyczaj, gdyż pomiędzy robotnikami w Bostonie nastąpiła zmowa, zawieszenie roboty i wskutek tego zawieszone zostały prace około pałacu, jaki sobie miał budować; małżeństwo jego z piękną i bogatą Edytą Bartlett ulega wskutek téj okoliczności zwłoce. Cierpiąc na rozstrojenie nerwów i będąc pozbawionym możności snu, p. West kazał sobie urządzić w podziemiach swego domu komnatę sypialną, która jest szczelnie zamknięta i gdzie żaden zgiełk nie przenika. Ponieważ jednak i tak jeszcze spać nie może, ucieka się do środków leczniczych pewnego doktora, który go usypia od czasu do czasu i budzi nazajutrz po spokojnie przespanéj nocy pokrzepionego. Takie właśnie pogrążenie w sen sztuczny tajemniczemi środkami miało miejsce w dniu 13 maja 1887 r. i uśpionego służący zaryglował szczelnie w owéj podziemnéj komnacie. Gdy otwiéra oczy po raz pierwszy, widzi się p. West w innym, niezna-

nym sobie pokoju, a przy łóżku swojém spostrzega trzy osoby: mężczyznę, kobiétę i młodą panienkę. Damy te opuszczają pokój a na zapytanie przebudzonego, gdzie się znajduje, otrzymuje on odpowiedź, że się znajduje w domu doktora Leete, że on go właśnie przebudził ze snu letargicznego. Na zapytanie, jak długo w letargu tym zostawał, pokazuje się, iż trwał on sto trzynaście lat, trzy miesiące i dni jedenaście! Naturalnie, że nie chce on temu wierzyć i dopiéro wyprowadzony na taras domu, w którym się ta scena przebudzenia odbyła i rzuciwszy okiem na miasto Boston inaczéj zupełnie zabudowane, pełne wspaniałych gmachów i pałaców, których nie było w XIX-ym wieku, przekonywa się o prawdzie tego nadzwyczajnego faktu. Następnie dowiaduje się od d-ra Leete, że przy pracach w jego ogrodzie natrafiono na ślady domu spalonego, co się na tém miejscu musiał wznosić, że kopiąc wśród zgliszczy natrafiono na metaliczną płytę, będącą zasuwanemi drzwiami do podziemnéj komnaty i że w niéj to, w stanie letargicznego uśpienia znaleziono młodzieńca, który widocznie należał do innych, dawnych pokoleń, ale w którym życie zatrzymało się sztucznie i organizm, nie ulegający żadnym rozkładowym wpływom atmosfery pozostał zupełnie taki, jakim był w chwili pogrążenia go w sen sztuczny. Odkrycie to, uczynione przypadkiem, wywołało naturalnie nader żywy interes wśród ludzkości 2000 roku i całe miasto Boston niecierpliwie oczekiwało rezultatu środków leczniczych, przedsięwziętych przez d-ra Leete, gdyż rezultatem takowych miało być ich bezpośrednie zetknięcie się z człowiekiem, co się był urodził przed półtora wieku, który był świadkiem innéj cywilizacyi i który będzie w stanie dać obecnemu pokoleniu najlepsze, bo osobistego świadka i działacza świadectwo. Środki lecznicze zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem, skoro p. West stanął zmartwychwstały w całéj pełni swéj młodzieńczéj siły i krzepkości, pozostaje mu tylko przez czas krótki odbyć konwalescencyą w gościnnym domu i pod umiejętną pieczą doktora, zanim się rzucić mu przyjdzie w wir życia czynnego wśród wnuków i prawnuków pokolenia współczesnego jego narodzinom. Cała dalsza nić opowiadania snuje się w domu doktora w epoce przygotowawczéj i jedyną jéj treścią są rozmowy, prowadzone pomiędzy obywatelem XXI wieku a rozbitkiem cudownie ocalonym i zachowanym z XIX-go. Nie ma w niéj żadnych, albo bardzo mało wypadków, odnoszących się do natury powieściowéj, a za to są teoretyczne dyskusye nad różnicami, istniejącemi pomiędzy światem ówczesnym a tegoczesnym i stopniowo wprowadzeni jesteśmy w ten organizm społeczny, spostrzegamy jego wyższość i rumienić się mamy za stan barbarzyństwa, w którym pogrążeni byli ludzie z epoki p. Juliana West. Powieść p. Bellamy od pierwszéj

rozmowy, jaką ma jego bohatér z doktorem Leete aż do ostatniéj, jest dydaktyczną, czémś w rodzaju nowożytnéj szermierki, niby pomiędzy Mentorem a Telemakiem. I właśnie w téj jéj teoretycznéj wyłączności widzimy jéj wadę, wadę nawet ze socyalistycznego stanowiska. Nie wystarczają nam same aksyomata, i nawet sam szkic ustroju społeczeństwa tak wysoce postępowego; chcielibyśmy przeniknąć głębiéj i wejść do życia rodzinnego, przyjrzéć się zbliska ludziom zrodzonym i wychowanym w téj nowéj atmosferze, aby się przekonać, czy są oni z téj saméj co my krwi i soków złożeni, położyć palec na pulsie ich, obeznać się z dyapazonem ich namiętności, przyjrzéć się im w czynie, w życiowym boju. Ponieważ nam autor tego nie daje, ponieważ twórcza jego fantazya omdlała właśnie w chwili, gdyśmy najwięcéj liczyć na nią mogli, nie możemy być z jego utworu całkowicie zadowoleni i nie jesteśmy nawet w stanie nabrać przeświadczenia, że ów świetny ustrój ekonomiczny nowego świata wytworzył ludzi lepszych i szlachetniejszych, co właśnie miało być dowiedzionem i do czego najgłówniejszą przykładalibyśmy wagę. Pojmujemy całą trudność zadania takiego, jakiego zarys się naszéj wyobraźni przedstawił przy otwarciu książki p. Bellamy, ale jeżeli się nie mylimy, każdy z czytelników oczekiwał go i każdy uczuł zawód z porzucenia go w połowie drogi.

Ażeby dać poznać czytelnikom odrazu poważny nastrój rozmów, jakie się toczyć będą pomiędzy doktorem Leete, przedstawicielem świata odrodzonego przez socyalizm, a p. West, który jest nawskroś przesiąknięty zasadami indywidualizmu, tego kamienia węgielnego swojego społeczeństwa, powiemy, że pierwsze pytanie, jakie mu zadaje ten ostatni, tyczy się stanu kwestyi robotniczéj. Sfinks ten, którego słowa zagadki my szukaliśmy napróżno, przestał być tajemnicą dla naszych potomków. Ewolucya socyalna znosząca cierpienia klasy robotniczéj, stawiająca raz na zawsze kresześrodkowaniu kapitałów w ręku wyjątkowych jednostek i kończąca walkę mas uciemiężonych z uprzywilejowanemi wyjątkami, ewolucya ta była po prostu następstwem takiéj organizacyi, że zamiast syndykatu osób prywatnych, działających w imię swego prywatnego interesu, utworzony został syndykat, przedstawiający cały naród i działający w imieniu powszechnego interesu. Społeczeństwo jako jedność pochłonęło w sobie monopole, przywileje i kapitały, zniosło odrazu sprzeczność dążeń, zabójcze współzawodnictwo, gdzie ofiarą padał słabszy. Po emancypacyi politycznéj nastąpiła socyalna i ludzie spostrzegli się, że ma ona dla nich równie wielkie, ażeby nie powiedziéć większe znaczenie. Wytwarzanie, rozdzielanie, spożywanie, zamiana dóbr, — wszystko to

działo się przez władzę zwierzchniczą, działającą w imię narodu całego.

Na uwagę, że w XIX-ym wieku władza zwierzchnicza uważana była jako przeznaczona do rządzenia narodem, do bronienia go przed nieprzyjaciołmi, p. West dowiaduje się, że w XXI-ym wieku rząd nie potrzebuje się o nic podobnego troszczyć, gdyż nie ma narodów wrażych, nie ma wojen, nie ma armii i zadaniem władzy publicznéj stało się wyłącznie zaspokajanie jaknajtańsze i jaknajlepsze wszystkich potrzeb ludzkich. Dlatego państwo wzięło w swe ręce machiny, fabryki, rękodzielnie, drogi żelazne, kopalnie, uprawę ziemi, etc. i tak jak za naszych czasów służba wojskowa była obowiązkową, tak następnie służba w zakładach produkcyjnych powszechnych stała się bezwzględnym obowiązkiem każdego osobnika państwowego. Każdy osobnik społeczny jest zatrudniony w ten lub ów sposób przy pracach i zajęciach, i ani chce, ani może się od pracy usunąć, a społeczność tak jest uorganizowana, że ten, coby nie pracował wcale, żyćby nie był w stanie wśród towarzystwa ludzkiego. Praca stała się więcéj niż obowiązkiem, więcéj niż potrzebą, stała się warunkiem bytu.

Jednostka nie jest jednakże wprzągnięta do wytwórczéj machiny, jak galernik na całe życie. Przeciwnie, w społeczeństwie nowożytném praca zaczyna się późniéj i kończy wcześniéj. Aż do dojścia do pełnoletności, do 21-go roku życia, cała młodzież wyłącznie oddana jest pracy szkolnéj; potém następuje peryod 24 lat pracy w zakładach państwowych, a gdy człowiek dojdzie do 45 roku życia, wtedy wybija dla niego aż do zgonu epoka całkowitego odpoczynku i używania wszelkich owoców, całéj słodyczy istnienia.

Przez pierwsze trzy lata każdy obywatel bez wyjątku używany bywa jako prosty robotnik w téj gałęzi pracy, która mu przez zarząd jest wskazana; po ich upływie, po odbyciu tego nowicyatu, sam obiéra sobie tę, do któréj czuje najwięcéj pociągu lub zdolności. Żadna gałąź pracy nie jest odpychająca, gdyż z jednéj strony są do niéj wprowadzone wszystkie ułatwienia i ulepszenia hygieniczne i mechaniczne, z drugiéj w miarę trudności, które są nieprzezwyciężalne, liczba godzin pracy jest zmniejszona aż do zrównoważenia warunków jéj do warunków innych, przyjemniejszych. Każdy obywatel może w pierwszych latach doświadczać swych sił w tych lub owych specyalnościach, w pracy ręcznéj lub umysłowéj i wszędzie znajduje instytucye techniczne, ułatwiające mu czeladnictwo.

Ale obok stosunku chlebodawców do robotników istniała jeszcze inna pierwszéj wagi kwestya w XIX-ym wieku: była nią kwestya zarobku, którego wysokość strącana była przez współzawodnictwo

i ogólny niedostatek do *minimum* warunków bytu klasy najuboższéj. Nie istnieje ona naturalnie w organizmie postępowym. Nie ma ani monety obiegowéj, pieniędzy, ani zarobku. Władza zwierzchnicza rozdziela corocznie pomiędzy wszystkich obywateli przypadające dla każdego środki utrzymania. Na początku roku otrzymuje każdy osobnik kredytywy, upoważniające go do pobierania i do czerpania z publicznych składów i magazynów wszystkiego, czego mu potrzeba. Nie ma kupna, nie ma sprzedaży, nie ma handlu, a jest jedynie rozdział dóbr pomiędzy stowarzyszonych. Naturalnie, że potrzeba oszczędności znika wskutek tego i że troska o jutro zastąpiona jest przez pewność, iż byt ogólny zawsze zabezpieczony zostanie przez powszechność. Nie ma także zarobku za pracę. Nikt nie pracuje dla otrzymania takowego dlatego, że praca jest warunkiem bytu społecznego i indywidualnego; nikt nie otrzymuje zapłaty za pracę, lecz tylko utrzymanie od społeczeństwa, poprostu dlatego, że jest jego członkiem. Ponieważ nie żądają od jednostki niczego więcéj jak tego, ażeby pracowała najlepiéj podług swych sił, zatém nie czynią go odpowiedzialnym za rezultat, ale tylko za wysiłek. Ten, kto pracuje więcéj, lepiéj, skuteczniéj, może otrzymać honorowe odznaczenia, ale żadnego materyalnego; tak samo, jak żołnierze w armiach służyli i przelewali krew nie dla żadnego zysku, ale zagrzani uczuciami patryotyzmu, poświęcenia i obowiązku, tak samo obecnie są tacy, co się starają odznaczyć na polu działalności produkcyjnéj.

Z absolutnéj równości dochodu pobieranego od zarządu społecznego nie wynika bynajmniéj, ażeby wszyscy dochód swój wydawać mieli w jeden i ten sam sposób. Każdy osobnik działa pod tym względem stosownie do swego upodobania. Jedni najmują domy piękniejsze i wystawniejsze, drudzy mają upodobanie w koniach, albo w ubraniu, albo w wykwintnéj kuchni. Nikt nie stara się o nagromadzenie nieruchomości, gdyż dochód jednostajny nie pozwoliłby na ich utrzymanie. Kwestya służby, utrudniająca życie domowe XIX-go wieku, nie istnieje także. Opał, oświetlenie, pranie etc. spełniane bywa przez machiny; specyalne biura dostarczają bezpłatnie, samo się przez się rozumié, pomocników w razach nadzwyczajnych. Co do jadła, to albo dostarczane bywa do domu z publicznych kuchni, albo każda rodzina wraz ze swemi gośćmi udaje się do restauracyi, których komfort i zbytkowe urządzenie nie zostawiają naturalnie nic do życzenia.

Krótkiego czasu trzeba było, aby wskrzeszony przedstawiciel dawniejszéj cywilizacyi zdał sobie sprawę z wyższości materyalnego ustroju nowego świata. Gdy za naciśnięciem dzwonka i otworzeniem tuby najpiękniejszy koncert miał w swym pokoju, gdy za pomocą ta-

kiéjże rury akustycznéj słuchał u siebie kazania wielkiego kaznodziei, gdy w magazynach widział obstalunki robione według próbek, a zamówione artykuły natychmiast z centralnego składu odnoszone do domów, gdy widział wspaniałość gmachów, ogrodów, muzeów, gdy spostrzegł naprzykład podczas deszczu namiot ruchomy, spuszczający się na ulicę, aby ją od wilgoci i błota ochronić, łatwo mu się było przekonać, że postępy nadzwyczajne i wielkie ułatwienia wprowadzone zostały do indywidualnego i powszechnego bytu. Łatwo było także pojąć, że przy braku społecznych różnic pomiędzy jednostkami, przy zniweczeniu wszelkich zarodków chciwości, posiadania bogactw, charakter indywidualny uległ wielkim zmianom, że ucisk słabych, ich wyzyskiwanie, okrucieństwo, pieniactwo, zawiść i t. d. straciły wszelką racyę bytu i że w miejsce ich zapanowała ogólna sympatya, wzajemne poczucie solidarności, łagodność stosunków, uprzejmość. Nie jak na nieprzyjaciół, albo jak na współzawodników, ale jak na członków tego samego stowarzyszenia spoglądali na siebie ludzie.

Fakta te, lubo nadzwyczajne, biją ze słoneczną jasnością i nie ulegają niebawem wątpliwości najmniejszéj dla p. West, a zasada zastąpienia gospodarstwa pojedyńczego przez powszechne, indywidualizmu przez socyalizm, jest kluczem otwierającym ten pałac zaczarowany. Mimo tego, co chwila powstają w jego umyśle powątpiewania, co do możliwości praktycznéj przeprowadzenia takiéj reformy, co do organizacyi téj armii przemysłowéj, i niestrudzony dr. Leete daje mu zawsze zaspakajające wyjaśnienia. Zaprowadziłoby nas za daleko i zrobiłoby ze sprawozdania prostego, do którego się tu ograniczyć chcemy, streszczenie całéj fantazyi ekonomicznéj p. Bellamy, gdybyśmy szli krok w krok za temi wyjaśnieniami. Ograniczymy się do najgłówniejszych.

Każdy organizm towarzyski utrzymuje się ładem i hierarchią. Nie łatwo zrozumiéć, jakby się takowe dały wprowadzić do społeczności, opartéj na bezwzględnéj równości uczestników. Oto, jak zagadnienie to rozwiązane zostało w XXI-ym wieku. Całość narodu, albo raczéj armii przemysłowéj, dzieli się na cztery klasy. Pierwsze stanowią prości żołnierze, t. j. wszyscy młodzi ludzie bezzawodowi w ciągu trzech pierwszych lat ich społecznéj służby. Drugą klasę stanowią czeladnicy, to jest pracownicy, próbujący swych sił przez rok jeden w tym lub owym zawodzie specyalnym. Trzecią stanowi całość robotników pełnoletnich i wytrawnych, liczących od 25 do 45 lat. Czwartą nakoniec stanowią oficerowie i dowódzcy; można ich także nazwać majstrami. Zapomnieliśmy dodać, że pomiędzy ową wielką masą pracowników pełnoletnich i produkcyjnych, są jeszcze trzy stop-

nie udoskonalenia i że coroczne przeglądy i ćwiczenia uzdolniają ich do przechodzenia z niższych klas do wyższych. Czwarta klasa, dozorców i inspektorów, tworzy się z pomiędzy najbardziéj uzdolnionych robotników, tak że ten tylko może dyrygować pracą innych, kto się sam w niéj doskonałym okazał. Z pomiędzy tych oficerów przemysłowéj armii wybierany jest nakoniec rodzaj generalnego sztabu, złożony z dziesięciu dyrektorów tyluż gałęzi, na które rozpada się produkcya. Jako głowa całego organizmu znajduje się nakoniec prezydent państwa, którego urząd trwa lat pięć i który po upływie ich może być ponownie wybrany przez kongres narodowy.

Uczyniliśmy wzmiankę o kongresie narodowym. Można go uważać po prostu, jako zgromadzenie delegatów słuchających sprawozdania z obrotu interesów przedsiębiorstwa i potwierdzających bilans. Prac prawodawczych nie ma, gdyż nie ma praw obowiązujących! W wieku XIX-ym prawie całość ustaw prawnych dotyczyła zabezpieczenia własności prywatnéj i stosunków pomiędzy sprzedającymi a kupującymi, ustawy zabezpieczały także jednostkę,przeciwko uciskowi i tyranii innych, silniejszych jednostek. Przy socyalistycznym ustroju nie ma powodu do tego rodzaju legalnych rękojmi i więzów. Samo się przez się rozumié, że rola trybunałów i sądownictwa uledz musiała zmianie. Występki jednostek uważane są po większéj części za choroby, za smutny spadek, odziedziczony po przodkach barbarzyńskich (niepochlebna to opinia o społeczeństwie XIX-go wieku!) a więzienia zastąpione są przez szpitale i domy zdrowia. Procesów pomiędzy jednostkami jest także bardzo mało i po większéj części ograniczają się one do skarg na niesprawiedliwość zwierzchników. Adwokatów, których zadaniem było przekręcanie i osłanianie fałszem prawdy, nie ma ani śladu, a sędziowie działają zazwyczaj w charakterze polubownym. Otacza ich najwyższa powaga i dla nich jest jedyny wyjątek co do wieku służby publicznéj, gdyż właśnie po upływie 45-go roku życia otrzymują tę godność przewodniczenia pomiędzy zwaśnionymi.

Co do stosunków międzynarodowych, to z łatwością ułożyły się one także do harmonijnéj równowagi. Wszystkie państwa Europy i Ameryki stały się przemysłowemi rzeczpospolitemi i razem powiązały się w węzeł federacyjny. Istnieje rada międzynarodowa, stanowiąca o wzajemnym do siebie stosunku państw, który coraz więcéj staje się stosunkiem wymiany handlowéj miejscowych produktów. Jak między jednostkami, tak między narodami nie ma rywalizacyi, nie ma sprzecznych interesów, a natomiast szerokie i zupełne braterstwo, które doprowadzi nakoniec przy dojrzałości ras jeszcze nieco

zacofanych do utworzenia z całéj ludzkości jednego tylko stada i jednéj owczarni.

Podstawą, kamieniem węgielnym całego tego organizmu socyalistycznego są, samo się przez się rozumie, szkoły. System edukacyjny polega tam na trzech zasadach, naprzód, że każda jednostka ma prawo do najlepszego wychowania, jakie tylko społeczeństwo dać zdoła, powtóre, że jest interesem każdego uczestnika społecznego, ażeby była jaknajwiększa liczba ludzi wysoce wykształconych i nakoniec, że każda z istot, co się ma rodzić w przyszłości, ma prawo do posiadania oświeconych i wyrafinowanych rodziców i rodzin. Nie daje nam autor szczegółów bliższych organizacyi tych szkół w postępowém społeczeństwie i uważamy ten brak jako pożałowania godny.

Syn epoki praktycznéj i praktycznego bo amerykańskiego narodu, p. West chociaż stwierdza nadzwyczajne postępy, jakie ludzkość uczyniła, utrzymuje, że żaden z jego współczesnych nie mógłby w nie uwierzyć poprostu z tego powodu, że nie byłoby do ich uskutecznienia funduszów. Statystyka uczyła, że gdyby kilkadziesiąt miliardów, z których się składał cały zasób społeczny towarzystwa ludzkiego rozdzielony został pomiędzy jednostki, mała, mizerna tylko suma dostałaby się każdéj w udziale. Na ten argument odpowiada rzecznik nowéj organizacyi, że ona nie rozdziela, ale jednoczy, i że wskutek tego produkuje daleko taniéj i robi na każdym kroku olbrzymie oszczędności, o jakich przy cywilizacyi indywidualizmu marzyć nawet nie było można! Nie ma długów państwowych i municypalnych, ani procentów od nich; nie ma wydatków na armie, milicye, marynarkę wojskową; nie ma hierarchii biurokratycznéj i nie ma pensyi dla urzędników. Do tych oszczędności dodać należy te, które się osiągnąć dają na wytwornictwie ogólném, na pracy powszechnéj wszystkich, bez żadnego wyjątku, na zniesieniu pośrednictwa handlowego; nakoniec przez zniesienie ryzyka i strat indywidualnych, ponoszonych przez przedsiębiorców, przez zużytkowanie wszystkich odłogiem leżących kapitałów, przez zastąpienie konkurencyi zabójczéj pracą zsolidaryzowaną, przez zniesienie przesileń handlowych, przemysłowych i finansowych. Ale są to wszystko jedynie negatywne warunki, przyczyniające się do szybkiego wzrostu zasobu społecznego. Dodatnim jest centralizacya całéj wytwórczości w ręku powszechności i ona to jedynie czyni możliwém, że się dochody zwiększyły, dając obok zamożności i dobrobytu każdéj jednostce i każdéj rodzinie, środki na te olbrzymie wydatki na cele publiczne, na instytucye wszechnarodowe, które stanowią cechę organizacyi socyalistycznéj.

Są jeszcze niektóre rozdziały bardzo interesujące w jéj przedstawieniu. Do takich należy rozdział o stanowisku kobiet. Rzecz oczywista, że są one niezależne od mężczyzn, że same na byt swój pracują w odpowiednich dla siebie gałęziach, i w warunkach takich, że ich zdrowie, rozwój fizyczny i piękność nie cierpią bynajmniéj. Społeczeństwo czci w nich matki przyszłych pokoleń i nietylko stanowisko ich pod żadnym względem nie jest upośledzone, ale przeciwnie otoczone wszelkiemi możliwemi ułatwieniami.

Życie rodzinne posiada daleko czystszy charakter w tym świecie przyszłości. Małżeństwa kojarzą się wyłącznie z miłości, i o żadnych wyrachowaniach mowy być nie może. Żona nie jest bynajmniéj zależną od męża materyalnie, gdyż tak samo jak on posiada swoją kredytywę, corocznie wydawaną sobie przez zarząd naczelny. Dzieci nie mają innych obowiązków względem rodziców, prócz wdzięczności za życie, które im dali i za troski, które ponieśli około ich pierwszego wychowania: pod względem materyalnym od wstąpienia do szkoły nie są na ich koszcie, ale na koszcie społeczeństwa.

Organizm socyalistyczny przyczynia się nakoniec niezmiernie do uduchowienia społeczeństwa, do postępów nauk i sztuk. Każdy pracownik na niwie umysłowéj jest uwolniony od pracy mechanicznéj, ręcznéj, jeżeli okazuje on się więcéj do pierwszéj, aniżeli tamtych sposobnym. Po przesłużeniu lat pracy, ze świtem 45-go roku życia, następuje chwila, gdzie każdy poświęca się tym pracom umysłowym i artystycznym, w których smakuje, i taka wielka ilość wykształconych jednostek, spędzających połowę życia w sferze duchowéj i intelektualnéj nietylko gromadzi odkrycia, wynalazki, arcydzieła, ale podnosi coraz wyżéj poziom psychiczny każdego osobnika.

Moglibyśmy jeszcze iść długo w ślady opisów i charakterystyk przyszłego społeczeństwa, jakie autor kładzie w usta niewyczerpanego dra Leete. Nie widzimy jednak tego potrzeby. Obiektywne, mechaniczne streszczenie było tutaj koniecznem a w żadną polemikę wdawać się nie było powodu, boć przecie nie z naukowym traktatem, ale z fantazyą mieliśmy tutaj do czynienia. Jeżeli o tém czasami zapomniéć było można, to wina leży po stronie pedantyzmu autora, który nie chciał czy nie umiał trzymać szali równéj pomiędzy fikcyą powieściową a teoryami naukowemi, lub do nauki roszczącém pretensyę.

Jak się powieść ta kończy? zapytają może czytelnicy. Zmartwychwstały Juliusz West jest całkiem podbity i przekonany o wyższości nowego porządku rzeczy i nic go bardziéj nieszczęśliwym nie czyni jak gdy w swych widzeniach sennych powraca do stosunków

pierwszéj epoki swego życia. Do wszystkich umysłowych argumentów łączą się i sentymentalne. Oddaje swe serce pięknéj Edycie Leete i dowiaduje się, że jest ona prawnuczką téj Edyty, z którą był zaręczony i która po wielu latach żałoby po znikłym narzeczonym wyszła za mąż. Od pierwszéj chwili tajemnica ta była znana członkom rodziny doktora Leete i ta miłość wzajemna co przez szereg zaginionych pokoleń przeszła od jednego do drugiego jest węzłem duchowym, jest symbolem spójni łączącéj dawniejszą cywilizacyę z nowoczesną, dzisiaj z jutrem.

Ten.





Ludwik Sztyrmer.*)

VII. Rok 1831/32.

O godzinie 5-éj wieczorem w tenże wtorek, 22 lutego znajomi nasi wyruszyli z pod Grochowa i przez Mińsk, Kałuszyn przyszli do Siedlec w piątek, mocno eskortowani. Dano im kwaterę na poczcie. Matki Sztyrmera nie było już wtedy w Siedlcach, mieszkała u brata swego w Łęczycy; znajomemu Ludwik zostawił kartkę, by ją przesłał matce, ale dowiedział się później, że prośba jego nie została spełniona. Żołdu pobierali 50 groszy (rubel asygnacyjny) na dzień. Po kilku dniach odpoczynku udali się znów w drogę pieszo.

W czasie pochodu doznawali oznak i dowodów spółczucia. W Międzyrzecu oficer konwoju tyle był dobry, że poszedł z nimi na wieczór do burmistrza, gdzie pozostałe wdowy, żony oficerów 3-go pułku ułanów, panie Skarbkowa i Majewska, młode, przyjemne kobiety, „wyczerpały wszystkie myśli dobrych serc swoich“, aby wieczór ten uczynić przyjemnym. W Białéj żona kapitana Dankowskiego, idącego wraz z Sztyrmerem, przyjechała go pożegnać, z synkiem małym.

Opuszczając strony rodzinne, miał Sztyrmer 22 lat niespełna, całego zapasu około stu zł., kilka koszul w mantelzaku i pamiątki od Emilii na piersiach.

Po kilku dniach pobytu w Brześciu, wyruszył on wraz z towarzyszami w drogę do Bobrujska. Jechali bardzo powoli, gdyż z niemi szła pieszo partya około 80 żołnierzy; często téż z nudów, jeżeli było sucho, przebywali cały etap piechotą. Rzeczy ich leżały na podwodach; a oni sami po dwu lub trzech (było ich razem 10, z których 2

---

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. październik r. b.

zostało w Słonimie z powodu choroby) mieścili się na jednéj furce, do któréj nieraz wół zamiast konia był wprzężony. Podróż trwała prawie cały miesiąc, nie obfitowała w jakieś ważniejsze wypadki; obchodzenie się konwoju zazwyczaj znośne, zachowanie się ludności bez wyjątku przyjazne; rozmowy spólne, czasami burzliwe, czasem miłe i przyjacielskie—oto ogólna jéj charakterystyka. Sztyrmer pomimo młodości, rozwinął tu jeszcze więcéj niż poprzednio swoję skłonność do refleksyi; zastanawiał się nad charakterem swoich towarzyszy; bolał nad tém, że niektórzy nie mieli dosyć godności lub oddawali się pijaństwu, zbierał rysy znamienne z osób, z któremi przypadkowo się zapoznawał.

Oto parę szczegółów wybitnych, zapisanych przez Sztyrmera w dzienniku z czasu téj podróży.

W Słonimie dwu towarzyszy pozostało; ale natomiast przyłączono tu inną partyę, złożoną z samych dobrych kolegów, z pomiędzy których Sztyrmer polubił szczególniéj Karola Lipińskiego, podporucznika z 4-go pułku strzelców konnych.

Po za Słuckiem przepędzili bardzo mile dwa dni we wsi Budyniczach. Dziedzic jéj, marszałek Daszkiewicz, wyjechał, lecz żona i rodzina podejmowali ich wielce uprzejmie. Marszałkowa, bardzo rozsądna i przyjemna kobieta, zajęła starszyznę; młodzież zbliżyła się do panien; Sztyrmer mianowicie do Kassyldy Owsiannéj, kuzynki Daszkiewiczów. Ojciec jéj służył w wojsku polskiém, i w obłąkaniu chciał córki swe pozarzynać; uratowano je, lecz on sam brzytwą się zarznął. Kassylda była to młodziutka 15-letnia panienka, rezolutna jednak. Umizgał się do niéj Ludwik, ale nieśmiało i z pomieszaniem. Znalazłszy tam pod ręką „Dziady“ Mickiewicza, czytał je głośno i deklamował, robiąc dalekie aluzye do okoliczności. Przekonał się przytém, jak mało znanym był jeszcze r. 1831 wielki poeta na téj ziemi, którą opiewał. Kassylda mówiła, że „Dziady“ to bardzo ładna książeczka i że ją wraz z siostrą Józefiną często „z nudów“ czytają, dodając: „bo widzi pan, my z nudów i fajkę palimy i jeździmy konno i polujemy nawet“. Po obiedzie przesiedział Sztyrmer około godziny sam jeden z trzema pannami w osobnym pokoju; ale brakowało mu prawie przedmiotu do rozmowy; cały ten czas pisał pannom piosneczki. Na odjezdném pożegnał się z Kassyldą czule, to jest za pomocą wierszy Mickiewicza, i ze łzami, które i w oczach całéj téj dobréj rodziny błyszczały. Gdy się zatrzymano w miasteczku Głusku na „dniówkę“, rozmarzony Sztyrmer przespacerował cały wieczór w miléj rozmowie z towarzyszem Chorkowskim; mówili dużo o Daszkiewiczach; potém przesiedzieli noc całą aż do godziny czwartéj rano, pijąc czystą herbatę i gawędząc; po

jedenastéj szklance napisał Sztyrmer wiersze do Kassyldy. Jakież było jego zdziwienie, gdy nazajutrz obie panny Owsianne, jadąc do ciotki, zatrzymały się naumyślnie w Głusku. Mówił z niemi naprzód na ulicy; potém poszli razem do kościoła ks. bernardynów; pożegnał je w domu panien maryawitek, oddawszy Kassyldzie pisaną do niéj poezyę; widział w jéj oczach, że serce jéj bierze dość udziału w jego losie. Obie panny napisały mu swe imiona na kartce papieru. I w Bobrujsku, po dwu miesiącach, odebrał jeszcze Sztyrmer od nich „bilecik francusko-litewski", z którego jednak wyczytał dobroć ich serca i pamięć.

Dnia 6 kwietnia przybyli do twierdzy bobrujskiéj. Dni wlokły się tu bardzo jednostajnie; jednak nie nudzono się, owszem często bywało bardzo wesoło. Rozmowa towarzyszów... krążyła ciągle około jednego przedmiotu, który wszystkim stał w myśli, i nie wyczerpywała się nigdy; herbata zaś, lody lub ciastka, które kiedyniekiedy przynieść sobie kazali, podtrzymywały ich dobry humor, mający swe istotne źródło w ich młodości. Ponieważ nie było książek, jedynėm zatrudnieniem ich mogła być gawęda, fajka i gra w karty. Pragnienie żywszego przywiązania obudziło się teraz nanowo w Sztyrmerze. W drodze mniéj, w Bobrujsku więcéj odczuwał potrzebę podzielania swych uczuć. Karol Lipiński, mający „duszę anioła", Aleksander Niewiarowski, „dobra niewinna istota", Falęcki, człowiek „żywego charakteru, burzliwych namiętności" zajmowali jego serce i tém silniéj go ku sobie pociągali, im który był oporniejszym.

Sztyrmer wraz z kilku innymi opuścił Bobrujsk 19 sierpnia 1831 r. nie wiedząc zgoła, dokąd udać się mają. Okazało się, że dążyli do Wiatki. Zostawali pod konwojem, ale bardzo małym, często z chłopów złożonym; byli prawie swobodni, na „dniówkach" mogli sami wychodzić na miasto, gdy się im podobało. Przechodzili wiele miejscowości historycznych (Orsza, Smoleńsk, Dorohobuż, Możajsk i t. d), spotykali dość często Polaków, a zwłaszcza Polki, kłócili się nieraz o drobiazgi. Sztyrmer miewał tu i owdzie jakąś awanturę miłosną (z Katarzyną Grigoriewną, rozmawiającą z nim tylko po francusku), robił znajomości w dystyngowanėm towarzystwie. Szczególniéj utkwiła mu w pamięci generałowa Nadieżda Paniutin, któréj mąż był przy feldmarszałku w Warszawie. Młoda, brunetka bardzo przystojna i miła, wesołego i żywego temperamentu, „łącząca z najwykwintniejszym tonem kobiety światowéj wszystkie bogactwa dowcipu i wdzięków", była dla Sztyrmera „pierwszą kobietą uniwersalną", jaką poznał; czuł się szczęśliwym widząc, że w rozmowie z nim smakowała i przyjmowała jego „dalekie i nieśmiałe poetyckie zaloty".

Po czterech z górą miesiącach dobili się podróżni do Wiatki, gdzie gubernatorem był Reszkiewicz, Polak. Zastał tu Sztyrmer swoich kolegów ze Szkoły Aplikacyjnéj, książąt Władysława i Borysa Czetwertyńskich, żyjących na wielką skalę. Przeznaczone mu było na mieszkanie miasteczko Kotelnicz, gdzie stanął 10 stycznia 1832 r. i najął kwaterę wraz z Falęckim. Z początku stołowali się u gospodyni, potém sami sobie jeść gotowali. Ścisła ta przyjaźń trwała jednak niedługo, chociaż miała charakter romansu: kłótnie i godzenia się, namiętne wybuchy i zobojętnienia. W rozerwaniu stosunków Sztyrmer sobie główną przypisuje winę; chciał zwyczajem swoim przewodzić nad przyjacielem, przekonawszy się o jego namiętném do siebie uczuciu. „Serce Falęckiego—powiada on—jest nieocenione; nikt dotąd nie przywiązał się do mnie tak mocném, delikatném, kobiecém prawie uczuciem. Człowiek ten stanowi dla mnie epokę, bo pewno podobnego nigdy nie znajdę; posiadał on uczucie Kierwińskiego, tylko połączone z urokiem męskiego dojrzałego charakteru i niewieściéj czułéj pieszczoty. Charakter jego był zbyt żywy, zbyt *minutieux*, zbyt nierówny, aby się mógł długo zgodzić z moim despotyzmem; charaktery nasze kilka razy się rozchodziły, lecz serca zawsze mimowolnie były przy sobie. Człowieka tego długo nie zapomnę“.

Skromne wieczorki, rozprawy, przykra choroba („*au diable le plaisir!*“), przyjazd polki pani Meckhold z synem Zborowskim pokazującéj sztuki czarodziejskie, rywalizacya z kuglarzami żydami Güldenbergiem i Baronem, którzy się nazywali Polakami, częste wizyty u córki Barona Julci, dopóki się nie przekonał, że tu nic darmo, bo jeśli chcesz dostać na pamiątkę pierścionek, to musisz go zapłacić lub dać coś droższego; pisanie wreszcie uwag nad ludźmi — to były okoliczności, wśród których upłynęło życie zewnętrzne Sztyrmera przez kilka miesięcy pobytu w Kotelniczu.

Wewnętrznie, żył z początku nadzieją powrotu do kraju; lecz widząc, że ona się nie spełnia rychło, powziął już w końcu lutego 1832 r. myśl, która była niezgodna z opiniami wśród jego towarzyszów ugruntowanemi, „przyjęcia służby w wojsku egzystującém“. Ponieważ jednak od czasu do czasu wracały nadzieje, słowami Horodniczego potwierdzane, nie wyjawiał téj myśli i dopiéro w początkach kwietnia z nią wystąpił, wywołując straszne oburzenie. Tymczasem towarzysze, w innych miejscowościach zamieszkali, wchodzili do służby (Szuwalski, Butryn, Tedwen, Miciński). To dodało Sztyrmerowi odwagi do zamienienia myśli swéj w czyn. Dnia 10 maja został przyjęty do wojska ruskiego. Dnia 15 maja 1832 r. w Wiatce przysiągł na wiernopoddaństwo w przytomności gubernatora. Jako miejsce

służby przeznaczono mu Finlandyę. Otrzymawszy od kapitana Gressera list polecający do generała Połozowa w Petersburgu, opuścił Wiatkę 18 maja.

VIII. Na służbie w Finlandyi (1832—1834).

Na Orłów, Kostromę, Nową Ładogę, Petersburg przeleciał wraz z kolegą Leśniewskim 1200 wiorst pocztą w ciągu dni dwudziestu. Dowiedziawszy się w Petersburgu od gen. Połozowa, że dostanie roczny żołd 600 rubli na umundurowanie się, rozstał się we Fridrichshamm z Leśniewskim, przeznaczonym do Wilmanstrandzkiego pułku, a sam 9 czerwca 1832 r. zameldował się w Wiborgu swemu dowódzcy podpułk. Douving'owi.

Sam jeden, wśród zupełnie obcego otoczenia, usposobieniu tylko swemu zawdzięczał, że mógł tu wytrwać lat blisko trzy. Dla przypomnienia sobie stron rodzinnych, a może i dla wprawy w języku polskim, którym z nikim rozmawiać nie mógł, zaczął od 17 lutego 1833 roku spisywać swoje pamiętniki. Prowadził je starannie i szczegółowo, choć mową już nieco skażoną, do 29 listopada t. r. i w dzień ten pamiętny rzucił raz jeszcze okiem na chwile upłynione. Opinie jego o wypadkach krajowych uległy zmianie, rewolucyę nazwał „maligną narodu“ i bolał nad jéj skutkami.

Kraju swego rodzinnego nie miał już ujrzéć Sztyrmer nigdy; ale nie zrezygnował bynajmniéj z poszukiwania nowych stosunków, nowych uczuć i nowych przyjemności. Mając w usposobieniu swojém wielką zdolność do oswajania się z najgorszém nawet położeniem, będąc pełnym sił żywotnych, jako 25-letni młodzieniec, nie mógł zatonąć w bezczynnéj melancholii. Zżył się z nowém otoczeniem, prawdopodobnie znalazł rozrywkę wśród towarzyszów służby, wdał się z nimi w rozmowy, zabłysnął talentem prowadzenia dysput i tworzenia dowcipnych wierszy, zyskał uznanie i może poważanie swoich przełożonych.

Dalszy ciąg wspomnień, rozpoczęty 27 lutego 1834 r., lakonicznością swoją i urywkowością zdaje się świadczyć, że Sztyrmer nie miał już przy spisywaniu ich tak żywego, jak przedtém, bodźca i zamiast szczegółowo odtwarzać dzieje licznych swych przygód, poprzestawał na suchych notatkach, jakie w ciągu podróży i pobytu w Kotelniczu porobił. Widać, że duch go porywał ku nowym widnokręgom, że życie rzeczywiste zaczęło go zajmować o tyle, iż nie potrzebował dla pokrzepienia się ulatywać w przeszłość. Doprowadziwszy swe notatki do chwili przedstawienia się swemu dowódcy, urwał wątek zu-

pełnie i pozostawił niezapisanym duży zeszyt albumowy, który widocznie w tym celu przygotował.

Jeżeli można sądzić po starości papiéru, po omyłkach ortograficznych, niewłaściwie użytych wyrazach i wyrażeniach, wreszcie po dedykacyi, to w Finlandyi, zdaje się, powstała powieść w listach p. n. „Marzyciel, listy z twierdzy finlandzkiéj“, pisana w języku ruskim i przechowana wśród rękopismów autora. Jestto pełna uniesień, stylem przypominającym Marlińskiego kreślona, sentymentalno-smutna historya miłosna, składająca się z 31 niezbyt długich ustępów. Brak jéj przedewszystkiém prostoty; autor sądził, że potrafi wywrzéć silne wrażenie dobranemi i wyszukanemi frazesami i podniesieniem nastroju do wysokiego tonu; bohatér w charakterze swoim miał podobieństwo do Sztyrmera. Być może, w swoim czasie, i w otoczeniu, w którém żył autor, mogła miéć ta powieść powodzenie. Jak widać z przedmowy, w któréj się tylko za wydawcę przypadkowo znalezionych listów przedstawia, Sztyrmer miał na celu druk téj powieści, zawczasu bowiem chce się przed pociskami krytyki zabezpieczyć; — prawdopodobnie jednak nigdy drukowaną nie była.

Z dedykacyi „towarzyszom“ dowiadujemy się, że Sztyrmer chciał tą powieścią upamiętnić miłe chwile pogadanek, w których wypowiadano wzajemne swoje marzenia, i to wówczas, kiedy się z tymi towarzyszami rozstawał; oni szli bawić się rozmaitością widoków Petersburga, on zaś miał się udać do nudnych koszar w mroczném Likalo. Niebawem wszakże i on także przeniósł się do stolicy cesarstwa.

IX. W akademii wojskowéj w Petersburgu. Ożenienie się (1834—1840).

Łatwo zrozumiéć, że ambitny porucznik artyleryi nie mógł się zadowolnić podrzędném stanowiskiem; dawniejsze marzenia o sławie, o wyniesieniu się rychłém przy pomocy nauki i talentu musiały często nawiedzać cichą jego kwaterę na Kassie w Wiborgu. Jedynym środkiem rychlejszego wznoszenia się po szczeblach karyery wojskowéj było — pomijając protekcyę, któréj wtenczas Sztyrmer posiadać nie mógł, — wyższe specyalne wykształcenie. Uzyskawszy tedy od przełożonych zgodę na swój zamiar, udał się w końcu 1834 r. do Petersburga, by w tamecznéj akademii wojskowéj dopełnić swe studya i zdać odpowiednie egzamina. Jak długo w zakładzie tym pozostawał, nie wiemy, ale że się odznaczył i zwrócił na siebie uwagę przełożonych, to pewna.

Z papierów, jakie mam przed sobą, okazuje się, że nietylko fachowe nauki wówczas go zajmowały, lecz także filozofia i literatura

piękna. Dla wyrobienia pojęć, dla wprawy w językach, pisywał wtedy artykuły po rusku i po francusku, poprawiane co do ortografii i stylu przez obcą jakąś rękę. Artykuly te są trojakiego rodzaju: 1) filozoficzne, 2) krytyczno-literackie i 3) beletrystyczne. Wszystkie one, zdaje się, pisane były w r. 1835, ręką wprawną, bardzo pewną siebie, z rzadkiemi przekreśleniami; widocznie to, co autor chciał wypowiedzieć, było dostatecznie jasno sformułowane w jego umyśle, tak, że potrzebował tylko spisywać uwagi snujące się systematycznie z jednego wątku.

Najobszerniejszy z artykułów filozoficznych (9 kart arkuszowych) ma napis: „*Coup d'oeil sur la marche de la civilisation des peuples*“. Miał tu Sztyrmer na widoku rozwój rozumu, uczucia i wyobraźni u główniejszych narodów, które w pochodzie cywilizacyjnym stały na przedzie; przeważnie wszakże zwracał uwagę na dzieje filozofii, potępiając bardzo ostro metafizykę, jako wytwór „wyobraźni“, który w połączeniu z pojęciami religijnemi stawał się nieraz szkodliwym dla oświaty; lecz nie będąc bynajmniéj wielbicielem „wyżerającéj uczucia święte“ filozofii francuskiéj wieku XVIII. Nie ma w tym poglądzie błędów ważnych, ponieważ w szczegóły się nie wdawał Sztyrmer, ale nie ma téż jakichś myśli świeżych, któreby zasługiwały na zaznaczenie. Najogólniejszą myślą, jaką tu wyraził, jest, że „działalność rozumu ludzkiego była prawie zawsze odwrotnie proporcyonalną do działalności uczucia i wyobraźni“. O znaczeniu wieku XIX nie pisał, gdyż na to, jak powiada, potrzebaby żyć w wieku XX-ym.

W języku ruskim znajdujemy dwa wypracowania filozoficzne: jedno o organach duszy, drugie o wyobraźni. W pierwszém rozwijał myśl, całkiem teoretycznie, że są dwojakiego rodzaju organa, jedne dla uczucia („organa serca“), drugie dla myśli („organa mózgu“). Organa uczucia łączą się w sercu w węzeł i stamtąd wychodząc jako nić łączą się z węzłem organów myśli w mózgu. Związek między rozumem i uczuciem wytwarza poczucie moralne. W rozprawie o wyobraźni, wyróżnia wyobraźnię od fantazyi; pierwszéj naznaczając wybitne miejsce we wszystkich działaniach umysłowych; drugiéj rolę widząc w marzeniach każdego człowieka, w hipotezach naukowych i w ideałach poetycznych. I wyobraźnia ma według Sztyrmera własne organa, lecz położenia ich i stosunku do organów myśli lub czucia nie określa.

Artykuł krytyczno-literacki jest jeden tylko; na 8 kartach arkuszowych traktuje w nim Sztyrmer o „romantyzmie“, określając naprzód, jaki był charakter poezyi klasycznéj, następnie, z jakich przyczyn klasycyzm nie mógł się dłużéj ostać i wreszcie, co stanowi zna-

mię poezyi nowéj, romantyczną zwanéj. Wychodząc z założenia, przyjętego już natenczas powszechnie, że poezya najściśléj zależy a przynajmniéj zależéć powinna od charakteru narodu i że w miarę zmian w nim zachodzących i ona zmieniać się musi, Sztyrmer przedstawia historyczny zarys rozwoju twórczości poetyckiéj u różnych narodów i przyznając klasycyzmowi należne mu a wielkie w dziejach znaczenie, udowadnia, że od połowy wieku XVIII zaszły wielkie zmiany w życiu polityczném, społeczném i towarzyskiém narodów europejskich, jak niemniéj we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiéj, że zatém klasycyzm, wobec tak zmienionych warunków, utrzymać się daléj nie mógł i musiał ustąpić miejsca nowemu nastrojowi, który najpierw w Anglii i Niemczech się objawił. Nazwę „romantyzmu“ uważał za niewłaściwą dla tego nowego nastroju, a poezyą narodów, które naśladowały tylko Anglików i Niemców, za równie nieodpowiednią dla tych narodów, jak i klasycyzm; każdy bowiem naród musi miéć poezyą własną, odpowiadającą klimatowi i położeniu geograficznemu, oraz rodzajowi życia politycznego, społecznego i towarzyskiego.

Słuszność tych wywodów nie ulega wątpliwości; a miały one swoje znaczenie wobec tych podrzędnych, ale zapalonych romantyków, którzy osnuwali poezyę nowoczesną na wątku średniowiecznym, lub na fantastyce ludowéj.

Beletrystycznych kawałków mamy w papiérach Sztyrmera dwa i to w języku francuskim. Jeden p. n. „*La Mort*“, ułożony jest w stylu deklamacyjnym i zawiera zachwyty nad znaczeniem snów i śmierci; kto nie umiéra, ten szczęścia zaznać nie może, dowodem Żyd wieczny tułacz, Ahaswer. W drugim urywku, bez tytułu, Sztyrmer żartobliwie opowiada, iż go znalazł na ziemi pod stołem w kwaterze opuszczonéj przez swego poprzednika oficera, który, jak się okazuje z wierszy i prozy jego, musiał miéć „serce wysuszone nieszczęściem, jak p. de Lamartine, a głowę ogrzaną wulkanem, jak wicehrabia de Châteaubriand“; poczém podaje 4 strofy wierszowane, oraz szereg rozmyślań nad dolą człowieka w ogóle, a uczonych i poetów w szczególności. Przytaczam tu jedną strofkę na próbkę wierszowania francuskiego i jeden ustęp prozaiczny, charakteryzujący pogląd Sztyrmera na los.

Po odmalowaniu położenia żołnierza, oczekującego zmiany rontu wśród marzeń o dniach piękniejszych, powiada autor:

Etranger, solitaire
Dans ce monde immense,

Je chéris la chimère
Des rêves de l'enfance

Et j'aime à le croire
Que lorsque l'homme s'endor(t)

Son âme au ciel va voir
Un âge plus doux encor(e).

W pełnych pesymizmu „rozmyślaniach nocnych“ autor mówi między innemi:

„Gdybym chciał połączyć mój głos z krzykiem pospólstwa i wzmocnić jeszcze jednym tonem hymn oburzenia, brzmiący od tylu wieków, mógłbym z większém niż ktokolwiek prawem wybuchnąć żałośliwie przeciwko losowi. Ale na nieszczęście, pojęcie losu, tego wszechmocnego bałwana ludzi pospolitych, związane z unicestwieniem mojéj wolności moralnéj, sprzeciwia się memu wewnętrznemu przeświadczeniu i widzę z żalem, że człowiek w niespokojnéj działalności swojéj, w niespełnianiu się swych życzeń i w rozpaczach swoich czepia się urojenia, przeklina widmo, ażeby nie widziéć całéj okropności swego przeznaczenia tu na ziemi i przygłusza, oskarżeniem czynnika urojonego, głos straszliwéj prawdy, która się w duszy jego budzi.“

Dodać winienem, że pod temi nocnemi rozmyślaniami położył Sztyrmer po raz pierwszy pseudonim, który późniéj częściowo służył mu w jego krytykach literackich. Wypisał go tu w sposób następny: „Berthold = Canon = de la Bombe“; późniéj Bertolda przemienił na Gerwazego.

Oto wszystko, co nam wiadomo o literackich zajęciach Sztyrmera w pierwszym roku pobytu w Petersburgu. Co daléj robił, w jakich bywał towarzystwach, jakie porobił znajomości, jak i kiedy się dosłużył rangi pułkownika sztabu generalnego i został naczelnikiem wydziału w departamencie osad wojennych i zarządzającym kancelaryą akademii wojskowéj, nie wiemy dotąd zgoła. To tylko pewna, że około r. 1838 ożenił się z córką lekarza z Witebska, urodzoną r. 1815, wykształconą w kijowskim instytucie panien, Eleonorą Janowską. Datę powyższą bierzemy z książeczki rękopiśmiennéj, oprawnéj, zapisanéj w małéj tylko części, a mającéj ogólny napis: „*L'hymen.*“ Z niéj téż zaczerpniemy materyału do scharakteryzowania ówczesnych poglądów Sztyrmera na kobiéty, oraz na pożycie małżeńskie.

Wśród płci pięknéj wyróżniał on dwie wybitne grupy: damy wielkoświatowe i kobiéty stanu średniego. Pierwsze posiadają, zdaniem jego, w stopniu najwyższym sztukę podobania się mężczyznom, zachwycania i czarowania najpoważniejszéj nawet wyobraźni. „Subtelność umysłu, błyskotliwego i ozdobionego dostateczném wychowaniem, smak wykwintny; cudowny talent stosownego znalezienia się; umiarkowany ton salonowy, rozmowa zawsze żywa, elegancka, pełna dowcipu i poezyi; szczególny wdzięk we wszystkich giestach i ruchach; jedném słowem, powab je otaczający czyni je naprawdę uroczemi czarodziejkami, istotami powietrznemi, które tak kochamy w pieśniach poetów. Są one zachwycające, to prawda! ale są one zarazem pospo-

licie zalotne, pełne kaprysów, złośliwe, częstokroć nieznośne dla mężów, a zawsze tak chłodne, jak dyamenty w ich stroju. To też kocha się je tak, jak klejnoty, z początku przez czas jakiś namiętnie, a potém jak stary pierścionek.“ Inaczéj się rzecz ma z kobiétami stanu średniego. Są to „stworzenia niewinne, z sercem tak czystém jak serce aniołów, z duszą potrzebującą się wypowiedzićć; kochają one namiętnie, poświęcają wszystko dla miłości i żyją tylko dla mężów. Wzruszenie nas ogarnia, gdy widzimy ich poświęcenie bez granic, ich dobroć anielską, słodycz, rezygnacyą, pobłażliwość na błędy męża, nakoniec wzniosłą poezyę miłości stałéj i bezinteresownéj. Są one porywające! to prawda, ale niestety, ileż to razy też same kobiéty, nie otrzymawszy wychowania, albo zapomniawszy to, co niegdyś umiały, stają się po kilku miesiącach małżeństwa pospolitemi niewiastami, niezdolnemi do mówienia o czémś innérn, jak o kuchni lub sukniach, jeśli nie bawią się plotkami. Biédne stworzenia! tracąc miłość mężów, same sobie winne; mężczyzna bowiem rozumny po przejściu pierwszego ognia namiętności nie może kochać kobiéty, rozczarowującéj go na każdym kroku.“

Jakiż więc jest ideał kobiety, podług Sztyrmera? jaką żonę pragnąłby posiadać? Oto prosił Boga, ażeby mu zesłał towarzyszkę, którąby miała, „serce i zasady“ kobiety stanu średniego, a „resztę“ kobiety wyższego towarzystwa. Jego zdaniem, pomiędzy życiem kochanków i życiem małżonków nie powinnaby istnieć inna różnica jak pomiędzy młodością a wiekiem dojrzałym; „małżeństwo jest to miłość trwała i poważna.“ Kochankowie kłócą się i przepraszają bardzo łatwo, dodaje to nawet pewnego uroku w miłości, ale w małżeństwie najmniejsze nieporozumienia są szkodliwe. Wszystkie drobnostki, o które mało się dba w miłości, stają się ważnemi i mogą mieć bardzo doniosłe następstwa w stanie małżeńskim. Dobra żona zawsze będzie poważniejsza (*plus sérieuse*) od kochanki, a pierwszém jéj staraniem powinnoby być: nie robić ani mówić nic bez rozwagi. „Jesteśmy ludźmi, a więc słabymi. Słabość ta tysiącznemi sposobami potęguje się; drobnostki wywołują małe nieprzyjemności, małe wykroczenia i potém to wszystko mnoży się bez końca, a złe rosnąc z czasem odmienia najlepsze serca, gasi największe uczucia i czyni nieszczęśliwémi pary, z pozoru najlepiéj dobrane. Widziałem bardzo dobrych chłopców, dusze bardzo zacne, kierujące się najlepszemi zasadami, co ożeniwszy się z osobami kochanemi namiętnie a wielce dobremi z natury, znienawidzili je po kilku miesiącach a nawet po kilku dniach małżeństwa... Bo nie dosyć jest kochać i być dobrą; trzeba umiéć kochać i umiéć być dobrą, według sposobu widzenia tego, z kim ma się całe życie przepędzić.

Jestto wiedza wielka; powinnaby się ona stać przedmiotem rozmyślania dla każdéj mężatki. Przedewszystkiém zaś powinno się przeniknąć przekonaniem, iż w stanie małżeńskim drobnostki przestają być drobnostkami, ponieważ się często powtarzają, i że życie codzienne źle zharmonizowane może z czasem zniszczyć miłość, szacunek a nawet grzeczność między małżonkami.“

Pogląd ten na małżeństwo skłonił Sztyrmera do spisania w formie paragrafów (dochowało się ich 19; a właściwie 18, gdyż jeden środkowy wycięty; ja przynajmniéj tyle ich otrzymałem) szeregu przestróg dla żony, celem ostrzeżenia jéj o szkopułach szczęścia małżeńskiego („*Les ecueils du bonheur conjugal*“). Radził jéj odczytywać te przestrogi, w których zawarł charakterystykę samego siebie i płci pięknéj, po tysiąc razy, dodając, żeby uwag o kobietach nie brała wprost do siebie, gdyż one odnoszą się do całéj płci pięknéj wogóle.

Przystępując do opisu cech swego charakteru, na pierwszém miejscu kładzie tę, że zwykł brać wszystko poważnie a równocześnie jest aż zanadto wrażliwym; stąd naturalną było rzeczą, że to, co inni poczytywali za nic, mogło go obrazić, zranić, dotknąć lub zmartwić. „Poróżniłem się — powiada — nieraz z osobami bardzo drogiemi, które z pewnością nie chciały mi sprawić bólu, ale które działały lub mówiły lekkomyślnie o tém, co mnie się wydawało rzeczą ważną“.

Domaga się następnie zupełnéj od żony szczerości nawet w najmniejszych drobnostkach. „Zraniony tylokrotnie w życiu — mówi — obłudą i kłamstwem, nie znam nic bardziej oburzającego nad brak szczerości. Niepodobna mi szanować kogokolwiek, kto mi raz skłamie; nienawidzę zaś każdego, kto się posuwa do obłudy lub jeszcze daléj. Żeniąc się, marzeniem mojém najdroższém jest, żebym znalazł nakoniec jedyną osobę, jedyną duszę w świecie, któraby ze mną była szczera, któraby nie miała przedemną żadnéj tajemnicy, żadnéj myśli ukrytéj. Wobec mego nieufnego charakteru, pomyśl, coby się ze mną stało, coby się stało z całém naszém życiem, gdybym się miał zawieźć w tém oczekiwaniu. Jestem krańcowy w wielu rzeczach, a tu wymagam od ciebie szczerości bez granic, bezinteresownéj do tego stopnia, że gdyby mi wypadło mieć tajemnice przed tobą, chciałbym, żebyś ty przedemną nie miała żadnych. Szczerość, żal okupują każdy błąd, a nawet więcéj niż błąd... Jeżeli zobaczysz w postępowaniu mojém cokolwiek, co ci się nie podoba lub bolesném będzie, zaklinam cię, żebyś się nie martwiła potajemnie, lecz wypowiedziała szczerze i natychmiast swoje zdanie. Kocham cię ponad wszelki wyraz i wątpię mocno, żeby się mógł zdarzyć wypadek, w którymby przy twéj słodyczy trudno ci było poprawić mnie z błędów; przeciwnie jestem przekonany, że możesz zrobić ze

mną wszystko. Ale jeżeli zechcesz uczynić mi uwagę nad moim błędem, na miłość Boga, wybieraj dobrze chwilę stosowną. Mam charakter zbyt gniewliwy (*irrascible*), ale nie jestem uparty, możesz więc zrobić ze mnie wszystko, jeżeli przemawiać będziesz łagodnie i w chwili odpowiedniéj. To jest w mocy twojéj, gdyż niebo dało ci serce anielskie; a co do wyboru chwili, płeć twoja umie ją cudownie odgadnąć. Powiedziano nie bez słuszności, że kobiety są najsilniejsze wówczas, gdy się zbroją w swoją słabość. Im bardziej okażesz się uległą, tém bardziéj będziesz w rzeczywistości wszechmocną. Wielka ta reguła jest może podstawą szczęścia małżeńskiego i zdoła zapewnić żonie wieczną miłość małżonka. Tak ją łatwo zachować, a jednak ileż to kobiet o niéj zapomina, stając się nieszczęśliwemi z własnéj winy... Gdyby mi się zdarzyło gniewać na ciebie i okazywać to twarzą lub zaprzestaniem rozmowy, zrób zawsze krok pierwszy do zgody; i to natychmiast, chociażbym nie miał słuszności; nie czekaj, żebym ja to uczynił; w początkach niewątpliwie prosiłbym cię o przebaczenie, ale czułbym się dotkniętym w miłości własnéj; późniéj zaś.... Bóg wié, lecz nie doprowadziłoby to do niczego dobrego.“

Ostrzega daléj Sztyrmer żonę, żeby go nie męczyła prośbami, jeżeli raz powié, że czego zrobić nie może; żeby się nie rządziła duchem przeciwieństwa, gdyż ta wada główną była przyczyną złéj opinii, jaką sobie o kobietach wyrobił; żeby nie usprawiedliwiała swoich błędów powoływaniem się na błędy męża, gdyż delikatność i takt kobiet polegają przedewszystkiém na zapomnieniu omyłek ukochanego; żony inaczéj postępujące stają się mężom nieznośne; żeby zawsze starannie była ubrana, czysto i ze smakiem, gdyż nie pojmuje, jakby mógł kochać kobietę, któraby schludności i skromnej elegancyi nie zachowywała, któraby bez koniecznéj potrzeby w negliżu się ukazywała.

Ciekawe są uwagi Sztyrmera o swojéj skłonności do wykonywania planów jak najrychléj. Dopóki plan taki, chociażby się odnosił do spraw najdrobniejszych, nie był urzeczywistniony, dręczył go i nie dawał spokoju.[1]) „To téż — pisał w przestrogach — zaklinam cię, droga przyjaciółko, kiedy poproszę o zrobienie czego lub kiedy dam ci jakieś zlecenie, nie zapominaj o niczém, nie odkładaj na jutro, na pojutrze, lecz staraj się spełnić to jak można najszybciéj. Nieszczęśliwy to zwyczaj u kobiet odkładania wszystkiego na późniéj: wada ta zawsze mię raziła. W dzieciństwie jeszcze byłem często świadkiem scen między memi rodzicami, pochodzących z tego jedynie źródła.“

---

[1]) Ten sam rys charakteryzuje Karola, bohatera „Duszy w suchotach.“ Zob. „Powieści nieboszczyka Pantofla“ II, 160.

Jeszcze ciekawsze są przestrogi odnoszące się do stosunków codziennych między mężem a żoną i co do stopnia ukształcenia kobiet. Sztyrmer nie podzielał wcale rozpowszechnionego zdania, jakoby w małżeństwie miała panować najzupełniejsza poufałość, bez żadnego krępowania się formami. Przeciwnie twierdził on, że „szranki grzeczności i najściślejsze zachowywanie tego, co wypływa z różnicy dwu płci, są warunkami nieodzownemi“ szczęścia małżeńskiego. „Wiele kobiet—mówi—powié ci, że to rzecz śmieszna miéć męża grzecznego, zachowywać pewne ceremonie względem męża i t. d.; ale ja widziałem w swém życiu tysiące nieszczęść domowych, spowodowanych jedynie zbyt wielką poufałością małżeństw... Naturalnie, porwany miłością i swemi skłonnościami, naruszę niekiedy sam to prawidło, ale na miłość Boga, zatrzymaj mię za każdym razem i nie pozwól mi mówić ani robić nic przeciwnego zwyczajom dobrego towarzystwa. Będę się może gniewał przez chwilę, ale będę ci wiecznie wdzięczny, a ty będziesz pracowała na własne swe szczęście. Ze względu na mój charakter ma to prawidło taką doniosłość, jakiéj sobie nawet nie wyobrażasz... Widywałem panny doskonale wychowane, których umysł ozdobiony był staranném wykształceniem, a które zostawszy żonami zaniedbywały się zupełnie, zapominały wszystkiego, czego się uczyły, traciły talenty; z zachwycających dziewic robiły się kobiety pospolite, mało różne od swych kucharek. Czyż w taki sposób można zachować miłość męża? Nie, bezwątpienia. Mężatka potrzebuje rozwinięcia talentów swych daleko więcéj niż panna. Powinna bezustannie zajmować się ozdabianiem swego umysłu, ażeby tracąc z czasem wdzięki ciała, mogła je okupić innemi zaletami i miéć zawsze środki podbicia sobie męża. Zgadzam się, że mężatka ma więcéj zajęcia niż panna; ale czyż to tak dużo potrzeba czasu, aby przeczytać dobrą książkę, zagrać na fortepianie, narysować co? Czyż niepodobna przenieść korzystnego towarzystwa kobiét dobrze wychowanych nad kompanią tych dam, co umieją tylko obmawiać i psuć harmonią innych stadeł! Czyż są niezbędnemi te kobiéty bez wychowania, napojone maksymami nizkiemi i roznoszące zarazę wszędzie, gdzie się pokażą?... Według mnie każda kobiéta, która chce sobie zachować miłość męża, jeżeli ten mąż jest sam cokolwiek ukształcony, powinna znać koniecznie: *a*) język i literaturę: polską, francuską, ruską i niemiecką; *b*) historyę starożytną, średniowieczną i nową, *c*) mitologię, *d*) muzykę. Zresztą przy ciągłém kształceniu się w powyższych wiadomościach, każda nauka, każdy talent nowy, będzie dla mnie bardzo cenny w żonie“.

W dalszych przestrogach radzi małżonce nadzwyczajną ostro-

żność w wyborze przyjaciółek i znajomości kobiecych. „Słusznie powiedziano — mówi — że kobiety są niebezpieczniejsze dla siebie niż mężczyźni dla nich. Nie ufaj opinii kobiét znajomych i nie zapominaj nigdy, że dla małżonki najlepszemi maksymami są maksymy wyznawane przez jéj męża, gdyż one tylko zapewniają jéj szczęście życia całego. Jeżeli będziesz miała jakąś wątpliwość, zapytaj mię otwarcie, a ja ci ją rozjaśnię. Nie słuchaj tego, co ci powiedzą kobiety o swojém postępowaniu z mężami. Byłoby to dla ciebie z pewnością raczéj szkodliwe niż użyteczne, ponieważ masz męża, który nie uważając się za feniksa, wié przecież dobrze, iż co do charakteru nie jest podobny do nikogo. Mam charakter mój własny, odrębny, a więc to, co jest dobrém dla innych mężów, może nie znaleźć zastosowania względem mnie. Masz matkę, krewnych i krewne, znajomych i znajome; naturalną więc jest rzeczą, iż zechcesz niekiedy opowiedziéć im codzienne swe życie, albo zażądać od nich rady. Nie jestem temu przeciwny, proszę cię tylko, unikaj wypadków następujących: 1) Nie żądaj od nikogo, nawet od matki, rad co do zachowania się względem mnie; ja ci sam odkryję nawet moje słabości, ale na miłość Boga, nie szukaj wskazówek u kogo innego, gdyż mam wstręt do ścieżek krętych; 2) nie mów z nikim, nawet z matką, o mojéj służbie, o moich pracach w domu, o nowinach, jakie odemnie usłyszysz i t. d.; nie pisz nic podobnego w listach, gdyż tym sposobem mogłabyś mimowoli sprowadzić wielkie nieszczęście; 3) nie opisuj nikomu mego charakteru; pragnę, żeby on był tajemnicą między mną a tobą; 4) unikaj rozmowy o naszych dochodach; niech świat nie wié, czy jesteśmy bogaci czy biedni; a jeżeli będziesz musiała odpowiadać na podobne pytania, powiedz że, żyjemy z pensyi rządowéj; 5) nie pożyczaj pieniędzy nikomu w jakiéjkolwiekbądź ilości.

W ostatnich paragrafach mówi Sztyrmer o postępowaniu ze sługami, i jeszcze raz o porządku i czystości. Względem służących był on nadzwyczaj surowy; prosi więc żony, ażeby o ich wykroczeniach nie mówiła mu, chyba w razach ostatecznych, w przeciwnym bowiem wypadku musiałby ich karać zbyt często, przez co staliby się nieczułemi na karę. „Jeżeli mi się zdarzy—dodaje—silnie się na nich rozgniewać, wstaw się za tymi biednymi ludźmi; wydasz się im aniołem, a mnie oszczędzisz wybuchów gniewu, które szkodzą memu zdrowiu". Chociaż sam za czasów kawalerskich grzeszył przeciw czystości, mimowoli; wymagał, aby żona utrzymywała jaknajwiększy porządek i ochędóstwo w domu, nawet w najmniejszych drobnostkach. „Jeżeli przypadkiem—powiada—rozporządzenia twoje naruszę, łaj mię; gniewać się za to nie będę nigdy; i owszem im będziesz surowszą pod tym

względem; im bardziéj wymagającą i pedantyczną: tém szczęśliwszym mnie uczynisz“.

Takim się przedstawił sam Sztyrmer w chwili ożenienia się, zacząwszy rok 30-ty życia. Sztywny, oschły, chłodny w zewnętrznych stosunkach, a czuły nerwowo, ceniący wysoko otwartość i szczerość, chociaż osobiście zalet tych nie praktykował, srogi i szlachetny, lubo z pobudek głównie miłości własnéj, okazujący wielką stanowczość zdania raczéj dlatego, żeby go o brak wyrobionych zasad nie posądzono, aniżeli z silnego przeświadczenia o prawdzie, ulegający łatwo wpływom, ale z obawy utracenia samodzielności stojący zawsze na straży swego uczucia i umysłu, bystry obserwator z rozwiniętą przedewszystkiém zdolnością dostrzegania słabych, ujemnych stron w ludziach , nieufny i podejrzliwy, wielce troskliwy o opinię ludzi, chociaż ją w gruncie, w duszy swéj, ważył bardzo mało; był on rzeczywiście charakterem niepowszednim, różnym nietylko od ogółu, ale i od typów wybitnych i znanych. Wiedza jego, przeważnie samouctwem nabyta, nie była systematyczną, ale posiadała dość znaczną rozległość, a chociaż niegruntowna, miała cechy wyrazistości i siły, gdyż opierała się na starannéj przeróbce wewnętrznéj, dokonywanéj przez umysł skłonny do refleksyi z natury i w tym kierunku długo kształcony. Talent jego, przeważnie analityczny, lubo kiedyniekiedy i pewien stopień plastyki osiągnąć zdołał, lubował się w rozbiorze chorób duchowych, zjawisk nadzwyczajnych, z wyraźnym celem ostrzegania o nich, a nie z artystycznego jedynie w nich zamiłowania.

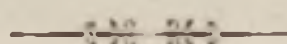
Tak usposobiony i tak przygotowany wystąpił Sztyrmer na szerszą widownię w dziesięć lat po wydrukowaniu pierwszego swego artykułu o magnetyzmie zwierzęcym.

(d. n.). *Piotr Chmielowski.*





Czy znasz?...



Czy znasz ten kraj,
Gdzie kwiaty złote kwitną —
Gdzie nieba pierś
Ma szatę wciąż błękitną?
Gdzie ziemia drży
W miłosném upojeniu,
A dobre sny
Nie giną w zapomnieniu?

Czy znasz ten kraj,
Gdzie marzeń czas nie zwiewa?
Gdzie mimo zim
Owoce rodzą drzewa?
Gdzie słaby krzyk
Nie trąca piersi męskiéj —
Gdzie wstaje duch
Do walki wciąż zwycięskiéj?

Czy znasz ten kraj,
Gdzie zamiast słów powodzi,
Promienny czyn
Jak słońce jasne wschodzi?
Gdzie każda łza
Jest bratnią dłonią starta —
Gdzie każda myśl
Nad złoto więcéj warta?

Czy znasz ten kraj,
Gdzie męstwo serc jest zbroją —
Gdzie w gromach burz
Wyniosłe dęby stoją?
Choć w czarną noc
Pioruny grzmią do koła,
Nie siada strach
Na dumne drzew tych czoła?

Czy znasz ten kraj
Jedyny pośród świata,
Gdzie miłość trwa
Przez życia wszystkie lata?
Gdzie przyjaźń jest
Z żelaznéj kuta bryły —
Gdzie wiernym być
Jest ludziom nie nad siły?

Czy znasz ten kraj,
Gdzie ludzka myśl jest zdolna
W niebo się wznieść
Swobodna — jasna — wolna!
I wrócić z wyż,
By świata być ozdobą —
I pewność mieć,
Że klątw nie niesie z sobą?

O, bracie mój!
Niech się twój duch nie zżyma,
Że kraj to snów,
Że go na ziemi nie ma —
Gdyś uczuł raz
Tęsknotę za czémś jasném,
Już świat ten masz
Stworzony w sercu własném!

Kazimierz Gliński.





Z PRZESZŁOŚCI.

Był to jeden z tych słotnych i chłodnych dni listopadowych, które lud określa najlepiéj dosadném a zwięzłém, że „i psa-by nie wypędził.“

Wiatr północny, deszcz ze szronem, zimno przenikliwe; — pod stopami gołoledź, w górze chmury ciemne, a tak nisko, iż zdawało się, że dotykają wierzchołków sosnowego lasu, który się łączył z parkiem, i wiszą nad pałacem, jak szara sukienna opona. Ta niepogoda czuć się nawet dawała w salonie, — ogromnéj staroświeckiéj komnacie, surowo umeblowanéj ciężkiemi, przestarzałéj formy krzesłami, fotelami, sofami stojącemi szeregiem przy ścianach; pomimo trzech dużych okien było ciemno acz „w dzień biały“, a dwie kłody wilgocią przesiąkłe, leniwo się paliły na kominie i nie rospraszały chłodu przedzierającego się z zewnątrz.

Godzina była przedpołudniowa i cisza tak głęboka dokoła, że można było myśléć, iż gmach stoi pustką, gdyby obok, w jadalnéj sali, nie brzękło z cicha, od czasu do czasu, srebro lub kryształ ustawiane do śniadania przez chodzącą na palcach służbę. Samotność tę i ciszę przerwała matka, gospodyni domu, ośmdziesięcioletnia prawie staruszka, schodząc pierwsza swoim zwyczajem, wsparta, dla utraty wzroku, na ramieniu panny służącéj, ostatniego może typu tych sług, które przyjaciółkami były.

Panna Józefa widząc, że nie zostawi swéj pani samą, oddaliła się; a zacna i miła staruszka, po kilku uprzejmych frazesach powitania na „dzień dobry“ przeszła, — do pożądanéj wszystkim, którzy kresu dobiegają, — rozmowy o przeszłości. Wspomnienia drogie są, jak kordyał, który nietylko rozgrzeje serce i wyobraźnią, lecz nawet nad

rzeczywistością zapanować zdoła. Pod ich działaniem zapomniało się o deszczu i mrozie, znikł z oczu zasępiony horyzont, a miejsce jego zajął pogodny dzień letni i tłumne zebranie gości u słynnego zdrojowiska czeskiego.

— To pani znała Mickiewicza!—wykrzyknęłam z zazdrością.

— Znałam, znałam!—dwakroć powtórzyła staruszka, a z dźwięku głosu, z uśmiechu ust, który oblicze piękne i łagodne rozjaśnił blaskiem jakimś wewnętrznym, znać było, że to wspomnienie jest w uzbiéranym skarbcu wspomnień perełką najczystszéj wody.

— Gdzież to było? Jak to było?

Staruszka powtórnie się uśmiechnęła na ten wybuch, ale inaczéj, powściągliwiéj; lecz zrozumiawszy, że tego rodzaju ciekawość pochodzi ze czci dla wielkiéj zasługi, zadość jéj uczynić postanowiła.

Żałuję, żem od razu, pod wrażeniem, nie spisała jéj opowiadania mniéj więcéj dosłownie, bo po kilku leciech zatarło się wrażenie i zamiast żywemi barwami odmalowanego obrazka, zostanie może zblakły wyrób tandeciarski... Ale ponieważ rzecz dotyczy wielkiego człowieka, a nie zmyśloną bajeczką, lecz prawdziwą jest powiastką, przeto wyłącznie dla siebie zatrzymać jéj nie chcę.

Było to w 1829 r. w Karlsbadzie. Towarzystwo liczne i ożywione, bo do chorych domieszało się sporo elementu zdrowego i młodego; wycieczki, przechadzki, tany, rozhowory, nieprzerwanym płynęły korowodem. Śród gości znajdowała się młodziutka, śliczna i posażna, w świat dopiéro wstępująca panna X., dziś baronowa X. Siérota przybyła z braterstwem.

Między panną X. a jéj bratową, panią N., było tylko kilka lat różnicy wieku, ale w usposobieniu różnica ogromna.

Pani N., córka rodziców obcego pochodzenia, wesoła, miła, światowa. Panna X.—typ naszych idealnych dziewcząłek, które kochają wszystko to, co piękne i wzniosłe; zdolne są do ofiary i bohatérstwa, a przytém takie szczere, naturalne, wesołe jak ptaszęta naszych gajów.

Pewnego dnia wyszła na przechadzkę tylko z bratem, bo bratowa, chora na migrenę, pozostała w domu. Ktoś rzucił wiadomość: Mickiewicz przyjeżdża!... Przyjeżdża dziś... Już przyjechał.

Jak się roi mrowisko, gdy je kto poruszy, — jak kotłuje wrząca woda, gdy się dorzuci łuczywa do płonącego ogniska, tak się zaroiło, zawrzało w Karlsbadzie. Chorzy i zdrowi, starzy i młodzi, wszyscy się wysypali z domów; każdy pragnął poznać sławnego już, młodego wieszcza, słyszéć go mówiącego, a przynajmniéj zobaczyć...

— Czy bardzo pani podzielała tę ciekawość?

— To był raczéj zapał, który podzielałam silniéj od wielu. Znałam wszystko co do tego czasu Mickiewicz był wydał, zachwycałam się wszystkiém i wszystko niemal umiałam na pamięć. Toż pragnęłam go poznać!...

— Jak się on pani wydał w pierwszéj chwili?

— Takem się zmieszała, gdy ktoś szepnął: Mickiewicz idzie! Mickiewicz idzie! żem spuściła oczy i... tylko końce butów jego spostrzegła.

— Czy przyjechał z Odyńcem, czy sam?

— Sam. Odyniec przyjechał późniéj (we dwa czy we trzy — może nawet cztery tygodnie; dobrze już nie pomnę).

Pani N. żałowała bardzo, że migrena pozbawiła ją poznania Mickiewicza, ale obiecała powetować to sobie jak najprędzéj. Światowa kobiéta chciała go poczęstować jakimś odpowiednim komplementem, tymczasem ważne ś w i a t o w e z a j ę c i a nie pozwoliły jéj poznać utworów poety.

— Ach, moja droga! — woła do siostry mężowskiéj — nie wiem co Mickiewicz napisał! Zlituj się, przeczytaj co!

Figlarce przychodzi na myśl pustota.

— Jakto!... Nie wiész, że napisał panią Twardowską?...

— Nie wiem! Któż to jest ta pani Twardowska?...

— Posłuchaj a dowiész się.

I z wielką powagą zaczęła:

Jedzą, piją, lulki palą... i t. d.

Ten wykład literatury *ad hoc* przerwał ktoś z krewnych czy znajomych przychodząc dowiedzieć się o zdrowiu. Figlarka zapomniała o psocie a pani N. zadowolona, że poznała najcelniejszy utwór poety, ze spokojném sumieniem oczekiwała spotkania się.

Na drugi dzień migrena grzecznie się wyniosła i pani N. zaczęła się przygotowywać na jakieś *réunion*, na którém się miał znajdować Mickiewicz.

Po południu pan N. wyszedł, panna X. została z książką w salonie, a pani N. troskliwa o suknię, o akcesorya do niéj, rozesłała służbę na wszystkie strony. W tém rozległ się dzwonek w przedpokoju.

— O dla Boga! — woła pani N. — jacyś goście a tu nie ma komu drzwi otworzyć!

— Może to doktór — odpowiada panna X — bo to jego właśnie godzina. Pójdę i otworzę.

— Tobie nie wypada. Pójdę raczéj sama.

Idzie i odsuwa rygiel. W progu nieznajomy.

— Czy tu mieszkają państwo N.?

— Tutaj — odpowiada niezadowolona, że się przedstawiła obcemu człowiekowi w rannéj toalecie, a bardziéj z tego, że ta niespodziewana wizyta może ją pozbawić i w tym dniu poznania Mickiewicza; więc wpada na koncept, żeby odegrać rolę służącéj i dodaje—ale państwa nie ma w domu.

Gość, w dobréj wierze, bierze panią N. za kogo się ona przedstawia i podając bilet wizytowy, prosi ją, aby go doręczyła państwu N.

Mniemana pokojówka biorąc bilet rzuca nań ciekawém okiem:

— To pan, pan Mickiewicz! — woła radośnie.

Poeta, który się wcale nie spodziéwał, aby jego utwory miały takie powodzenie w garderobie, zrobił mimowolnie giest zdziwienia.

— Jestem panią N. — rekomenduje się trochę zmieszana, ale odzyskując przytomność, ze swobodą kobiéty światowéj prowadzi gościa do salonu i opowiada powód swego znalezienia się. Sytuacya się wyjaśnia. Ale uprzejma pani N. nie poprzestając na tém, występuje z komplementem o pani Twardowskiéj...

Po takiém *dictum* znajomość przeskoczyła od razu surowe szranki etykiety, a że pani N. w gruncie była najlepszą i najmilszą kobieciną, pan N., który wkrótce niebawem nadszedł, zacnym i światłym człowiekiem, więc dnia tegoż stosunki ich stanęły na takiéj stopie, jak gdyby z sobą „beczkę soli zjedli“.

Figlarka tylko przyznała się, iż rumieniec, jaki ją wówczas oblał, był sroższą karą za jéj pustotę, od rózgi.

Stosunek z tą rodziną zacną a serdeczną stanął niemal odrazu na stopie takiéj zażyłości, iż poeta stał się prawie codziennym gościem; prześladował panią N. słowami: „to pani tylko moją Twardowską czytała“, rozmawiał chętnie i długo z panem N., ale bogdaj czy nie najchętniéj i nie najdłużéj z jego śliczną siostrzyczką, wykształconą entuzyastką [1]).

Prosiłam staruszkę o skreślenie charakteru Mickiewicza. Odpowiedziała, że trudno sobie wyobrazić prostotę, któréj określenia: gołębiéj, kryształowéj, i t. p. są niedokładne, pochodziła bowiem z wielkiéj czystości myśli, uczuć i zasad i nadawała szczególny urok jego wzięciu się. Najmniejszéj w nim nie było pretensyi, zarozumia-

[1]) Nie wiem, czy p. X. jeszcze do żyjących się zalicza, ale niech mi wolno będzie przytoczyć jéj własne słowa, które jéj charakter najlepiéj malują.

Straciła wzrok prawie zupełnie: gdy jedni doradzali rozmaite środki lekarskie, a drudzy środki cudowne, źródła łaskami słynące, odrzekła, iż: „nie chce odzyskać wzroku, gdy się Bogu podobało go jéj pozbawić — i że to umartwienie ofiarowuje za swoje grzechy“.

łości, lub pychy. Nigdy się nie starał o zajęcie pierwszego miejsca, czy w towarzystwie, czy w rozmowie; przeciwnie, zachowywał pewną wstrzemięźliwość w objawianiu swego zdania i przysłuchiwał się częściéj, niż głos zabierał. Nie było to dumne odosobnianie się lub mizantropijne boczenie, ale raczéj poważne skupienie głębokiego i zamykającego się w sobie litewskiego charakteru.

Opowiadała, że pewnego razu została z poetą sam na sam: „Rozmawialiśmy długo. Póków słońce świeciło, było mi obojętne, żeśmy sami, ale gdy zaszło i podano światło, czułam się bardzo zmieszaną. Mickiewicz tego ani spostrzegał ani się domyślił. W końcu zamilkł i zadumał się głęboko; ja nie śmiałam się ruszyć i dech tłumiłam z zakłopotania. Gdy się ocknął z zadumy, zagaił znów rozmowę i tak przesiedzieliśmy aż do chwili, w któréj powrócili moi braterstwo, to jest do 11 godziny.“

Ośmieliłam się spytać sędziwą matronę, czy serce nie brało udziału w téj znajomości.

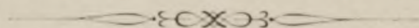
Odpowiedziała, że Mickiewicz nic jéj nie mówił, ale że pewne symptomata nie zdradzały nieprzyjaźni...

Serce panny X. uległoby zapewne wpływowi czarodzieja, który acz „nie był piękny“, posiadał jednak moc jakąś, podbijającą i zniewalającą, ale... na ładną, miłą, posażną panienkę już ktoś miał widoki, czynił zabiegi, i jakiś przyjaciel—jeden z tych, o których się powiada: „strzeż mię Boże od moich przyjaciół, bo od nieprzyjaciół ja sam się obronię“ — uważał za „święty obowiązek“ przestrzedz Mickiewicza, że... Co tam szeptał na ucho ów przyjaciel, nie wiadomo... dość, że Mickiewicz przyszedłszy, po tém szeptaniu do państwa N., był całkiem inny, bawił krótko, i nawet trochę nagle, pod pozorem, że Odyniec już przyjechał, na którego oczekiwał, opuścił Karlsbad.

Protegowany owego przyjaciela dostał odkosza, i niejednego z konkurentów takiż los spotkał, zanim panna X., zdecydowała się oddać swą rękę baronowi X.

Czyby się losy tych ludzi, bez wdania się owego przyjaciela, były zbliżyły lub rozeszły, wyrokować trudno. Wielkim jednak czarodziejem być musiał ten człowiek, kiedy krótkotrwała znajomość wyryła się w ośmdziesięcioletniéj pamięci tak głęboko, że na obliczu staruszki jawią się wiośniane uśmiechy i blaski na jego wspomnienie, a oczy, zagrożone zupełną utratą wzroku, wznoszą się z rozrzewnieniem ku górze, jak gdyby z myślą „o dobrym Bogu i jasnych aniołach.“

Katarzyna z Zygmuntowiczów Opacka.





Z LITERATURY OBCÉJ.

Ern. Naville. La science et le materialisme. Revue philosophique. 1890, 6.

Jedną z tych myśli, które dziś stały się monetą zdawkową ogółu i bywają powtarzane jako pewniki bez bliższego nad niemi zastanowienia, jest mniemanie, jakoby wiedza ścisła wytwarzała materyalizm. Czy tak jest istotnie? czy wiedza prawdziwa prowadzi koniecznie do poglądu na świat, przypisującego wszelką rzeczywistość tylko przedmiotom zmysłowym, t. j. temu, co w ostatniéj analizie przedstawia się nam jako abstrakcyjne pojęcie materyi? Takie pytanie stawia autor przytoczonéj w nagłówku rozprawy i odpowiada na nie przecząco. Zaprzeczenie to nie wyda się dziwném nikomu z czytelników naszych, kto chociażby powierzchownie jest oczytany w literaturze filozoficznéj współczesnéj. Istotnie naiwność twierdzeń takich, jak np. następujące: „formy, w których objawia się nam nieznana istność wszechrzeczy, a które nazywamy ruchem, ciepłem, światłem, powinowactwem chemiczném i t. d., mogą się przekształcać jedne w drugie również jak i w inne formy objawiania téj saméj nieznanéj istoty, które obejmujemy nazwą wzruszenia, czucia, myśli“ [1]), jest niemniéj oczywistą dla każdego, nie już filozoficznie, ale tylko przyrodniczo wykształconego czytelnika, jak i naiwność z dawna okrzyczanego twierdzenia Cabanis'a, że „mózg przetrawia wrażenia i wydziela z siebie myśl“. Nigdy bowiem ruch nie może się przekształcić w ciepło, ani światło; bo ciepło i światło są wrażeniami podmiotowemi, naszemi. Ruch mas większych może się przemienić w ruch cząsteczkowy, w drgania drobnych cząstek materyi i eteru; ale zawsze zostaje ruchem tylko. Ciepło i światło są to objawy w naszym duchu powstające, wywołane przez

---

[1]) Spencer. Pierwsze zasady.

tę lub inną formę ruchu, objawy tegoż samego porządku, co czucie i myśl, nic wspólnego co do istoty swojéj z ruchem nie mające i w żaden sposób nie dające się z niém utożsamić. Jeżeli fizycy pozwalają sobie używać takich np. wyrażeń: „światło jest ruchem drgawkowym eteru", jestto niczém więcéj, jak metaforą uświęconą zwyczajem. W istocie należałoby powiedziéć, że ruchy drgawkowe eteru pewnéj określonéj formy i prędkości dają się nam poznać jako światło, ale bez *nas*, t. j. bez istoty obdarzonéj czuciem, nigdy niczém innéin, jak tylko ruchem eteru, nie zostaną. Przekształcenie to więc odbywa się w nas, jako istotach czujących i wrażliwych, nie zaś w świecie materyalnym. Słusznéin téż jest twierdzenie p. Liarda [1]): „teorya jedności sił fizycznych polega na przypuszczeniu, że wszystkie te siły są objawami do nieskończoności rozmaitemi jednego czynnika. Możemy zdać sobie sprawę ze wszystkich objawów fizycznych we wszechświecie, dlatego że wszystkie te objawy są w oczach naszych tylko odmianami ruchu; wszystkie odbywają się w przestrzeni i czasie. Ale najmniejszy objaw świadomości, wrażenia zmysłowego lub uczucia, stawia nieprzebytą zaporę ujednostajnieniu naszych poglądów na całość zjawisk wszechświata na tym gruncie empiryzmu. Rozumiał to już Spinoza, uzasadniając różnicę pomiędzy myślą a światem zewnętrznym tém, że drugi posiada rozciągłość, gdy pierwsza odbywa się tylko w czasie.

Powstanie świadomości jest zagadką nie do rozwiązania, dopóki stoimy na gruncie materyalizmu.

„Przejście od fizycznéj czynności mózgu do odpowiadających jéj objawów duchowych nie daje się w żaden sposób wytłómaczyć... Przepaść dzieląca obadwa szeregi zjawisk, zostanie na zawsze nieprzebytą dla umysłu", powiada Tyndall [2]).

„Człowiek, śpiący bez marzeń sennych, jest zrozumiały dla nas, jak świat przed pojawieniem się świadomości. Lecz jak z pierwszą iskrą świadomości świat staje się nam podwójnie niepojętym, tak podwójnie niepojętym jest śpiący przy obudzeniu się w nim pierwszego obrazu sennego", powiada Emil Du Bois-Reymond [3]).

Gdzieindziéj możeby się udało przerzucić most przez tę przepaść i za pomocą syntezy filozoficznéj wprowadzić jedność w pogląd na świat; ale na tym gruncie, na jakim stoi empiryzm, przepaść ta jest rzeczywiście nieprzebytą dla każdego, kto przypisuje materyi jako

---

[1]) „La science positive et la métaphysique." Paris, 1879, p. 364.

[2]) Mowa miana w Towarzystwie brytańskiém popierania wiedzy; ob. „Revue des cours scientifiques", 1868—69, Nr. 1.

[3]) „Ueber die Grenzen des Naturerkennens." Leipzig, 1872, str. 27.

takiéj byt rzeczywisty, niezależny od istoty poznającéj. Wnioski te, z nieodbitą konsekwencyą wynikające z poglądu materyalistycznego, są murem, do którego doszedł i przyparł sam siebie. Wyjścia z téj strony nie ma; należy się cofać wstecz i szukać innéj drogi.

Jeśli zasadnicza, nie dająca się usunąć w żaden sposób, różnica objawów myśli i materyi prowadzi materyalizm konsekwentnie do zaprzeczenia samego siebie, nie mniéj potężny argument daje przeciw niemu wiedza w prawie zachowania energii. Argument ten z całą konsekwencyą i przekonywającą jasnością wydobyty został po raz pierwszy, o ile nam wiadomo, przez A. Langego [1]). Odsyłając więc do wspaniale obmyślanego przykładu w rozdziale p. t. „Mózg i dusza“, znanego czytelnikom dzieła tego autora, przytoczymy tylko krótką argumentacyą, jaką się posługuje Ernest Naville dla wykazania sprzeczności, tkwiącéj w twierdzeniu, że myśl jest objawem energii.

W wykładzie wstępnym do kursu chemii biologicznéj w r. 1886 prof. Gautier powiedział: „Wrażenie, myśl, praca umysłowa nie mają równoważnika mechanicznego, t. j. nie zużywają wcale energii.“ Twierdzenie to wywołało żywą w piśmiennictwie naukowém francuskiém dyskusyą, w któréj brało udział kilku wybitnych fizyologów. Jednak potrzebne jest niewielkie tylko zastanowienie się, ażeby przyznać zupełną słuszność p. Gautier. Istotnie fizyologowie mogą badać objawy, zachodzące w nerwach, podczas gdy odczuwa się jakieś wrażenie; mogą mierzyć siłę i prędkość prądów nerwowych i t. d., mogą związać w jedno zrównanie ilość energii zużytéj w nerwie z ilościami skądinąd pochodzącemi; suma tych energii powinna być stałą; gdzie jednak miejsce dla myśli, dla wrażenia, czynników nie zajmujących przestrzeni? Odruch, odbywający się nieświadomie, ulega tym samym prawom równowagi mechanicznéj, co i czynność świadoma; na tę ostatnią nie zużywa się więcéj energii, niż jéj użyto na odruch, gdyż suma energii czynnéj i potencyalnéj w obudwu razach jest ta sama. Więc myśl i uczucie nie wchodzą do zrównania sił, nie użytkują nic z energii nerwów. Istotnie, gdyby możliwe było przekształcenie ruchu w myśl, nie byłoby to przekształcenie, lecz przeistoczenie zupełne, gdyż obadwa zjawiska są zupełnie od siebie różne. Ruch przekształca się w ruch; drgania materyi lub eteru powodują drgania cząsteczek nerwowych, te znów pewne ruchy mięśni i t. d., i między temi wszystkiemi ruchami zachowuje się to prawo, że żaden ruch nie może powstać z niczego, ani zniknąć bez śladu. Człowiek

---

[1]) „Historya filozofii materyalistycznéj.“ t. II, str. 346 — 350 polskiego przekładu.

śpiący bez marzeń sennych, przedstawia pewną sumę stałą energii czynnéj i potencyalnéj; skąd może powstać nadmiar energii przy budzącém się w świadomości jego obrazie sennym?

Zjawiska psychiczne przebiegają zawsze równolegle względem zjawisk fizyologicznych w nerwach, które są organami myśli. Ale o związku przyczynowym tych dwu szeregów zjawisk w znaczeniu naukowém tego wyrazu nie może być mowy, gdyż wszelka przyczynowość fizyczna polega na zrównaniu sił, które tu nie istnieje.

Cóż powiemy o twierdzeniu, że materyalizm jest wynikiem wiedzy? Czy nie słuszniéj utrzymywać, że sami wprowadzamy materyalizm do nauki?

Rzut oka na każde dzieło traktujące o przyrodzie z punktu widzenia materyalistycznego przekonywa, że materyalizm jest poglądem *a priori* wprowadzonym. Tak Holbach zaczyna swoje znane dzieło od twierdzenia, że świat nie zawiéra nic nad ruch i materyą. Poznajemy tu dawną tezę Demokryta i Epikura. Również nieświadomym epikurejczykiem jest Haeckel, gdy powiada: „teorya ewolucyi, w najszerszém znaczeniu pojmowana, jako pogląd filozoficzny na świat, utrzymuje, że cała przyroda ulega jedynemu wiecznemu i ciągle oddziaływającemu prawu rozwoju; że wszystkie zjawiska przyrody bez wyjątku, poczynając od ruchu ciał niebieskich i spadania kamienia, aż do wzrastania roślin i świadomości człowieka, odbywają się według jednostajnéj przyczynowości; słowem, że wszystko da się ściągnąć do mechaniki atomów. Pogląd na świat mechaniczny jest jednolity czyli monistyczny [1]).

Dla czegoż pogląd na świat tak niezgodny z wynikami wiedzy, zostający w takiéj rażącéj sprzeczności z sobą samym, mógł pociągać ludzi wielkiéj nauki i inteligencyi?

Główną przyczynę tego widzi p. Naville w wyjątkowém zajęciu się jedną tylko kategoryą zjawisk t. j. zjawiskami fizycznemi. Badając wciąż tylko organa, uczeni przychodzą do tego, że całe poznanie człowieka sprowadzają do poznania jego organów. „Uzbrojony w wagę, maszynę pneumatyczną i mikroskop, chciałem na swój sposób przyczynić się do detronizowania założeń bez wartości, polegających na tradycyi dowolnéj“ — pisze Moleschott. Niestety tradycya, którą chce detronizować Moleschott, stosuje się właśnie do rzeczy, z istoty swojéj nie poddających się ani wadze, ani maszynie pneumatycznéj, ani mikroskopowi. Gdy się przypuszcza, że te są jedynie naukowe sposoby badania, pomija się

---

[1]) Les preuves du transformisme, p. 24.

wszystko to, co się im nie poddaje; wszystkie zjawiska świata duchowego znikają dla oka, skierowanego jedynie na to, co można widziéć lub zważyć.

„Zajęcie się wyłączne swojém *ja* jest źródlem złego w moralności; zapomnienie o tém *ja* w psychologii, jest źródłem największych błędów“.

Nie jest to jednak jedyną przyczyną, dla któréj zajęcie się naukami przyrodniczemi pociąga często umysł ku metafizyce materyalistycznéj; ale pozostawiając bliższe roztrząsanie tego ważnego punktu do jednego z następnych artykułów, idźmy daléj za postępem myśli naszego autora.

Czy myśl jest istotnie związana zawsze z czynnością organów swoich? i jak objaśnić sobie istnienie myśli w chwilach, gdy nie jest czynną?

W odpowiedzi na te dwa pytania autor schodzi z pewnego gruntu krytyki filozoficznéj na mniéj pewny grunt przypuszczeń. Przypuszcza on, że podobnie jak w objawach energii, rozróżniamy stan czynny i potencyalny, tak i w stanie ducha naszego podobne dwa stany winniśmy wyróżniać. Na to możemy tylko odpowiedziéć, że fizyka współczesna nie uważa stanu potencyalnego energii za odmienny od czynnego; że przeciwnie jeden z zasadniczych punktów, które stara się udowodnić, stanowi myśl, „że wszelka energia potencyalna jest w istocie swojéj energią czynną“ [1]). Nie można więc przynajmniéj powoływać się na analogią naukową udając się do tego przypuszczenia.

Więcéj uzasadnioném jest pierwsze zwątpienie t. j. czy czynności myśli powinna zawsze towarzyszyć czynność nerwowa? Istnieje cały szereg faktów, polegających na świadectwach zasługujących na wszelką wiarę, a wykazujących, że niekiedy czynności duchowe mogą się odbywać zupełnie inaczéj, niż nas uczy fizyologia. Do téj kategoryi należą zjawiska jasnowidzenia. Długi czas zaprzeczano ich, lecz dziś już uwaga uczonych została stanowczo ujęta zagadkowemi objawami, jakie nastręcza hypnotyzm, magnetyzm, somnambulizm i t. d., a które zdają się przemawiać za tém, że poznanie może się odbywać niekiedy bez pośrednictwa zmysłów. Autor przytacza kilka spostrzeżeń poważnego lekarza nad osobą, która posiadała podobne objawy jasnowidzenia, połączone niekiedy z halucynacyami tak samo jak u Swedenborga.

---

[1]) Stallo, Theories and concepts of modern physics. Chapts I.

Jakiekolwiek będzie tłumaczenie tych faktów i stanowisko zajęte przez nas wobec przypuszczenia autora, nie ulega wątpliwości, że najpotężniejszym orężem przeciwko materyalizmowi jest sama wiedza ścisła; że daleką będąc od tego, aby miała służyć za podstawę materyalizmowi, przeciwnie prowadzi do wniosków, zbijających zasadnicze jego twierdzenia. Samo pojęcie materyi jest wytworem naszéj myśli, a nie naodwrót, jak twierdzi materyalizm. „Gdyby sama tylko materya istniała, nie byłoby materyalizmu“.

Koz.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. Antoni Małecki. Studya heraldyczne. Lwów. 1890. Nakładem autora.

„Od kilku lat, pisze p. Małecki, zbieram materyały do historyi społeczeństwa polskiego, do wewnętrznych narodu naszego dziejów. Owocem tych poszukiwań będzie pewna ilość rozpraw... które nazwę „Przyczynkami“ do dzieła, poświęconego temu zadaniu; przy obecnym bowiem stanie naszych źródeł dziejowych i wobec dzisiejszych tak jeszcze spornych naszych pojęć w tych kwestyach, trudno się targnąć od razu na wszechstronny i całkowity, genetyczny odlew wizerunku naszéj przeszłości, pod tym rozważanéj względem“... „Między rozprawami, o jakich tutaj wspominam, najważniejszą, ale też i najtrudniejszą będzie monografia, dotycząca szlachty i szlachectwa w Polsce.“ Tę monografię mamy właśnie pod ręką. Nie jest to rozprawa, ale 2-tomowe dzieło o 750 stronicach, opatrzone tablicami herbów, genealogiami szlachty i dokładnym spisem rzeczy, a ogólna treść tego dzieła obraca się w zakresie powstawania herbów szlachty polskiéj i na téj podstawie usiłuje autor — jeżeli nie rozwiązać, to przynajmniéj rzucić spory snop światła na sporną kwestyę genezy szlachty w Polsce.

Szlachcic — herb swój za klejnot w dzisiejszém tego słowa znaczeniu, t. j. za najcenniejszą własność swą uważał, od niego swe szlachectwo wywodził, w nim widział pewną podstawę swego społecznego stanowiska i tradycyę rodu, to też naturalną i najlepszą wydaje nam się metoda, zastosowana w dziele p. Małeckiego, jest ona zresztą metodą poprzednich naszych heraldyków i badaczy powstania szlachty w Polsce.

Najstarsze nazwy herbów polskich znajdujemy w traktacie Długosza „*Insignia seu clenodia regni Poloniae*“, niemniéj w Paprockim; u Niesieckiego znikają one i zarazem znika słowo *proclamatio*“, oznaczające pierwotne, właściwe nazwy herbowe, które często-

kroć wcale odmienne były od nazw późniejszych. Udowodniwszy to, p. Małecki stara się wykazać, że proklamacye te, są to nazwy posiadłości ziemskich szlachty, od których nazwy rodowe i herbowe swój początek wywodzą. Na 167 herbów omawianych w dziele p. Małeckiego większa część potwierdza jego wniosek, ale 39 nazw (*proclamatio*) herbowych z pod tej ogólnej reguły wysuwa się, co sam autor „Studyów heraldycznych“ po części przyznaje. Wobec tego zdaje nam się, że te proklamacye to nie nazwy posiadłości ziemskich szlachty, ale wprost nazwy rodów pierwotnej szlachty. Jeżeli tak postawimy kwestyę i te 39 herbów wejdą w naszą teoryę i naodwrót wytłómaczymy sobie fakt, że większość „proklamacyi“, to nazwy osad, bo rody tak dobrze swym godłom, jak i swym siedzibom nazwy ponadawać u nas mogły, podobnie jak się to dzieje i jak się zawsze działo u społeczeństw, w których „ustrój rodowy“ istniał w całości, lub przynajmniej poważne ślady za sobą zostawiał. Pierwotne godła szlacheckie miały przeważnie charakter indywidualny, więc, jak to znaki na pieczęciach średniowiecznych szlachty polskiej dowodzą, oznaczały, albo godła władzy, albo były to monogramy właścicieli, albo godła przygodne i takie wreszcie, których znaczenia nie znamy. Książęta-Piastowicze w XIII i do połowy XIV w. pieczętowali się liliami, orłami, lwami, gryfami, półksiężycami i t. p., a wszystkie te godła oznaczały wówczas władzę lub siłę. Na to zgoda, ale p. Małecki sam dowodzi za pomocą podanych przez się faktów, że książęta krakowscy używali znaku orła z wyjątkiem Leszka Czarnego i Łokietka (do r. 1320), którzy rodzinnego kujawskiego używali herbu t. j. kombinacyi z pół orła i pół lwa. Przemysław wielkopolski pierwotnie lwem się pieczętował, ale po koronacyi, równie jak Łokietek po swej koronacyi 1320 r., przyjęli za godło orła z koroną, sądzimy więc, że orzeł był pierwotnem godłem Piastowiczów, w czasach podziałów oznaczał władzę naczelnego księcia, a w czasach zjednoczenia z koroną wrócił na tarczę królów i stale na niej pozostał. Godła indywidualne książąt dowodzą tylko, że obok godła rodu Piastów pojedyńczy, podziałowi książęta pieczęcie swe tak ozdabiali jak się im podobało, uważając tylko na to ażeby te godła ich, władzę lub siłę oznaczały.

Zdaje nam się, że ostatnie nasze przypuszczenie o godłach rodowych obok indywidualnych, dałoby się uzasadnić i pieczęciami szlachty, w. XIII i XIV. Jakkolwiek p. Małecki nie sądzi w ten sposób, ale wszystkie godła za wyłącznie indywidualne uważa. A przecież godło przemożnego rodu Świebodziców w kilku swych urozmaiconych postaciach, chyba jeden wspólny rodowy a nie indywidualny

początek swój wskazuje; to samo dałoby się zastosować i do godła rodu Pałuków, niemniéj do rodu komesów pomorskich Stanisława, Hugona i Adama, synów Pawła, i do wielu innych. Sam p. Małecki jedną genezę herbów przypuszcza od tych godeł pierwotnych, chociaż bez kwestyi dowody jego wykazujące, że herby ustaliły się u nas dopiéro w XIV w. pod wpływem zachodu, a szczególnie Czech, za panowania Wacławów w Polsce, są dostateczne, ażeby téj teoryi przyznać pierwszeństwo przed innemi teoryami. Niemniéj ciekawe i prawdziwe są wnioski, które p. Małecki wyciąga przy końcu swego dzieła, mianowicie, że tarcza, hełmy i klejnoty, to dopiéro późne stosunkowo ozdoby herbowe (od XV w.), że mieszczanie i nawet „wolni" kmiecie godła swe w XIII i XIV w. posiadali, że godła mieszczańskie pozostały nadal a kmiece znikły; wreszcie, że wielka bardzo część rodów i godeł rodowych w Polsce znajduje identyczne lub bardzo zbliżone nazwy i znaki w heraldyce czeskiéj, osobliwie wśród szlachty morawskiéj.

Ostatniego tego punktu p. Małecki nie tłómaczy, dowodzi tylko, że wspólność ta, to jeszcze zabytek XI i XII w. Sądzimy, że to zabytek jeszcze wcześniejszy, sięgający w czasy opanowania Krakowa i Wiślicy przez Świętopełka morawskiego. Być może, że wówczas rody czeskie i morawskie weszły do Biało-Chrobacyi i tutaj zamieniły się na rody szlacheckie t. j. takie, które resztę narodu opanowały. Być może, że pewne znaki — to litery pisma starosłowiańskiego, wprowadzonego do Moraw i Czech przez Św. Cyryla i Metodego. A do Wielkopolski, czyż nie mogły rody szlacheckie z Pomorza lub z nad Elby nadpłynąć, jak to twierdzi dr. Piekosiński?

K. J. Gorzycki.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Julian Łętowski*, **Rywale** (Warszawa, S. Lewental, 1890, str. 206). P. Łętowski ma jako powieściopisarz styl wyrobiony, pełen życia i ognia, opowiada gładko, potoczyście, nie lubi ani długich opisów, ani rozumowań, stara się, żeby osoby same przez się swojemi słowami i postępkami zaznajamiały ze sobą czytelników, rzadko kiedy posługując się jakiém krótkiém objaśnieniem. Czy dużo bierze z obserwacyi własnéj? trudnoby na to odpowiedzieć stanowczo. Niektóre położenia, niektóre zwroty mowy są widocznie podpatrzone, ale wiązanie ich w pewną całość, przechodzenie od jednéj sytuacyi do drugiéj jest u niego raczéj dziełem dowolnéj fantazyi, aniżeli koniecznością, wynikającą z rozwoju charakterów i stosunków ludzkich. Unika autor starannie wszelkiego nieprawdopodobieństwa, motywuje zazwyczaj zupełnie trafnie postępowanie swoich osobistości, a pomimo to nie

czuje się w nich indywiduów naprawdę wprost z życia pochwyconych, tylko pewne charaktery już przez samego autora przerobione i w ruch puszczone na podstawie myśli z góry osnutéj. Chciał wystawić, jak niejeden powieściopisarz przed nim, dwa odrębne charaktery, z których jeden poważniejszy, głębszy i uczciwszy staje się przedmiotem wyzysku ze strony drugiego, powierzchownego, lekkiego, samolubnego, lecz wesołego, zręcznego, umiejącego olśniewać ludzi swemi zewnętrznemi zaletami. U p. Łętowskiego oba są artystami-kamieniarzami pracującymi u Włocha, stawiającego nagrobki; ten atoli szczegół, który u powieściopisarza-realisty mógł był dostarczyć materyału do scharakteryzowania otoczenia i wpływów działających na osoby główne w powieści, p. Łętowskiemu służy prawie jedynie do zapoznania bohatéra i bohatérki na cmentarzu; co się daléj dzieje, nie ma istotnego związku ani ze sztuką, ani z kamieniarstwem. Feliks namiętny, ale rozważny, pracowity, ciągle był eksploatowany przez trzpiotowatego i śmiałego Ludwika zarówno w pieniądzach, jak i w uczuciach. Gdy Feliks poznał i pokochał Franię, córkę rękawicznika, długo nie chciał Ludwikowi się zwierzać ze swéj nowéj znajomości, bojąc się, by mu nie wszedł w drogę; ale Ludwik, dowiedziawszy się o tém z zewnątrz, łatwo Feliksa przekonał, że go do wdowy Walczyńskiéj powinien był zaprowadzić, przyrzekając uroczyście, że mu Frani nie odbierze. Rozumié się, przyrzeczenia nie dotrzymał, śmiałością pozyskał sobie miłość dziewczęcia, ożenił się z nią, zmarnował mająteczek, jaki ona wniosła, i poszedł w świat hulać, grą w bilard i rozmaitemi sztuczkami podpiérając swą niepewną egzystencyę. Feliks bolał i rozpaczał, Frani zubożałéj przesłał potajemnie zasiłek pieniężny, gdyż stał się zamożnym z zapisu ciotki; Ludwikowi, który w stanie fizycznego i moralnego upadku ze Wschodu powrócił, dał u siebie przytułek, zrobił znajomość z wykształconą panną, trochę podstarzałą, która się widocznie wydać zań pragnęła, wmawiał w siebie, że Frani nienawidzi, ale gdy Ludwik z pijaństwa i mrozu marnie zginął, Franię za żonę pojął i był z nią szczęśliwy. P. Łętowski nie powiada tego wyraźnie, ale z dwóch scen w powieści zaakcentowanych każe wnosić, że kobiéta ceni w mężczyźnie przedewszystkiém śmiałość, że jest w niéj coś niewolniczego, co sile i rozkazom chętnie ulega. Frania pokochała Ludwika, gdy ją w tańcu silnie do siebie przycisnął, czego nieśmiały Feliks nie czynił, a wtedy dopiéro naprawdę uległa, gdy ją na klęczki przed sobą rzucił... Kilka scen, np. wyprawa na Saską Kępę, obraz bólu doświadczonego przez Feliksa w dni, które nastąpiły po ożenieniu się Ludwika z Franią, znakomicie wykonał p. Ł., w innych zalety stylu muszą wynagradzać brak pogłębienia psychologicznego

i luźność wiązadeł artystycznych; niewiele się wynosi po przeczytaniu, ale czyta się powieść z zajęciem.

= **Słowa a czyny**, powieść przez *Sewera* (Warszawa, 1890, str. 344). Znany dobrze czytelnikom „Ateneum“ autor, piszący pod pseudonymem Sewera, ze zwykłą swą werwą i świeżością pochwycił w najnowszéj swéj powieści p. n. „Słowa a czyny“ kilka bardzo ważnych rysów charakterystycznych w życiu społeczném Galicyi i odtworzył je w udatnéj formie. Antagonizm szlachty i magnatów, lub téż wdzierających się do magnateryi, ściéranie się prądu zachowawczego z postępowym, szukanie popularności za jakąbądź cenę — są to fakta, które nieraz już dawniéj w najrozmaitszy zarówno pod względem dążności, jak i formy, obrabiano sposób, ale jak się one przedstawiają obecnie wśród autonomicznych stosunków Galicyi, to nam chyba najdobitniéj Sewer w swoim utworze odmalował. Nie chcę przez to obniżać bynajmniéj znaczenia i wartości tego, co pp. Zacharyasiewicz i Lubowski skreślili, lecz pragnąłbym jedynie zaznaczyć, iż żaden z nich tak zwięźle, a tak dobitnie, nieraz zaś i z nowéj zupełnie strony owych stosunków nie nakreślił, gdyż u nich romansowa tkanka najwięcéj zajmowała miejsca. U Sewera tkanka ta naturalnie istnieje dla spojenia w jednę artystyczną całość różnorodnych stosunków, ale bynajmniéj nie stoi na pierwszym planie, gdyż ten zajmują polityczno-społeczne stosunki i objawy. Najświetniéj nakreślonym jest pan marszałek powiatowy, Rembowski, z sercem w gruncie poczciwém i serdeczném, ale z głową słabą, przejętą jednakże największém dla siebie uznaniem. Stara się on o wszystkie dostojniejsze stanowiska w powiecie, biorąc na swe barki ciężar nad siły, usiłując wszelkiemi sposobami pozyskać sobie popularność wśród szlachty, a zaniedbując własne gospodarstwo, które grozi rychłą ruiną. Ma on na każde wystąpienie publiczne gotowe frazesy, które powtarzając tysiąckrotnie nietylko się nie znużył, lecz owszem upaja się niemi wówczas, gdy je sam przed sobą powtarza. Przywykł do dobrodusznego pozowania, nie czując sztuczności ani w swéj postawie, ani w swych słowach. Ciągle u niego na ustach: kraj, obowiązek, poświęcenie ciągle wydaje się niezmiernie zajętym i przekonanym, że na nim losy powiatu, a może i całéj prowincyi spoczywają, choć w rzeczywistości wszystkie ważne referaty obrabia sekretarz, a sam pan marszałek wówczas tylko spryt znaczny okazuje, gdy idzie o obronę własnego stanowiska, gdy spostrzega niebezpieczeństwo zachwiania téj powagi, jaką sobie umiał wyrobić. Rozumié się, że i wówczas nie dopuszcza twierdzenia, ba, myśli, jakoby działał z pobudek egoistycznych. Nie chce podzielić się osiągniętą władzą z nikim dlatego, że nie widzi ludzi

dostatecznie zdolnych i dostatecznie z samolubstwa wyzutych, ażeby się mogli poświęcić na usługi publiczne i umieli je spełniać. W prezesie tym najlepiéj uwidoczniony został kontrast ogólno-ludzki, a więc i w naszém społeczeństwie bardzo częsty, może częstszy niż gdzieindziéj, kontrast pomiędzy słowami a czynami. Rembowski był właściwie tylko prezesem od parady, a zaniedbawszy gospodarstwo, lubo mniema, że jedna jego na tydzień rozmowa z ekonomem wystarcza na pokierowanie całéj maszyny, doprowadza do sprzedaży majątek rodzinny; ale i wtedy jeszcze się nie poprawia, lubo już do pewnego zastanowienia nad postępowaniem swojém przychodzi. Dostawszy urzędzik w mieście, polityk uje dalej na zabój i ubiega się o najpodrzędniejsze chociażby prezesostwo w jakiém zebraniu. W téj drugiéj fazie marszałek już został przez autora trochę zaniedbany i ogólnikowo tylko przedstawiony, a szkoda! gdyby autor konsekwentnie był przeprowadził ten charakter, byłby stworzył kreacyą pierwszorzędną. Podobnież w początkach dużo zajmuje miejsca pan Jan, dorobkowicz, ożeniony z córką utytułowanego rodu, przeniknięty ambicyą wyprowadzenia syna na szerszą arenę polityczną, za pośrednictwem ślepego posłuszeństwa stronnictwu Stańczyków i głośnego objawiania uczuć wierności względem rządu austryackiego. Bierze on potém udział tylko w akcyi wyborczéj, ale gra rolę bardzo niepoczesną, a zostawszy marszałkiem po Rembowskim, formalizmem zraża zdolniejszych i wywołuje niechęć ogólną. Wreszcie nadzieje pokładane w synu Adamie najfatalniéj go zawodzą; syn ten bowiem nietylko karyery politycznéj nie zrobił, ale się w dodatku zdegradował społecznie, biorąc za żonę aktorkę. — W pomyśle wyborną była postać Tadeusza, idealisty, marzyciela, który pomimo ciężko przebytych kolei, nie stracił prawie nic ze swéj młodzieńczéj wybujałości, czcząc ideały, pilnując ściśle obowiązków, trzymając na wodzy porywy indywidualne. Zwłaszcza, gdy obok niego stanął pozytywista Radwan, z rozumem wyostrzonym, a sercem wystudzoném, można było się spodziewać rozwinięcia przepięknéj paraleli pomiędzy temi charakterami, na których duch czasu odcisnął swe cechy; u autora została ona tylko zlekka zaznaczona. Z wybitniejszych zresztą postaci téj powieści, obfitującéj w szczegóły znamienne i osobistości zindywidualizowane, wymienić jeszcze wypada śliczną sylwetkę Julii, córki Rembowskiego, śmiałéj, czynnéj, nie załamującéj rąk w nieszczęściu, lecz umiejącéj pracować z korzyścią. Całość, lubo nie wykończona w zupełności, sprawia dodatnie wrażenie; pisana jest żywo i zajmująco.

— **Wielka encyklopedya powszechna ilustrowana**, wychodząca od początku r. b. w Warszawie nakładem p. Saturnina Sikorskiego,

postępuje raźnie, uiszczając się mniéj więcéj regularnie z obietnic pomieszczonych w prospekcie. Obecnie w krótkim przeciągu czasu wyszły zeszyty od 9 do 15, mieszczące w sobie wyrazy od *Albani* do *Ameryka* (włącznie). Mnóstwo rycin pomieszczonych w tekście lub dodanych na oddzielnych kartach, po większéj części wykonanych starannie, a czasami wykwintnie, już samą powierzchownością dobrze usposabia dla wydawnictwa. Dają one wizerunki osób, zwierząt, gmachów, mapy gór i krajów, uprzytomniając naocznie rzeczy nieznane lub odległe. Pod względem piękności wykonania zwrócić należy uwagę na tablicę, przedstawiającą typy ludów amerykańskich; pod względem naukowego znaczenia rysunki odnoszące się do Alp. Tekst opracowywany jest przez znanych w naszéj literaturze naukowéj specyalistów, daje zatém rękojmię, że opiéra się na rezultatach badań spółczesnych i podaje informacyą pewną i gruntowną. Alpy np. są skreślone przez geografa (p. Andrzeja Świętochowskiego) i przez geologa (p. Karola Jurkiewicza); podobnież wszędzie, gdzie przedmiot jakiś jest złożony i wymaga rozpatrzenia różnostronnego, redakcya stara się widocznie o zadośćuczynienie wymaganiom specyalizacyi naukowéj. Niepodobna tu wdawać się w wyliczanie główniejszych nawet artykułów, dosyć będzie zaznaczyć ogólnie, że i wewnętrznie także sprawia „Wielka encyklopedya powszechna“ bardzo korzystne wrażenie i dziwić się doprawdy należy, że pisma codzienne, obznajmiające publiczność tak szczegółowo z każdą błahostką teatralną, z każdą produkcyą muzyczną, nie znajdują miejsca do poinformowania téjże publiczności o wydawnictwie popularno-naukowém, które, z charakteru swego, dla jaknajszerszych sfer inteligentnych może miéć znaczenie. Szczęściem, pomimo téj niewytłómaczonéj obojętności prasy codziennéj i tygodniowéj, „Encyklopedya“ zyskała podobno liczne grono abonentów i ma zapewnioną możność dalszego rozwijania się i ulepszania. Uwadze czytelników naszych szczerze wydawnictwo to polecić możemy.

— W majowym zeszycie „Ateneum“ r. b. pomieściliśmy wiadomość o wychodzącém zeszytami w Berlinie dziele ilustrowaném p. n. **Allgemeine Geschichte der Litteratur,** którego autorem jest warszawianin *Gustaw Karpeles*. Obecnie mamy przed sobą drugi i trzeci zeszyt téj historyi literatury powszechnéj. Mieszczą one w sobie najprzód dokończenie opowiadania o piśmiennictwie Wschodu, a mianowicie o literaturze perskiéj i tureckiéj, a w dodatku rzecz o poezyi t. z. ludów dzikich (*Naturvölker*) w Australii, Azyi, Ameryce i Afryce; — a następnie całkowitą literaturę ludów klasycznych, Greków i Rzymian, oraz początek obrazu literatur chrześciańskich (Nowy Te-

stament, ojcowie kościoła greccy i rzymscy). Rzecz naturalna, że tak obfity materyał nie mógł być na 240 stronicach dokładnie i wszechstronnie opracowany; autor też bynajmniéj nie ubiega się o wyczerpanie przedmiotu, ale stara się jasno i dobitnie charakteryzować główne prądy i główne osobistości, obficie pomieszczając w tłómaczeniu niemieckiém wyjątki z utworów poetycznych i tym sposobem najlepiéj z niemi zaznajamiając. O oryginalność sądów oczywiście chodzić mu również nie może, gdyż niepodobieństwem jest wymagać dziś od jednostki, ażeby o literaturze wszechświata wyrobiła sobie samodzielne zdanie; bierze więc p. K. gotowe już opinie i na ich podstawie tworzy zaokrągloną całość, udostępniając je dla ogółu ludzi wykształconych. Ilustracye są bardzo dobrze dobrane; nigdzie tu nie ma obrazków tworzonych z fantazyi, lecz kopie rzeczywiście istniejących pomników, lub też co najwyżéj umiejętne rekonstrukcye budynków. Najwięcéj ciekawości budzą rysunki, odnoszące się do literatur wschodnich i twórczości „dzikich", jako mniéj w ogóle znane; ilustracye do piśmiennictw klasycznych są już bardziéj rozpowszechnione, ale i tu postarano się o rzeczy rzadsze, jak np. napis grecki na świątyni w Abu Simbel, podobizna najdawniejszego rękopismu Iliady, rysunki ze zbioru Saburowa, starożytne ilustracye „Iliady", podobizna rękopismu komedyi Terencyusza i poematów Wergilego. Z czasów chrześciańskich interesujące są szczególniéj facsimilia greckich tekstów biblii, homilii Grzegorza z Nazyanzy i ś. Augustyna. Całość wydawnictwa ma się zawrzéć w 12 zeszytach.

= *Esteja.* **Kartki z życia kobiéty**, powieść odznaczona zaszczytnie na konkursie „Kuryera Warszawskiego" z 52 ilustracyami Czesława Jankowskiego. (Warszawa, S. Lewental, 1890, str. 456). Esteja pojawia się w piśmiennictwie naszém jako debiutantka, lecz najzupełniéj bez tremy, pewna siebie, biegła we władaniu piórem, znająca doskonale to, co opisuje. Widocznie żyła dużo i widziała wiele, a co ważniejsza, zastanawiała się nad tém, na co patrzyła, i wczytawszy się w romanse szczególniéj nowszéj szkoły francuskiéj, umiała odrazu napisać rzecz, która niezaprzeczone posiada piękności. Ale trzeba się z góry porozumiéć, czego szukać w „Kartkach z życia kobiéty." Jeżeliby ktoś znaleść się tu spodziewał głębszą analizę psychologiczną zwyczajnych czy nadzwyczajnych usposobień kobiécych; jeżeliby chciał się poić obrazem uczuć namiętnych lub walk rozpaczliwych; jeżeliby w ogóle pragnął karmi bezpośredniéj dla głowy lub serca, to się mocno zawiedzie. Od początku aż do ostatnich kilku kartek potrzeba być w niezłém usposobieniu i z uśmiechem pobłażliwym śledzić przebieg tego motylego życia, jakie opisuje bohatérka

opowiadania w swoim dzienniku, przedstawiając szereg zabaw, przejażdżek, rozmów, balów, flirtażu i wszystkich podobnych drobiazgów próżniaczego życia wśród bawiącego w Kairze dla kuracyi towarzystwa ze wszystkich niemal stron Europy. Można śmiało twierdzić, że dwie tylko rzeczy zapewniają rozgłos „Kartkom z życia kobiéty“, t. j. nowość sytuacyi, w naszéj beletrystyce dotychczas nie obrabianych, a mających powab czegoś niezdrowego, ale ładnego z pozoru, a powtóre nadzwyczaj swobodny, pełen zręczności sposób opowiadania, w którym lekkomyślność, żądza zabaw, pragnienie hołdów, miłość dla męża połączona z dobrowolném łudzeniem się co do stanu jego zdrowia, a obok tego dowcip, czasami refleksya zléwają się w bardzo oryginalną całość, któréj pierwowzorów szukaćby wypadało chyba u Feuillet'a i Daudet'a razem. Po za temi zaletami nie ma właściwie w „Kartkach“, ani wybitnéj charakterystyki, ani umiejętnie stopniowanego przejścia z jednych uczuć do drugich, z jednéj sytuacyi do innéj, ani nawet szczególnych piękności stylu i języka, skażonych nieraz naleciałościami obcemi. Jeden jest właściwie w całym utworze charakter, t. j. charakter autorki dziennika. Ninetka była córką domu zamożnego, arystokratycznego. Wychowanie jéj i wykształcenie odbyło się zupełnie powierzchownie; zdolności tylko wrodzone i spryt niepospolity wydobyły ją nad poziom powszedniości. Nie nauczono jéj poważnie patrzyć na życie, nie dano poznać nędz i bólów ludzkich, przyzwyczajono do zupełnéj beztroski, do przekonania, że wszystko powinno być na jéj usługi. Wydana młodo za mąż za człowieka ze swéj sfery, ale zupełnie inaczéj niż ogół młodzieży usposobionego i myślącego, kochała go, jak się jéj zdawało, całą duszą i pod jego kierunkiem przebywszy pierwszy rok małżeństwa, nauczyła się dużo, wykształciła smak, kiedyniekiedy poważniéj nad rzeczami się zastanawiała i książki polskie historyczne czytywała. Gdyby miała dzieci, zapewneby inaczéj poszło dalsze jéj życie, zapewneby starała się we wszystkiém pójść za wskazówkami męża i poświęciła się życiu rodzinnemu. Nie mając zaś obowiązków żadnych, gdy z chorym na płuca przybyła do Kairu, zachęcona przykładem innych kobiét, oddała się całkowicie życiu światowemu, jak dziecko upajała się każdą zabawą, pragnęła podbojów, chociaż zawsze stawiała granice uczciwości małżeńskiéj, ciągnęła za sobą świtę trabantów. Wówczas przestrogi męża żadnego nie wywierały na nią skutku, owszem, pobudzały jéj hardą naturę do oporu. Kaszel Stasia zwracał niekiedy jéj uwagę na siebie, ale na niedługo, uspokajała się łatwo, twierdząc, że to nic groźnego i daléj robiła wycieczki, spijała się w gronie przyjaciółek szampanem, flirtowała z baronem, lub z księciem Zygmuntem, mężem najukochańszéj

przyjaciółki swojéj. Lekkomyślne postępowanie, które, jéj zdaniem, nie powinno było pociągać za sobą żadnych konsekwencyi, sprowadziło zawikłania, zakończone pojedynkiem Zygmunta z baronem, oraz śmiercią Stasia. Rozpaczała po stracie męża straszliwie, ale powoli przychodziła do siebie i powoli może wejdzie w poprzedni tryb życia, jeżeli ją nie otoczy inna atmosfera. Ninetka jest zupełnie u nas nową postacią, nie jest kokietką w dawniejszém znaczeniu wyrazu, tylko amatorką flirtu, lekką, swobodną jak ptaszek, bawiącą się naciąganiem struny uczuciowości i delikatném jéj dotykaniem, by dźwięk miły wydała. — Inne postaci w „Kartkach" można sylwetkami tylko nazwać; ukazują się nam one tylko z punktu widzenia Ninetki. Dziennikową formą umie autorka władać wybornie; pomimo trudności, jakie forma ta przedstawia, nie czuje się ich prawie w „Kartkach", może głównie dlatego, że jednę tylko postać w rozmaitych sytuacyach i stosunkach do ludzi Esteja przedstawić zamierzyła. Wydanie prześliczne pod względem papieru, druku i ilustracyi drobnych, według wzoru francuskich edycyi tak ilustrowanych, jest pierwszém tego rodzaju u nas i przynosi zaszczyt drukarni; można je zestawić bez obawy kompromitacyi z „Przygodami Tartarin'a" Daudet'a. Szkoda tylko, że korekta niezbyt staranna.

= *Anatol Krzyżanowski.* **Dwa prądy,** powieść na tle współczesném, odznaczona zaszczytnie na konkursie „Kuryera Warszawskiego" Warszawa, S. Lewental, 1890, str. 346). Czytelnicy czasopism naszych nieraz spotykali się z piórem Anatola Krzyżanowskiego (pseudonim osłaniający kobiétę) jako feljetonisty i krytyka. Z większym atoli utworem wystąpił on dopiéro teraz, dając nam obraz z życia chat, dworów i pałaców w Hrubieszowskiém. Pierwszy to raz, o ile mi wiadomo, poruszono w beletrystyce instytucyę Staszyca i starano się przedstawić dobroczynne jéj skutki dla oświaty. Przypuszczać należy, iż autor jeżeli nie z własnéj obserwacyi, to przynajmniéj z opowiadania znających dobrze owe strony ludzi, zaczerpnął rysów do skreślenia stosunków z owéj miejscowości. Co prawda, ponieważ autor obrał czasy najnowsze za widownią akcyi powieściowéj, nie mógł wystawiać instytucyi Staszyca w jéj dziejowym rozwoju i nie mógł wskazać charakterystycznych cech, jakie się wyrobić musiały pod wpływem urządzeń, które z biegiem czasu zniesione zostały. To jedno chyba wolno poczytywać za znamię w tutejszych stosunkach niezwykłe, że chłop, odebrawszy wykształcenie nawet uniwersyteckie, nie myśli opuszczać kawałka roli, lecz wraca do niéj i pracuje nad zaszczepieniem oświaty wśród ciemnych mas współbraci. Wyróżnić w powieści potrzeba dwie postaci rodem chłopów: ojca i syna Kotwi-

czów. Pierwszy, o ile autor zaznaczył, nie odebrał wyższego wykształcenia, wyrobił tylko pojęcia swoje i wyszlachetnił uczucia doświadczeniem przy pomocy zacnego i rozumnego Opolskiego, który całe życie dojrzałe przepędził w szerzeniu idei braterstwa i w ostatniéj jeszcze chwili, gdy podstępnie ugodzony kulą przez jakiegoś wyrodka, nie kazał poszukiwać sprawcy i ufnie oddał żonę swą i dziecko pod opiekę Kotwicza i gminy, a ci pięknie z zadania swego się wywiązali. Stary Kotwicz we wszystkich swych postępkach ukazuje się jako postać patryarchalna i pełna majestatyczności. Słowa jego, daleko przechodzące granice tego stopnia rozwoju umysłowego, na jakim go autor umieścił, są nieraz bardzo piękne i rozumne, lubo pod względem artystycznym rażą jako niezgodne z miarą oświaty tego, co je wygłasza. Młody Kotwicz, bohatér powieściowy, był już w uniwersytecie, ale nie stracił nic ze swego przywiązania do wsi i sam czynnie pracuje na roli. W porównaniu z ojcem, jest charakterem o wiele miększym, o wiele mniéj wydatnym, przypomina Aleksego z „Dwóch światów“ Kraszewskiego, tylko, że autor był dla niego litościwszym, nie dał mu się strawić uczuciem, jakie powziął dla Tereni Opolskiéj, jednéj z tych śmiałych a tkliwych panien, w jakie obfitują powieści Korzeniowskiego. Wobec tego światka, który autor jasnemi promieńmi otoczył, staje świat inny, cieniami zasnuty, a jego reprezentantem jest wuj Tereni hrabia Eustachy Morski, starzejący się już kawaler, marnotrawca, zarozumialec, ambitny, starający się bezskutecznie osiągnąć wyższe stanowisko na dworze wiedeńskim, a właściwie tracący zdrowie i majątek w stolicach. Tchórz i cynik, zaniedbał zupełnie opieki nad sierotami, pozostawionemi przez Opolskiego, a gdy po wielu latach przybył do swego majątku i zoczył Terenię, powziął do niéj afekt pełen pretensyi i natarczywości, a gdy Terenia przeniosła nadeń Jerzego Kotwicza, zawrzał gniewem postanawiając zrujnować do szczętu młode stadło. Środki, ku temu użyte, nie zostały należycie przez autora rozwinięte i wydają się jakby dosztukowane forsownie dla sprowadzenia kolizyi dramatycznych. Jerzy obrażony przezeń w najdroższych uczuciach wyzywa go na pojedynek, hrabia wyniośle tchórzostwo swe pokrywając powiada, że chłopów bić a nie z nimi się bić przywykł; co znów wywołuje interwencyę brata Tereni, który w swojém imieniu zmusza hrabiego do pojedynku, zakończonego ciężkiemi ranami obu stron. Następuje potém bardzo słabo umotywowana poprawa hrabiego i wszystko na ostatku układa się szczęśliwie. Opowiadanie autora ma przeważnie charakter liryczno-patetyczny, lubujący się w określeniach i opisach podniosłych, w sentencyach poważnych. Ta skłonność prowadzi nieraz do rozwlekłości. Tak np. napisawszy frazes: „Czas, pędzący na skrzydłach nieskoń-

czoności, cztery w księdze swéj przewrócił karty“ (str. 263), autor czuje, że nie powiedział wyraźnie, co powiedzieć zamierzył, i dla tego dodaje zaraz mniéj uroczyście: „Cztery lata upłynęły od opowiedzianych wypadków“. W języku, stylu, sposobie układania scen, znać dobre studya nad dawniejszemi autorami naszemi; tu i owdzie tylko znajdzie się jakieś wyrażenie niewłaściwe, użycie jednego wyrazu za drugi (*podobnie* zam. *jak*), niestosowne przerwanie sceny i nawracanie do przeszłości i tym podobne usterki i wady. Więcéj prostoty, naturalności, więcéj szczegółów charakterystycznych zamiast ogólników, wielceby się mogło przyczynić do nadania ożywienia powieści, która obecnie prawidłowo wprawdzie, ale niezbyt żywo się ciągnie. Pod względem wydawniczym musimy wytknąć niesłychane nawet w naszych drukarskich stosunkach, niedbalstwo korekty.

— **Historya Żydów** od Mojżesza do epoki obecnéj. Opracował podług najwiarogodniejszych źródeł *Hilary Nussbaum*. Tom V: Żydzi w Polsce. Warsz. 1890, 8-o, str. XVI i 460.

Jest to ostatni tom obszernego dzieła (o którém przy ukazaniu się tomu I-go uczyniliśmy w „Ateneum“ stosowną wzmiankę), tom dla czytelnika polskiego najciekawszy, rzecz bowiem zbliska nas dotyczy, a dochodząc do bieżącéj nieledwie chwili, opisuje i ocenia fakta, na które wielu z dziś żyjących własnemi patrzało oczyma, większość jednak nie ma o nich dokładnéj wiadomości.

Wypowiadając należne uznanie pracowitości autora, który zgromadził wiele ważnych a mniéj znanych szczegółów, stwierdzając wyraźnie, że starał się przez wydawanie sądu o ludziach i rzeczach, zająć stanowisko bezstronne, mniemamy wszelako, że nie zawsze udało mu się stanowisko to utrzymać, i sądzimy, że dzieło jego potrzebuje wielu jeszcze uzupełnień i sprostowań.

Zamiast szerokiego traktowania podań o Abrahamie Prochowniku, o Saulu Wahlu, lepiéj było poświęcić więcéj miejsca rozbiorowi przywileju żydowskiego z r. 1264 i podać go w przekładzie na język dzisiejszy, aniżeli przedrukowywać stare tłómaczenie, niekażdemu zrozumiałe. Zamiast wspominać o przepisach wydanych jakoby na korzyść Żydów przez Kazimierza Sprawiedliwego w roku 1180, o czém stanowczo nie ma żadnego śladu; zamiast przytaczać, choćby pod powagą Albertrandego, że Żydzi w XIII wieku stanowili $1/14$ lub $1/8$ część ludności krajowéj, do obliczenia któréj brak nam wszelkich podstaw; zamiast twierdzenia, że Henryk Brodaty rozszerzył przywileje żydowskie, co jest wedle naszego zdania mylne; właściwiéj byłoby wspomnieć o ucisku wywieranym przez Żydów, na jaki

się skarżyli mieszczanie krakowscy pod koniec panowania Kazimierza W.

Zbytecznėm było przytaczanie z pisma ks. Polkowskiego ustępu o wykopalisku monet z napisami hebrajskiemi w Głębokiem, rzecz ta bowiem znacznie dawniėj była wiadoma i numizmatykom dobrze znana; natomiast należało zaznaczyć, że dzierżawienie mennicy i ciągłe przebijanie monety innym stemplem, o ile przynosiło zyski księciu i jego dzierżawcom-Żydom, o tyleż przyczyniało się do zubożenia masy ludności krajowėj, tėj *misera plebs contribuens*, którėj oburzenie zrozumiéć łatwo, bez powoływania się na system feudalny, który zresztą u nas nie istniał.

Autor przypisuje niejako przywilejowi z r. 1264 winę odosobnienia, na jakiém się Żydzi zamknęli (str. 44—45); nie zwrócił jednak uwagi na to, że samo staranie się o podobny przywilėj świadczy najwyżėj o istniejącém już i głęboko zakorzenionėm dążeniu Żydów do owego odosobnienia, wiadomo, że szczegółowe postanowienia przywileju nie urodziły się w Polsce, lecz przeniesione zostały gotowe z Niemiec, o czém prace Boehmego, Gumplowicza i Hubego zupełnie przekonywają.

Późne dość podanie o Esterce przyjmuje autor za fakt udowodniony i jako taki opowiada, nie bez błędów jednak wymieniając np. jėj synów Niemira i Pełkę, kiedy naturalni synowie króla dowodnie zwali się Niemira i Jan.

Nie mieliśmy zamiaru wytykać wszystkich usterek, któreśmy przy czytaniu dzieła p. Nussbauma dostrzegli; możemy więc na tém w kwestyi faktów historycznych poprzestać. Dodać jednak winniśmy, że i ocena faktów nie zawsze się nam wydawała zasadną.

Ganiąc zakaz najmowania mamek chrześciańskich przez Żydów, autor powiada, że „jeżeli zakaz ten miał na celu nie dopuścić, by dzieci żydowskie obfitym i zdrowym pokarmem mamek chrześciańskich wychowywały się na zdrowe i czerstwe pokolenie, to idea ta sprzeciwia się... zasadom dobrze zrozumianėj ekonomii państwowėj, która zarówno rozwój fizyczny, jak umysłowy wszystkich części składowych narodu uważa za pierwszy warunek dobrobytu kraju“. Nie zdaje mi się, żeby ekonomia państwowa uważała za pożyteczne, gdy matka własne dziecko pozbawia „zdrowego i obfitego pokarmu“, oddaje je „na garnuszek“, a najmuje się za mamkę do dziecka cudzego, co jednak nie znaczy, żebym był zwolennikiem jakichś zakazów. Gdy zaś autor, dowodząc dalėj niewłaściwości owego zakazu, powołuje się na brak żydowskich mamek, „dzięki surowości zdania pod tym względem“, mógłbym mu odpowiedziéć, że wedle zdania policyi zdrowia, którėj pogląd pod tym względem ma pewne znaczenie, z „surowością opinii“ niekoniecznie idzie w parze surowość obyczajów.

Podobnież nie ze wszystkiém pisałbym się na sposób, w jaki autor występuje przeciw zakazowi trudnienia się szynkarstwem przez Żydów, a lubo, jak znowu powtarzam, nie jestem zwolennikiem ograniczeń, sądzę, że można zwalczać system zakazowy, bez wyrażenia wątpliwości co do rozpajania ludu przez szynkarzy.

Nareszcie, mam wielką wątpliwość, czy w ustępie o frankistach było właściwą rzeczą podawanie szczegółów genealogicznych niektórych rodzin. Żyjących dziś potomków nie wypytywał o to zapewne autor, a dokumentów na poparcie swych twierdzeń zabrakłoby mu bezwątpienia. Nie zgadzając się z autorem i w innych jeszcze poglądach, winienem jednakże dodać, że dzieło jego ożywione jest duchem obywatelskim, że nieraz trafnie wskazuje źródło złego i stara się wskazać na nie lekarstwo, że autor jest niezaprzeczenie zwolennikiem zdrowéj oświaty. *Mur.*

= *Krotoski dr. Kaz.* **Norwegia pod względem fizycznym.** Kraków. 1890, str. 33, 8-o (odbitka ze sprawozdania gimnazyum III). Norwegia, należąca pod względem geologicznym do najstarszéj formacyi, nosi na sobie pod względem fizycznym oryginalne piętno. Piętno to odbiło się na charakterze i zatrudnieniu jéj mieszkańców, boć gdzie np. małe strzępki ziemi nadają się do uprawy, tam trudno szukać klasycznéj gleby, jak powiada Réclus, dla demokratycznéj rzeczypospolitej chłopów, jaką mimo formy monarchicznéj jest Norwegia. Natura norweska przykuła tylko mieszkańców do jedynego prawie zatrudnienia, które wyrobiło w nich spokój męski, energią niezłomną, ale zarazem wytworzyło krew skłonną do okrucieństwa, objawiającą się jeszcze dzisiaj w bójkach chłopów norweskich.

Opis téj natury Norwegii podaje nam praca p. Krotoskiego, zasługująca na wzmiankę zwłaszcza, że należy do dziedziny geografii, z któréj tak mało dzieł u nas się pojawia a co więcéj, że napisana jest ze znajomością przedmiotu. Prawie przy każdém zdaniu zaznacza autor, z jakiego dzieła je zaczerpnął i to bezpośrednio, co wskazuje, że p. Kr. literaturę dość obfitą znał i wyczerpał; opiéra się on bowiem na dziełach takich badaczy na polu geografii, jak Peschel, Réclus, Leop. von Buch, Kjerulf, dr. Frisch i t. d. Dzieło poczyna się od krótkiéj, treściwéj „Historyi odkrycia Norwegii“; poczém rozwinął autor swój przedmiot w następujących rozdziałach: 1) położenie, kształt, granice, 2) układ pionowy, *a*) petrografia, *b*) orografia (w dłuższym niż inne ustępie omówiona), 3) układ poziomy, *a*) wyspy, *b*) fiordy, 4) geologia dynamiczna, *a*) powstawanie fiordów (za teoryą Peschla, bronioną przez Kjerulfa o dwojakim początku formacyi fiordowéj, tektonicznym i klimatycznym), *b*) peryod lodowy, *c*) podnoszenie się lądu skandynawskiego, 5) wody lądowe, *a*) jeziora,

b) rzeki, 6) klimatyczne warunki, *a*) temperatura, *b*) prądy morskie, *c*) prądy powietrzne, *d*) opady atmosferyczne, 7) świat organiczny, *a*) flora, *b*) fauna. Mimo tych „działów“, których zresztą tak różnorodny ustrój Norwegii wymaga, rzecz cała zléwa się w jeden udatny obraz, nieprzeładowany drobnostkowemi szczegółami a jednak przedstawiający każdą ważniejszą okoliczność w umiejętném ugrupowaniu, skreślony płynnie, a niekiedy nawet kwiecisto. Autor zebrał umiejętnie owoce z dzieł uczonych o Norwegii, które nie każdemu mogą być dostępne. Z tego względu praca p. K. jest bardzo pożyteczna dla szerszego koła czytelników. *Ad. Ch-l.*

— Istnieje w Warszawie od pewnego czasu **„Gabinet czytelniczy krajowy“**, otworzony przez pp. *G.*, *L.* i *K. Lichtańskich*, zajmujący dwa salony przy ulicy Chmielnéj (Nr. 23). „Gabinet“ nie należy do kategoryi przedsiębierstw, obliczanych na wyzysk naiwnéj publiczności, karmiącéj się sensacyjnemi romansami lub powieściami kryminalnemi; można go raczéj nazwać instytucyą, mającą użytek publiczny na celu, gdyż księgi swe rachunkowe poddaje kontroli publiczności, a zawiéra książki z dziedziny filozofii, grafiki i poezyi, a także pisma peryodyczne—miesięczne, tygodniowe i codzienne. „Gabinet“ łączy w sobie charakter czytelni i wypożyczalni zarazem, a korzystać z nich można już to drogą abonamentu, już jednorazowego wejścia, za cenę umiarkowaną. Z tych wszystkich powodów spodziewać się należy, że „Gabinet“ pp. Lichtańskich znajdzie wśród nas poparcie.

— P. *Kazimierz Waliszewski* wydał nowy przyczynek do dziejów zeszłego stulecia pod napisem: **„Polska i Europa** w drugiéj połowie XVIII w. Wstęp do historyi ruchu politycznego w téj epoce“ (Krak., 1890, str. X i 577). Jest to obraz porównawczy ówczesnych stosunków politycznych, do którego weszły ustępy ogłoszone w „Ateneum“ (1888 r.). Autor nie posługiwał się do téj pracy żadnemi prawie nowemi, to jest nieogłoszonemi dotąd dokumentami, ale za to wyczerpał mniéj więcéj wszystkie główniejsze źródła, istniejące w literaturze naszéj i obcéj. Ukaziciel bibliograficzny, zamieszczony w końcu dzieła, obejmuje przeszło 400 pozycyi, między któremi są i takie, które, jak np. „Sbornik ruskiego towarzystwa historycznego“, zawierają do 70 tomów, pod jedną pozycyę zapisanych. Niezależnie przeto od poglądów osobistych autora, z któremi ten i ów czytelnik może się nie zgadzać, dziełu, o którém mowa, trudno byłoby odmówić wartości, choćby jako podręcznika do historyi powszechnéj w pomienionéj epoce i do ówczesnéj literatury politycznéj.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Zerwana grobla. — Wzrastający dobrobyt i emigracya. — Hymny o placówce. — Energia chłopska. — Potworne wieści. — Czy rzeczywistość była bez wpływu? — Cztery mile i szerokość oceanu. — Kto płaci za emigracyę chłopa naszego? — Korespondenci w Brazylii. — Jak działają opowiadania o poniewierce ludzi na emigracyi.—Drobiazg przy rzeczy wielkiej. — Dręczenie ogrodem zoologicznym.— Dzieje zwierzyńca.—Ofiarność dzieci.—Głos dra Nusbauma.—Korzyść naukowa.— Przykład zagranicy.—Nieistniejące muzea argumentem.—Pogadanki.—Powstrzymać ofiary!—Administracya dzisiejsza.—Nie obalone zarzuty. — Oskarżające przypomnienie. — List wstrzemięźliwy.

Pękła jakaś tama czy grobla i przez wyłom od kilku tygodni pędzi wezbrana fala ludzka do Ameryki. Napróżno szalony pęd usiłują wstrzymywać księża, władze, ludzie dobrej woli.

Uwaga nasza od lat tylu zamulona drobiazgami nie jest może dosyć zdolną do skupienia się na fakcie, moralnie i społecznie budzącym istotną zgrozę, chociaż o bezpośrednie i praktyczne skutki jego można wieść długie i nigdy nierozstrzygnięte spory.

Przez lat tyle upewnialiśmy z zapałem i z zabawną aż gorliwością, iż dobrobyt wzrasta. Nieobecność wychodztwa była jednym z dowodów. Emigracya porywać ma jakoby tylko pierwiastki przez nędzę nadpróchniałe i oderwane od gruntu a więc tylko w krainach, gdzie dobrobyt nie wzrastał. Pioruny i urągania sypały się na owe wyklęte krainy. Co się dziś stało z tém rozumowaniem, z tymi tryumfami? I wynurza się pytanie: jakże z tym dobrobytem? czy emigracya obecna jest téż owocem nędzy?

Ileśmy czytali w książkach, ileśmy razy słyszeli w teatrze hymny o niewzruszonéj przez żadne ziemskie potęgi sile przywiązania

chłopa do ziemi! Naturalnie naiwni tylko nie wiedzieli, że to był jedynie piękny pomysł literacki, który z tego téż tylko punktu traktować można było i należało. Ale żeby ta spójnia była tak słabą, jakby można wnosić z nawału i z energii emigrantów, tego się niepodobna było spodziéwać. Chęć, gorączka jaknajrychlejszego opuszczenia ziemi rodzinnéj jest zadziwiająca. Partye emigrantów staczają krwawe bójki z władzami nadgranicznemi; ujęci przez policyę w areszcie z bardzo rzadką u chłopów śmiałością cywilną upewniają, iż powtórzą, i to z lepszym skutkiem, usiłowania przekroczenia granicy.

Nie należę do ludzi, wierzących bardzo mocno we wzrastający dobrobyt, ale nie sądzę także, aby sprężyną, co tylu ludzi wyrzuca z siedzib wiekowych, była sama nędza. Ciężkie lata nie po raz pierwszy nas nawiedziły, są zakątki ziemi, gdzie krwawa praca rolnika jeszcze niewdzięczniéj plonuje—a jednak siedzą tam ludzie i ubogiéj matki porzucać nie chcą, znoszą gorzką teraźniejszość i czekają na lepszą przyszłość. Rozumowanie to potwierdzają liczne listy, jakie czytałem z różnych okolic, od ludzi bezpośrednio patrzących na gorączkę emigracyjną.

Zdaje się i świadkowie naoczni utrzymują, że to nie biéda wytworzyła ten palny materyał, na który teraz padła iskra. Ale co? Wśród ludu krążą trwożne, istotnie potworne wieści, zrywa się więc jak człowiek przerażony okropną marą senną i pędzi na oślep, byle uniknąć przywidzianego nieszczęścia. Wieści te, nieprawdopodobne, zapowiadają utratę ziemi, utratę wszystkiego, rodzaj końca świata. Kto je pobudził, wiedział w co uderzyć, wiedział jak się wziąć do rzeczy. Ale, sądząc wprawdzie nie chłopską logiką, lecz naszą, warstwy inteligentnéj, zdaje się niemożliwém, aby te wieści potrafiły tak wstrząsnąć umysłami spokojnymi przedtém. Musiał być chyba grunt przygotowany przez rzeczywistość, musiały być podstawy realne do uwierzenia, że wszystko stać się może.

Zdaje się, że chłop nasz nie jest bardzo skłonny do koczownictwa, że zagrodę rodzinną opuszcza niechętnie, z obawą i w ostateczności. Wybuch więc emigracyjny dzisiejszy musiał wprzód przełamać naturę wieśniaka. Jeden ze wspomnianych listów opowiada następujący fakt. Parobkowi folwarcznemu znajomy inżynier zaproponował posadę dróżnika, która miała byt jego znacznie poprawić pod względem materyalnym i dać względną niezależność. Nie przyjął jednak posady, gdyż musiałby się przenieść o całe cztery mile, a żona tak daleko jechać nie chciała. Lamentowała, płakała, łamała ręce, że między obcych ludzi iść nie chce — i chłop został. Za kilka

tygodni tenże chłop, z namowy téjże żony, z niemowlęciem przy piersi, bez żadnych środków pieniężnych puścił się do Ameryki.

Środki, nakłaniające do emigracyi, użyte zostały bardzo umiejętnie—to nie ulega wątpliwości. Ale kto był sprawcą, kto był zręcznym agitatorem, co wywołał tak wielką zawieruchę na tylu tysiącach mil kwadratowych, wśród ludności spokojnéj, różnorodnéj, pozostającéj w różnych warunkach przynajmniéj materyalnych? Zapewne zajścia emigracyjne częściowy finał znajdą w salach sądu karnego i wtedy wyjdą może na jaw machinacye. Do tego czasu trzeba czekać cierpliwie, chociaż wiele pytań dręczących i ciekawych się nasuwa.

Agenci w Galicyi spekulowali na ziemię, którą skupowali od wyjeżdżających chłopów. Tu, spekulacya ta miejsca mieć nie mogła, bodaj czy jaki natychmiastowy znaczniejszy zysk wpłynął do kieszeni agentów bezpośrednio, czy pośrednio ze strony emigrantów. A jednak zadanie agentów było trudne, kosztowne i zapewne zabrało im wiele czasu. Jedni wiedzieli, iż narażają się na odpowiedzialność karną, inni może na kule strażnika granicznego, a jednak ryzykowali. Prawdopodobnie więc zyski ich były wielkie—od kogo?

Dwa tutejsze „Kuryery“ wysłały specyalnych agentów, celem zbadania rzeczy na miejscu, w drodze i w Brazylii. Z téj strony nie wiem, czy się czego ważnego dowiemy. Cząstka jakaś wychodźców materyalnie zyskuje, reszta ginie z nędzy. Najdokładniejsze wiadomości nasze, co czeka emigranta za oceanem, albo się do chłopów nie przedostaną, albo, przedostawszy się, nie powstrzymają.

O uszy obił mi się niedawno projekt sprowadzenia z Ameryki kilku lub kilkunastu dawnych wychodźców, którym opuszczenie kraju najgorzéj dało się we znaki; opowiadaniem swojém o ciężkich przejściach, o głodzie, niewygodach, poniewierce, ci ex-emigranci mieliby przeciwdziałać agentom podburzającym. Mnie się wydaje, iż to jest zasadnicze niezrozumienie rzeczy. Ci kontr-agenci pomagaliby tylko podżegaczom. Biéda, nieszczęście, same są straszne, ale w opowiadaniu mają zawsze pewien urok, który ludzi wabi. Chłop, jak i my wszyscy, ma w sobie zarodki tych pragnień, które niegdyś rycerzom kazały szukać przygód nadzwyczajnych i awantur. Najbardziéj nawet zrażony człowiek do emigracyi zawsze powié coś takiego, co zainteresuje wyobraźnię, obudzi pożądanie, podoba się. Jeżeli sam ominie, to go o to zapytają. Zresztą, znane jest złudzenie, powszechne u wszystkich niemal ludzi w pewnych wypadkach, które niegdyś Karpiński zawarł w dwuwierszu:

A kiedym widział, że inni tonęli,
Jam sobie myślał — oni pływać nie umieli.

Każdy z opowiadających wtrąci przy każdéj przygodzie zastrzeżenie: „gdybym był wprzód o tém wiedział“, albo „gdybym był mądry i tak a tak zrobił“ — i słuchacz zaraz pomyśli sobie: ja będę mądry!

Fakty stwierdzają całkiem powyższe przypuszczenia. Jedna z gazet opowiada następujący wypadek: Pewien zamożny gospodarz sprzedał grunt, chudobę i z pieniędzmi ruszył do Ameryki; niebawem wrócił stamtąd o żebraninie. W rodzinnéj wiosce długo w noc opowiadał ziomkom w karczmie o ciągach, które przeszedł. Ludzie słuchali, kiwali głowami, i zdawało się, że chętka do równie ciężkich przejść nigdy w ich głowach nie powstanie. Na miejscu był człowiek, który mógł w każdéj chwili zaprzeczyć złudnym bajkom i obietnicom agentom, wyśmiać fantastyczne przypuszczenia. I oto z pomiędzy słuchaczów naocznego świadka, widomego przykładu niebezpieczeństwa emigracyi, znaczna część wyjechała.

Sam byłem świadkiem, jak rzemieślnikowi, względnie wykształconemu, długo i szeroko perswadowali ludzie, posiadający jego zaufanie, aby się łudzić nie dał. Słuchał, zdawało się, że wierzył i we dwa miesiące zniknął. Powodzi mu się w New-Yorku świetnie, a listy jego czytane są przez znajomych, jak manifesty.

Od sprawy wielkiéj przejść trzeba do drobnych i aż zabawnych swoją małością.

Przez kilka tygodni dręczono nas ogrodem zoologicznym. Założono go niegdyś, lat temu 6 czy 7 jako interes finansowy, i zapewne liczono, że przyniesie piękne zyski. Rachuba zawodziła. Ratowano się środkami, które niezawsze zyskiwały poklask. Zabawy dziecinne mocno nie podobały się pedagogom. Na ich dowodzenia i sarkania niezbyt zwracano uwagę. W końcu interes nachylił się bardzo ku przepaści bankructwa. W wielu miejscach poczęły odzywać się bębny i trąby alarmujące— trzeba ratować instytucyę użyteczności publicznéj, trzeba wesprzéć ogród zoologiczny. Skutek był prawie żaden, ludzie się poruszyć nie dali, udziałów nikt nie kupował. I byłby zwierzyniec zeszedł ze świata, pożegnany przez wszystkich z żalem, ale bardzo chłodnym, gdyby nie wypadek. Nakarmiono drapieżców jakiémś zatrutém mięsem i te poczęły zdychać jedne po drugich. Drukowano codziennie biuletyny chorych i nekrologi nieboszczyków. Zrobił się wielki alarm. Współczucie, nawet miłość dla ogrodu podskoczyła, jak termometr zbliżony do ognia. Poczęły się pojawiać listy— niby dziecinne, najwyraźniéj pisane przez rodziców, z załączeniem datków na ogród. Sklepy niektóre ogłaszają, iż pewien procent zy-

ków przeznaczają na rzecz zwierzyńca. Była chwila, może nawet nie minęła, że ogród zoologiczny stanowił najpopularniejszą instytucyą w Warszawie.

Taki jest fakt. Rostrząśnijmy go nieco.

Przedewszystkiém bardzo jest godzien uznania objaw współczucia dla nieszczęśliwego wypadku. Wciągnięcie dzieci do tego, podawanie ich rękami pomocy wydaje mi się bardzo sympatyczném, chociaż nie zaprzeczam, że czasami było nieco zabawném. Ale oczywiście, dla rzeczy ważniejszych należy zapomniéć o błahéj śmieszności i dlatego drwienie z listów „Dziuniów i Dziutków“ uważam za niewłaściwe.

Ponieważ ofiary publiczne przez dzisiejszych właścicieli ogrodu nie zostały odrzucone, więc przez to samo i na nas, na prasę, spada obowiązek wypowiedzenia, obok dzieci, swego zdania, czy instytucya rzeczywiście na ofiarę zasługuje?—stłumić ofiarność, jeżeli wybór zrobiła zły, podsycić—jeżeli dobry. I w jednym i w drugim wypadku zabranie głosu i rozważanie jest istotnie potrzebne, gdyż, jak wiadomo, często się zdarza, że unosi nas fałszywy zapał, i równie często, że stygniemy zaprędko. Przytém wypowiedziane zostały różne zdania. Ogół musi wybiérać.

Najpoważniejszy głos za ofiarnością na rzecz zwierzyńca wypowiedziany został przez d-ra zoologii, Józefa Nusbauma, w „Kuryerze Warszawskim.“ Szanowny przyrodnik dowodzi przedewszystkiém, iż posiadanie okazów całéj fauny krajowéj może być rzeczą bardzo pożyteczną dla młodzieży, a nawet i dla starszych. Niewątpliwie. O to, że ogród zoologiczny jest lub może być instytucyą pożyteczną, nikt sprzeczać się nie będzie, ale przecie nie o to w tym razie chodzi. Nie na każdą instytucyę pożyteczną należy składać ofiary. Stopień pożyteczności bywa różny. Pożyteczny jest teatrzyk na Czystem, pożyteczną Wystawa sztuk pięknych, a jednak nikt nie zechce twierdzić, ażeby przy istniejącym stanie rzeczy, należało je popierać składkami. Nie pożyteczność w ogóle, ale stopień pożyteczności określić należy i zbadać, czy wysokość potrzebnéj ofiary odpowiada temu, co się osiągnie.

Żywy okaz zwierzęcia bardziéj interesuje, bardziéj zwraca uwagę, ale czy o wiele więcéj uczy, niż okaz wypchany—o tém można wątpić. Jeżeli więc jest ogród zoologiczny — bardzo dobrze, ale czy ogół powinien nań łożyć tak wielkie sumy, jak rachują, to kwestya inna. Rachują zaś, że tylko utrzymanie dotychczasowego stanu rzeczy pochłonie 40,000 rs.! Za tę cenę można porządną szkołę założyć

i prowadzić dzieci do gabinetu zoologicznego, a co lat parę do przejezdnéj menażeryi.

Zwykle powtarza się u nas, jako argument, wyliczanie miast i krajów innych: Paryż ma zwierzyniec, Londyn ma zwierzyniec, Wiedeń ma zwierzyniec. Niech sobie mają, stać je na to. A przytém ile one różnych instytucyi miały wprzód, niż ogród zoologiczny, których my jeszcze nie mamy.

Dr. Nusbaum wylicza, jakieby instytucye, muzea, zbiory, akwarya założyć można było przy zwierzyńcu. Ale najprzód tych instytucyi jeszcze nie ma, założyć je można i bez ogrodu, który pochłania tak wielkie pieniądze, a użyteczności jego dowodzić trzeba pośrednio przez zwracanie uwagi, co doń się da dołączyć.

Daléj p. Nusbaum twierdzi, że zabawy niedzielne dzieci w zwierzyńcu można zamienić na pogadanki naukowe z zoologii przy klatkach żywych okazów. Ładniéj to wygląda w projekcie, niżby się okazało w wykonaniu. Najprzód dzieci klasy biédniejszéj (a o te głównie chodzi, inne sobie dadzą radę) w niedzielę mają jedyną chwilę, w któréj nadarza się sposobność ruchu na świéżém powietrzu. Ani zechcą słuchać pogadanek, ani ich do tego zmuszać należy, ani wreszcie zamykać na czas dłuższy w bardzo dusznym ogrodzie, który psuje powietrze całéj przyległéj ulicy.

Słowem, nam się wydaje, iż w obec bardzo wątpliwéj lub bardzo małéj korzyści naukowéj, ogród zoologiczny uważać należy tylko za miejsce rozrywki wielkomiejskiéj i jako taką pozostawić nadal opiece kapitałów osób pojedyńczych, które zechcą ją uważać za dobry interes finansowy. Jeżeli ogród interesem dobrym w Warszawie nie jest—to trudno, upadnie, obejdziemy się bez niego i wielkiéj straty nie doznamy. Utrzymanie zwierzyńca jest w naszéj małéj gospodarce za wielkim ciężarem.

Ofiarność publiczna nie jest kopalnią niewyczerpaną. Nadużywać jéj przy każdéj sposobności nie należy, lecz używać bardzo ostrożnie i bardzo rozważnie. Może się ona zniechęcić i to będzie wielką stratą moralną i społeczną. Dlatego pomimo całéj sympatyi dla ogrodu i dla ludzi, którzy o byt jego się troszczą, oraz żalu, że się tak stało, jak się stało, życząc mu jak najgoręcéj, aby przesilenie przebył szczęśliwie, musimy powiedzieć rodzicom: bardzoście dobrze zrobili wciągając dzieci do ofiarności, ale skierujcie ją w inną stronę, każcie popiérać instytucye, które większy pożytek praktyczny przyniosą i o których dzieciom więcéj powiedziéć można.

Dotąd mówiliśmy o rzeczy zasadniczo, trzeba jeszcze dotknąć się

jéj konkretnie. Pieniądze składane były nie w ogóle na ogród, lecz na ogród, pozostający pod pewną administracyą, to téż działalność jéj przez to samo może i powinna być skontrolowana. Kilka dni temu w jednym z dzienników czytaliśmy takie zarzuty: „Ostatnie klęski są objawem niedołęstwa zarządu. O pomoc wezwano weterynarzy dopiéro, gdy zwierzęta zaczęły zdychać. Łudzono się nadzieją, że to lub owo zwierzę przetrzyma chorobę, tymczasem wszystkie zwierzęta, karmione miękkiém końskim mięsem, zachorowały i kolejno zdychają. Właściciele menażeryi unikają tego, chodząc osobiście za kupnem koni i każąc je bić przy sobie.“ I nam się wydaje, że chyba w menażeryach i w ogrodach zoologicznych administracyi nie naraża się na straty przez kupowanie mięsa bez kontroli, niewiadomego pochodzenia. Dostawcy mięsa, chociażby nawet złożył kaucyę, ufać przecie nie można. Zresztą, możebyśmy gotowi byli wszelkie zarzuty wygłaszane zwalić na karb lekkomyślności reporterskiéj, gdyby nie pewne precedensy, które dowodzą, że nie wszystko zawsze na „Bagateli“ było w porządku. Trzy lata temu pisma podały wieść, że niedźwiedź uciekł z ogrodu. Natychmiast ukazało się odwołanie kategoryczne z utyskiwaniem na prasę i uszczypliwy przycinek, że kaczka jedynie uciekła i nie znalazła się. Ucieczka niedźwiedzia nadawała się całkiem do wzmianki w prasie, gdyby wieść była prawdą, nie było się za co obrażać, boć takie natręctwo jest obowiązkiem dzienników. Przeczytawszy więc odwołanie, utyskiwania i przycinek, byliśmy przekonani, że to rzeczywiście była kaczka i w tém przekonaniu dołączyliśmy swój głos do utyskiwań administratora, że reporterzy niepotrzebnie alarmują miasto i szkodzą ogrodowi. Potém dowiadujemy się ze źródła niepodejrzanego, że rzeczywiście niedźwiedź uciekł i spacerował sobie po za murem ogrodu, zanim go zapędzono do klatki.

Mniejsza o ucieczkę, był przecie nie tak dawno wypadek, że niedźwiedź zagryzł dozorcę.

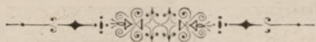
Teraz znowu w pismach pojawia się taki list:

„Zawiadamy Sz. Akcyonaryuszów ogrodu zoologicznego, że z przyczyn niezależnych od naszéj dobréj chęci zrzekamy się powierzonego nam przez ogólne zebranie z dnia 11 b. m. mandatu rewizyi rachunków, prowadzonych przez gerenta J. M. Kamińskiego, tyczących się spółki komandytowéj. Warszawa, d. 20 paźdz. 1890 r. *Alb. Pobóg-Krasnodębski. Feliks Pągowski.*“

W obec tego témbardziéj za obowiązek nasz uważamy powtórzyć ostrzeżenie: przynajmniéj wstrzymajcie się z ofiarami na czas jakiś, dopóki się nie wyświetli, czy dotychczasowa administracya pro-

wadziła ogród umiejętnie i starannie, lub w razie przeciwnym, dopóki steru nie ujmą ręce inne, dające gwarancye, że się stan rzeczy odmieni.

Lus.



NEKROLOGIA.

† **Aleksandra Marczewska,** ur. około r. 1840, poświęciwszy się zawodowi literackiemu, pisywała dużo dla młodzieży i ludu, była spółpracowniczką „Opiekuna Domowego" w pierwszéj jego fazie, kiedy jako pismo obrazkowe dla średnich warstw społecznych wychodził, następnie „Zorzy", „Przyjaciela dzieci" i „Wieczorów rodzinnych". Osobno wyszły następne jéj prace: 1) „Terenia", „Skowronek i sierotka", dwie powiastki (Warsz. 1865); 2) Wyjątek z powieści p. t. „Żyd chrześcianin" (t. 1868); 3) Odczyt publiczny p. t. „Kobiéta kobiétą" (t. 1870); 4) Słówko o odczytach ludowych i odczyt o „Dziewicy Orleańskiéj" (t. 1871); 5) „O Pawełku co szukał serca" (t. 1876); 6) „Ignaś z Dubiecka" opowiadanie dla dzieci od 10 do 15 lat wieku, w dwu częściach z przypisami (t. 1877); 7) „Dwa worki złota", powiastka dla rolników i rzemieślników" (t. 1879), 8) „Dworek Królewski". Założywszy w Przedborzu (w Kieleckiém) księgarnię ludową, ostatnie lata tam pożytecznie spędziła. Zmarła tamże około 12 października r. b.

† **Emma z Kurowskich Puffke** urodzona w Poznaniu 28 listopada, 1818 r., odebrawszy wykształcenie tamże, w późniejszym wieku poświęciła się piśmiennictwu dla dzieci i ludu, tłómacząc i przerabiając utwory głównie niemieckie i francuskie, oraz układając książki oryginalne, które przeważnie wychodziły w Lesznie. Ważniejsze jéj prace są następne: „Młoda Brazylianka czyli Dziennik Eleonory" (wolny przekład z francuskiego, 1861), „Rozmyślania religijne dla pobożnych niewiast chrześciańskich" (1862), „Światełko", pisemko poświęcone matkom i dzieciom, poszytów VI (t. r.), „Pięć powiastek dla dobrych chłopczyków" (podług wzorów w obcych językach), (t. r.), „Można czcić niepojęte drogi Opatrzności" (t. r.), „Baśnie Wielkopolskie, zebrane dla młodzieży" (1863), „Dwaj bracia różnego wychowania" (1864), „Belizaryusz", powieść dla młodzieży (t. r.), „Przygody małego Henryka" (t. r.), „Fizyka zastosowana do potrzeb ogółu

i szkół niższych" (Poznań, 1873), „Tajemnicza szkatułka", powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu" (Poznań, (1880). Zmarła w Lubczu 17 października r. b.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie październikowym:

na str. 205	zamiast	Stanislaus	—	czyt.	Stanislas
„ 207, 208, 213, 214	„	de Mony	—	„	Mony
„ 214	„	que ce tout la	—	„	que tout cela
„ 214	„	j'ai trouvée	—	„	j'ai trouvé
„ 217	„	et quelles infamies	—	„	et à quelles etc.
„ 217	„	„honnêt"	—	„	honnête
„ 220	„	„je n'eu doit"	—	„	„je n'en doit"
„ 234	„	Tympout	—	„	Tympont

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*—Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Октября 1890 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale III-cim 1890 r.

1. **Z pod wieży Eiffel.** Wrażenia i opisy skreślił *Jerzy Mycielski.* Kraków, 1890, 8-o, kart nlb. 3 i str. 244.
2. **O suchotach czyli gruźlicy,** jak się téj choroby wystrzegać, napisał *Sewer Ster.*, lekarz. Warszawa, skład głów. w księg. Edw. Kolińskiego, 1890, 4-o, str. 8.
3. **Allgemeine Geschichte der Litteratur** von ihren Anfangen bis auf die Gegenwart. Von *Gustav Karpeles.* Berlin, G. Grote'sche Verlagsbuchhandlung, 1890, 8-o, zeszyt 2 (str. 129—256) z 8 kolor. tabl. i licznemi rysun. w tekscie.
4. *Aleksander Czołowski.* **O położeniu starego Halicza.** Z dwiema tabl. Lwów, skład głów. w księg. Gubrynowicza i Schmidta, 1890, 8-o, str. 23.
5. **Organizacya kościoła w Polsce** do połowy wieku XII. Napisał *prof. d-r Władysław Abraham.* Lwów, skład głów. w księg. Gubrynowicza i Schmidta, 1890, 8-o, str. XII i 260.
6. **Olbrychta Karmanowskiego,** poety wieku XVII-go, wiersze różne. Zebrał *J. K. Plebański.* Warszawa, 1890, 8-o, str. 60 i II.
7. **Zadania inteligencyi żydowskiéj.** Szkic programu. Skrelił *N. Sokołów.* (Odbitka z „Izraelity"). Warszawa, 1890, małe 8-o, str. 110.
8. **Hrabia August.** Notatki i wrażenia. Wydał *Aleksander Mańkowski.* Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 251.
9. **Błękitni.** Powieść przez *Maryę Rodziewiczównę.* Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 372.
10. *Wacław Lieder.* **Z księgi lirycznéj.** Paryż, 1890, publikacya bezpłatna. str. 24.
11. **Kółka rolnicze** w Galicyi, przez *Jadwigę z Szczawińskich Dawidową.* Warszawa, 1890, 8-o, str. 31 (cena 15 kop.).
12. *Anatol Krzyżanowski.* **Dwa prądy.** Powieść na tle współczesném. Odznaczona zaszczytnie na konkursie „Kuryera Warszawskiego". Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1890, 8-o, str. 346.
13. *Kamil Flammarion.* **Urania.** Z ilustracyami de Bieler'a, Gambard'a i Myrbacha. Przełożył z francuzkiego *Stanisław Kramsztyk.* Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1890, 8-o, str. 276.
14. *Luiz Camoens.* **Luzyady.** Epos w dziesięciu pieśniach z oryginału portugalskiego przełożył, objaśnieniami i życiorysem autora opatrzył *Adam M-ski.* (Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiéj). Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1890, 8-o, str. 271.
15. *Emil de Laveleye.* **O zbytku.** Przełożył z francuzkiego *Wł. D.* Warszawa, 1890, 8-o. str. 52.

Upraszа się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

